

MARCEL PROUST

STRONA
GUERMANTES

Marcel Proust

Strona Guermantes

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843526

Strona Guermantes:

Аннотация

W stronę Guermantes Marcela Prousta to trzecia część cyklu W poszukiwaniu straconego czasu. Z tomu W stronę Swanna znamy już dokładnie prowincjonalne miasteczko Combray, tak boleśnie nieistniejące w rzeczywistości, że w ramach obchodów setnej rocznicy urodzin Prousta w 2005 r. dołączono jego sławne imię do nazwy Illiers, gdzie pisarz zwykł spędzać wakacje i gdzie istnieje nawet Dom ciotki Leonii (nie udało się tylko do zbiorów muzealnych zdobyć egzemplarzy magdalenek z okresu Belle Époque). Strona Guermantes to jedna z dwóch możliwych (oprócz „strony Swanna”) destynacji spacerów z domu w Combray, ale też jeden z kierunków, w jakim podążają marzenia i domysły głównego bohatera i narratora cyklu. Pociągająca niczym magnes w tę stronę jest egzystencja arystokracji, której nazwiska są zarazem nazwami geograficznymi, a te z kolei kryją w sobie części wyrazów i znaczeń zdolnych rozkwitnąć w marzycielskiej głowie czytanego dziecka w całe opowieści sięgające półlegendarnych czasów. I choć brodawka na twarzy potomkini dumnego książęcego rodu potrafi na chwilę zmrozić delikatne rośliny tych narracji wybujałych ze skromnej gleby witrażu w kościele w Méséglise, wyobraźnia nie poddaje się i wnet podnosi

się znów, by snuć dalej swe barwne baśnie na wątlej kanwie rzeczywistości. W stronę *Guermantes* pokazuje zbliżenie się bohatera do tego kręgu: zamieszkanie w Paryżu w części pałacu de *Guermantes*, zacieśnienie przyjaźni z Robertem de Saint-Loup, udział w życiu towarzyskim w salonie pani Villeparisis, oczarowanie księżną Orianą de *Guermantes*, wreszcie dalsze spotkania z tajemniczym hrabią de Charlus. Proust pokazuje z wdziękiem motywację, mechanizm i niezłomny wysiłek twórczy snobizmu; ironiczny dystans zmienia się w fascynację i odwrotnie; cóż że zdemaskowane zostają obiekty, wokół których osnute były kunsztowne skojarzenia? Najważniejsza jest tkanka wspomnienia.

Содержание

Część pierwsza, tom pierwszy

5

Конец ознакомительного фрагмента.

202

Marcel Proust

Strona Guermantes

Część pierwsza, tom pierwszy

Ranny szczebiot ptaków niecierpliwił Franciszkę. Lada odezwane się którejś z „młodszych” podrzucało ją; podrażniona każdym ich krokiem, zadawała sobie pytanie, co one mogą robić? A wszystko stąd, żeśmy się przeprowadzili. Zapewne, na poddaszu dawnego mieszkania służba hałasowała nie mniej niż tutaj; ale Franciszka знаła wszystkich, krzątająca się przy niej czymś przyjaznym. Teraz, nawet cisza była przedmiotem jej bolesnej uwagi. Że zaś spokój nowej dzielnicy zdawał się przeciwieństwem hałaśliwego bulwaru, przy którym mieszkaliśmy dotąd, piosenka jakiegoś przechodnia – dochodząca z oddali niby motyw orkiestry – sprowadzała łączyła do oczu Franciszki-wygnanki. Żartowałem z niej sobie, kiedy, zrozpaczona, że musi opuścić kamienicę, gdzie „każdy człowieka tak szanował”, pakowała rzeczy płacząc, wedle rytuału Combray, i głosząc, że dom, gdzie mieszkaliśmy dotąd, miłszy był od wszystkich możebnych domów. Ale teraz, kiedy widział, iż kamienica, gdzie nie znający nas jeszcze odźwierny nie okazał Franciszce szacunku niezbędnego dla jej duchowego zdrowia, pograżyła ją w stanie bliskim uwiędu, ja, który równie

łatwo przyswajałem sobie rzeczy nowe, jak porzucałem stare, zbliżyłem się do naszej starej służącej. Ona jedna mogła mnie zrozumieć; to pewna, że nie byłby do tego zdolny młody lokajczyk (osobnik nie mający nic z „ducha Combray”); dla niego, przeprowadzka, mieszkanie w innej dzielnicy, to było coś jak wakacje; nowość otaczających rzeczy działała nań orzeźwiająco jak podróż; miał wrażenie, że jest na wsi; katar, jakiego się nabawił, dał mu – niby „zawianie” nabyte w wagonie, gdzie się szyba nie domyka – rozkoszne uczucie, że zwiedził kawał świata; za każdym kichnięciem cieszył się, iż znalazł takie *galante miejsce*, ile że zawsze marzył o państwie „które by dużo podróżowało”. Toteż, nie zwracając na niego uwagi, podszedłem wprost do Franciszki; ale ponieważ śmiałem się z jej łez przy wyprowadzaniu się, które mi było obojętne, ona teraz okazywała się lodowata wobec mego smutku – bo go podzielała. Wraz z rzekomą wrażliwością nerwowców, rośnie ich egoizm; nie mogą znosić u innych osób przejawów cierpień, na które u siebie samych zwracają coraz więcej uwagi. Franciszka, która nie przepuściła żadnej własnej dolegliwości, odwracała głowę, kiedy ja cierpiałem; chciała mnie pozbawić tej przyjemności, że moje cierpienie spotkało się ze współczuciem, że je bodaj zauważono. Tak samo robiła, kiedym z nią chciał mówić o nowym domu. Zresztą, zmuszona trzeciego dnia iść po jakieś rzeczy zapomniane na dawnym mieszkaniu, gdy ja, w następstwie przeprowadzki, miałem jeszcze „parę kresek” i, podobny wężowi boa po pożarciu wołu, czułem się przykro

wzdęty długim kredensem, który mój wzrok musiał „strawić”, Franciszka, z kobietą niewiernością, oświadczyła za powrotem, iż myślała, że się udusi na naszym dawnym bulwarze; że idąc tam, czuła się całkiem „jak zbłąkana”; że nigdy nie widziała tak niewygodnych schodów; że nie wróciłaby tam mieszkać „ani za cysarstwo” i choćby jej – dowolna hipoteza – dawano miliony; że wszystko (to znaczy w zakresie kuchni i korytarzy) jest o wiele lepiej urządzone w naszym nowym domu.

Ale czas powiedzieć, że ten lokal mieścił się w skrzydle pałacu Guermantes – a przenieśliśmy się tam, ponieważ babka, mając się niezbyt dobrze, potrzebowała więcej powietrza. Ale tegośmy babce nie mówili.

W pewnym wieku Nazwy – nastroczając nam obraz Niepoznawalnego, któryśmy w nich pomieścili, podczas gdy równocześnie oznaczają dla nas i realne miejsce – zmuszają nas tym samym do zidentyfikowania z sobą obu tych pojęć; tak iż śpieszymy szukać w jakimś mieście duszy, której ono nie może zawierać, ale której nie mamy już mocy wygnać z jego nazwy. Dają one indywidualność nie tylko miastom i rzekom, jak to czynią alegoryczne malowidła; nie tylko pstrzą różnicami, zaludniają cudownością świat fizyczny, ale i świat socjalny; wówczas każdy zamek, każde sławne domostwo lub pałac ma swoją damę lub wróżkę, jak lasy mają swoje duchy, a wody bóstwa. Czasami, ukryta w głębi swego imienia, wróżka zmienia się wedle życia naszej wyobraźni, która ją karmi; w ten właśnie sposób, atmosfera, gdzie pani de Guermantes istniała

we mnie, będąc przez całe lata jedynie odbłaskiem szkielecka latarni magicznej i kościelnego witrażu, zaczynała blednąć, kiedy całkiem inne marzenia nasyciły ją pienistą wilgocią strumieni.

Jednakże wróżka ginie, kiedy się zbliżamy do rzeczywistej osoby, której odpowiada jej imię; wówczas bowiem imię zaczyna odbijać tę osobę, niezawierającą nic z wróżki; wróżka może się odrodzić, kiedy się oddalimy od osoby; ale jeżeli znajdujemy się w jej pobliżu, wróżka umiera ostatecznie, a wraz z nią imię, jak owa rodzina de Lusignan, mająca wygasnąć w dniu, w którym znikłaby wróżka Meluzyna. Wówczas nazwisko, w którym pod kolejnymi warstwami przemalowań moglibyśmy w końcu odkryć piękny portret obcej kobiety, której nie znaleźliśmy nigdy, jest już tylko prostą fotografią z paszportu, do której sięgamy myślą, aby sprawdzić, czy mamy się ukłonić przechodzącej osobie. Ale niech wrażenie sprzed lat – niby owe płyty muzyczne, zachowujące ton i styl rozmaitych artystów – pozwoli naszej pamięci usłyszeć to nazwisko, wraz z osobliwym dźwiękiem, jaki miało wówczas dla naszego ucha, to nazwisko na pozór niezmienione – a uczujemy odległość, dzielącą od siebie rojenia, zawarte dla nas kolejno w jego identycznych zgłoskach. Z usłyszanego znów świergotu, jakim brzmiało to nazwisko którejś dawnej wiosny, możemy na chwilę wycisnąć – niby z tubek z farbami – dokładny, zapomniany, tajemniczy i świeży odcień owych dni; łudziliśmy się natomiast, że je sobie przypominamy, kiedy jak lichy malarz, dawaliśmy całej naszej przeszłości, pomieszczonej na tym samym płótnie

konwencjonalne i jednakże tony świadomej pamięci. Otóż, przeciwnie, każda z chwil składających przeszłość używała dla swojej oryginalnej kreacji, w swojej jedynej harmonii, ówczesnych farb, których już nie znamy i które na przykład czarują mnie jeszcze nagle, jeżeli, dzięki jakiemuś przypadkowi, nazwisko *Guermantes*, odzyskawszy na chwilę po tylu latach dźwięk – tak różny od dzisiejszego – jaki miało dla mnie w dniu ślubu panny Percepied, odda mi ów kolor lila, tak słodki, zbyt błyszczący, zbyt nowy, jakim aksamitniał suty fontaż młodej księżnej, oraz oczy rozświeconione błękitnym uśmiechem niby świeżo zakwitły a niedosiężny barwinek. Ówczesne nazwisko *Guermantes* jest także niby dziecinny balonik, napełniony tlenem lub innym gazem; kiedy go zdołam przebić, uwolnić jego zawartość, oddycham powietrzem Combray z owego roku, z owego dnia; – powietrzem zmieszanim z zapachem głógów, niesionym przez wiatr. Wiatr ten, zwiastun deszczu, to spędzał słońce, to pozwalał mu się kłaść na czerwonym kobiercu w zakrystii, strojąc go w błyszczące, niemal różowe tony geranii, oraz w tę, aby tak rzec, wagnerowską radosną słodycz, zachowującą w swojej odświeżności coś tak szlachetnego. Ale nawet poza tymi rzadkimi minutami, kiedy nagle czujemy, jak pierwotna istność drży i odzyskuje swój kształt i rysunek w łonie umarłych dziś sylab, o ile w zawrotnym wirze bieżącego życia, w którym nazwiska mają zastosowanie już wyłącznie praktyczne, straciły one wszelki kolor, jak wielobarwny bąk, który kręcąc się zbyt szybko, wydaje się szary, w zamian za to, kiedy w chwilach

zadumy zastanawiamy się nad tym, staramy się – wracając w przeszłość zwolnić, zahamować ciągły ruch który nas porywa. I wówczas widzimy znów stopniowo sąsiadujące z sobą, ale zupełnie odrębne od siebie wzajem, różne barwy, jakie, w ciągu naszego istnienia, przybierało dla nas kolejno to samo nazwisko.

Bez wątpienia, nie wiem, co za kształt łączył się dla moich oczu z nazwiskiem *Guermantes*, kiedy piastunka – nie wiedząc z pewnością, jak i ja dzisiaj, ku czyjej czci tę piosnkę ułożono – kołysała mnie starą melodią: *Chwała margrabinie de Guermantes*; lub kiedy, w kilka lat później, stary marszałek de Guermantes, przejmując dumą moją bonę, zatrzymywał się na Polach Elizejskich, powiadając: „Ładne dziecko!” i wyjmował z małej bombonierki czekoladową pastylkę. Te lata pierwszego dzieciństwa nie są już we mnie, są poza mną; jeżeli mogę o nich coś wiedzieć, to chyba z opowiadań starszych, jak o tym co się działo przed naszym urodzeniem. Ale później, w trwaniu we mnie tego nazwiska, odnajduję kolejno siedem czy osiem różnych twarzy; pierwsze były najładniejsze; stopniowo, moje marzenie, zmuszone przez rzeczywistość do opuszczenia straconej pozycji, cofało się znów trochę wstecz, zanim mu trzeba było cofnąć się jeszcze. I wówczas gdy pani de Guermantes zmieniała siedzibę, poczetą również z tego nazwiska, zapłodnionego z roku na rok jakimś zasłyszonym słowem odnawiającym moje marzenia, siedziba ta odbijała owe marzenia w samych swoich kamieniach, nabierających własności zwierciadła, niby powierzchnia chmury lub jeziora. Bezcielesna

baszta, która była jedynie smugą pomarańczowego światła, a z której wyżyn pan zamku oraz jego małżonka rozstrzygali o życiu i śmierci wasalów, ustąpiła miejsca – na samym krańcu owej „strony Guermantes”, gdzie tyle razy, w piękne popołudnie, siedłem wraz z rodzicami brzegiem Vivonne – ucapiała miejsca okolicy obfitej w strumienie, gdzie księżna uczyła mnie łowić pstrągi i poznawać kwiaty o fioletowych i czerwonych kłasiach, strojące niskie mury dookolnych zagród; potem były to dziedziczne dobra, poetyczna rezydencja, gdzie dumna rasa Guermantów, niby pożółkła i zdobna kwiatami wieża, która przetrwała wieki, wznosiła się już nad Francją, wówczas gdy niebo było jeszcze puste, tam gdzie miały się później wzniesć Notre-Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres, wówczas kiedy na szczycie wzgórza Laon nawa katedry nie osiadła niby arka potopu na szczycie góry Ararat, pełna Patriarchów i Sprawiedliwych, trwożnie wychylających się z okien dla sprawdzenia, czy gniew boży się uśmierzył, niosąca z sobą odmiany roślin mających się rozmnożyć na ziemi, kipiąca zwierzętami wydzierającymi się nawet przez wieże, skąd woły, przechadzające się spokojnie na dachu, patrzą z góry na równiny Szampanii; wówczas kiedy podróżny, opuszczający o schyłku dnia Beauvais, nie widział jeszcze na zakręcie idących za nim czarnych i rozgałęzionych skrzydeł katedry, rozwiniętych na złotym ekranie zachodu.

Było owo Guermantes niby tło romansu, urojony krajobraz, który z trudem sobie mogłem wyobrazić, a który tym

zarliwiej pragnąłem odkryć, wciśnięte między rzeczywiste
ziemie i drogi, naraz, o dwie mile od dworca, jak gdyby
nasycone właściwościami heraldycznymi; przypominałem sobie
nazwy sąsiednich miejscowości tak jakby się znajdowały
u stóp Parnasu lub Helikonu; i zdawały mi się one czymś
szacownym jako materialne i topograficzne warunki ziszczenia
się tajemniczego zjawiska. Oglądałem znów na ścianie pod
witrażami w Combray malowane herby, których tarcze
wypełniały się z wieku na wiek wszystkimi dziedzictwami,
jakie, w drodze małżeństwa lub kupna, ten znamienity dom
ściągnął ku sobie ze wszystkich kątów Niemiec, Włoch i Francji;
olbrzymie ziemie Północy, potężne grody Południa łączące się
i składające się na Guermantes i z zaturą swojej materialności
wypisujące alegorycznie swoje zielone baszty lub srebrne
zamki na lazurowym polu. Słyszałem o sławnych kobiercach
w Guermantes, i widziałem je, średniowieczne i błękitne,
nieco grube, odcinające się na kształt chmury na amarantowym
i legendarnym nazwisku, u stóp starożytnego lasu, gdzie tak
często polował Childebert; i miałem uczucie, że oszczędzając
sobie podróży, wniknąłbym w tajemnice owej ziemi, w ową dal
wieków, zbliżając się na chwilę w Paryżu do pani de Guermantes,
kasztelanki zamku i pani jeziora, tak jakby jej twarz i jej
słowa mogły posiadać swoisty czar gąszczów i strumieni, oraz
te same wiekowe właściwości co stary kodeks jej archiwów.
Ale wówczas poznałem Roberta de Saint-Loup; powiedział mi,
że zamek nosi nazwę Guermantes dopiero od XVIII wieku,

kiedy jego rodzina go nabyła. Do tej pory rodzina Guermantes rezydowała w sąsiedztwie, a tytuł jej nie pochodzi z tych stron. Miasteczko Guermantes otrzymało swoją nazwę od zamku, który jest od niego wcześniejszy; aby nie zniszczyć perspektywy zamku, dotąd utrzymany w mocy serwitut normuje plan ulic oraz wysokość domów. Co się tyczy kobierców, były kompozycji Bouchera, kupione w XIX wieku przez jednego z Guermantów, malarza-amatora, i pomieszczone obok miernych obrazów myśliwskich jego własnej roboty, w bardzo brzydkim salonie obitym andrynoplem i pluszem. Przez te rewelacje, Saint-Loup wprowadził w zamek składniki obce nazwisku *Guermantes*, co mi nie pozwoliło nadal wyczarowywać jego architektoniki z samej dźwięczności sylab. Wówczas, w głębi tego nazwiska zatarł się zamek odbijający się w jeziorze; zjawił mi się natomiast, dokoła pani de Guermantes, jako jej siedziba, pałac jej w Paryżu – pałac Guermantes – przejrzysty jak jego nazwa, żaden bowiem materialny i ciemny składnik nie mącił i nie ćmił jego przejrzystości. Jak *kościół* oznacza nie tylko świątynię, lecz i zebranie wiernych, tak ten pałac Guermantes obejmował wszystkie osoby biorące udział w życiu księżnej; ale te osoby, których nigdy nie widziałem na oczy, były dla mnie jedynie sławnymi i poetycznymi nazwiskami; te znowuż istoty, znając wyłącznie osoby będące również tylko nazwiskami, pomnażały jeszcze i chroniły tajemnicę księżnej, tworząc dokoła niej szeroką otęcz, która co najwyżej stopniowo bladła.

Na przyjęciach, jakie wydawała księżna, w wyobraźni mojej

nikt z gości nie miał ciała, ani wąsów, ani trzewików; nie padło tam najmniejsze słowo banalne lub nawet oryginalne, ale w ludzki i racjonalny sposób; ten wir nazwisk, wnoszący mniej materii, niżby to zrobiła uczta duchów lub bal upiorów dokoła statuetki z saskiej porcelany, jaką była pani de Guermantes, dawał jej szklanemu pałacowi przejrzystość witryny. Później, kiedy Saint-Loup opowiedział mi anegdoty, dotyczące kapelana lub ogrodników swojej kuzynki, pałac Guermantes stał się, jak niegdyś mógł być jakiś Louvre – rodzajem zamku otoczonego, w sercu Paryża, przynależnymi doń ziemiami, posiadanego dziedzicznie, na mocy starożytnego dziwacznie przetrwałego prawa, gdzie księżna zachowała jeszcze feudalne przywileje. Ale ta ostatnia siedziba sama z siebie rozwiała się w mgłę, kiedyśmy zajęli tuż obok pani de Villeparisis mieszkanie sąsiadujące z apartamentami pani de Guermantes, w skrzydle jej pałacu.

Była to jedna z owych starych siedzib, istniejących może jeszcze tu i ówdzie, gdzie dziedziniec – *cour d'honneur* – bądź pod wpływem wzbierającej fali demokracji, bądź przez puszczinę dawniejszych jeszcze czasów, gdy rozmaite rzemiosła grupowały się koło *pana* – zawierał często sklepy, warsztaty, nawet jakiś kramik szewca lub krawca, podobne tym, które się widuje wsparte o boki katedr, o ile ich nie pousuwał estetyzm architektów; – jakiegoś odźwiernego a zarazem szewca, który hodował kury i uprawiał kwiaty; w głębi zaś, w samym „pałacu”, „panią hrabinę”, która, kiedy wyjeżdżała starą dwukonną kolasą (mając przy kapeluszu parę nasturcji, robiących wrażenie, że je

uszczknięto z ogródka odźwiernego, przy czym obok woźnicy siedział lokaj, schodzący z kozła, aby składać zagięty bilet w każdym arystokratycznym pałacu w dzielnicy), przesyłała bez różnicy uśmiechy i pozdrowienia dzieciom odźwiernego i przechodzącym właśnie mieszczańskim lokatorom domostwa, w swojej wzgardliwej grzeczności i niwelującej dumie.

W domu, do któregośmy się sprowadzili, wielką damą z pałacu w głębi była księżna, elegancka i jeszcze młoda. Była to pani de Guermentes, dzięki Franciszce zaś posiadałem dość szybko informacje o pałacu. Bo Guermantowie (których Franciszka określała często słowami „ci z dołu”, „dół”) byli przedmiotem jej ciągłego zainteresowania od samego rana, kiedy, czesząc mamę, z zabronionym, nieodpartym i ukradkowym spojrzeniem w dziedziniec, powiadała: „O, dwie zakonnice; pewnikiem idzie to na dół”; albo: „o, piękne bażanty w oknie w kuchni; nie trza ani pytać, skąd się pochodzą, księżę musiał być na polowaniu”, aż do wieczora, kiedy, podając mi przybory nocne, z zasłyszanego dźwięku fortepianu, z echa jakiejś piosenki, Franciszka wносиła: „Mają gości na dole, wesoło im”. I wówczas na jej regularnej twarzy, pod włosami obecnie białymi, uśmiech młodości, ożywiony i godny, mieścił na chwilę każdy z jej rysów na swoim miejscu, zestrajał je w kunsztownym i tradycyjnym porządku, niby przed kontredansem.

Ale chwilą życia Guermantów, która najżywiej podniecała

ciekawość Franciszki, która jej sprawiała najwięcej przyjemności, a także najwięcej bólu, był moment, gdy brama wjazdowa otwierała się na oścież, a księżna wsiadała do karety. Było to zazwyczaj wkrótce po momencie, gdy nasza służba skończyła celebrować ową uroczystą paschę, której nikt nie ma prawa przerwać, nazwaną ich śniadaniem, podczas której byli tak dalece „tabu”, że nawet ojciec nie pozwoliłby sobie zadzwonić na nich, wiedząc zresztą, że nikt nie ruszyłby się, równie dobrze za piątym dzwonkiem, jak za pierwszym, i że tym samym pan domu dopuściłby się tego nietaktu nadaremnie, ale nie bez szkody dla siebie. Bo Franciszka (która, od czasu jak się posunęła w latach, komponowała sobie na każdą okazję okolicznościową maskę) ukazywałaby mu niechybnie przez cały dzień twarz pokrytą wypukłymi i czerwonymi cętkami, które wyrażały na zewnątrz – w sposób zresztą niezbyt czytelny – długi rachunek jej żalów oraz głębokie przyczyny niezadowolenia. Rozwijala je zresztą – niby aktor mówiący „na stronie” – ale tak, żeśmy nie mogli rozróżnić słów. To były – jak mówiła – jej „ciche msze” odmawiane przez cały boży dzień; w jej pojęciu dotkliwe dla nas i upokarzające.

Dopełniwszy ostatnich obrzędów, Franciszka, która była równocześnie – niby w pierwotnym kościele – celebrantem i jednym z wiernych, nalewała sobie ostatnią szklanekę wina, odwiązywała serwetę, składała ją, wycierając z ust resztę wina z wodą i kawą, wsuwała serwetę w krążek, dziękowała z bolesnym spojrzeniem „swemu” młodemu lokajczykowi, który przez gorliwość mówił: „Pani Franciszko, jeszcze trochę

winogron, śmienite są”, i szła natychmiast otworzyć okno, pod pozorem, że jest strasznie gorąco „w tej przeklętej kuchni”. Otwierając okno i wciągając łyk powietrza, zręcznie ogarniała obojętnym niby to rzutem oka dziedziniec, zyskiwała ukradkową pewność, że księżna jeszcze jest niegotowa, pieściła chwilę wzgardliwym i namiętym spojrzeniem zaprzężony powóz, i poświęciwszy tę chwilę uwagi rzeczom ziemskim, wznosiła oczy do nieba, którego czystość odgadła zawczasu z łagodnego powiewu i z ciepła słońca; zaczęła spoglądać na miejsce pod dachem, gdzie każdej wiosny stały sobie gniazdo, właśnie nad moim kominkiem, gołębie podobne do tych, które gruchały w jej kuchni, w Combray.

– Och! Combray, Combray! – wykrzykiwała. (A niemal śpiewny ton, jakim wygłaszała tę inwokację, zarówno jak arlezyjańska czystość jej rysów, mogły zbudzić przypuszczenie, że Franciszka pochodzi z południa i że stracona ojczyzna, którą opłakuje, była tylko ojczyzną przybraną. Ale może by to była omyłka, bo zdaje się, iż nie ma prowincji, która by nie miała swojego „południa”; iluż spotyka się Sabaudczyków i Bretończyków, u których odnajdziemy znamienne dla południowców słodkie przemieszczenia długich i krótkich sylab). – Och, Combray, kiedyż ja cię zobaczę, biednaż ty moja ziemio! Kiedyż będę mogła spędzać cały boży dzień pod twoimi głogami i bzami, słuchając szpaków i naszej Vivonne, szemrzącej tak jakby ktoś szeptał, zamiast słyszeć ten przeklęty dzwonek naszego panicza, który nie wytrzyma ani pół godziny, żeby nie

kazać człowiekowi gonić bez ten diabelski korytarz. I jeszcze uważa, że ja nie lecę dość szybko; trzeba, żeby człowiek słyszał, zanim on zadzwoni, a kiedy się o minutkę spóźnisz, on „popada się” w takie straszliwe furie! Ach, biedne Combray, może cię nie ujrzę aż martwa, kiedy mnie rzucą jak ten kamień w dół cementarny. Wówczas nie będą mi już pachniały twoje piękne głogi, całe bieluśkie. Ale za to we śmiertelnym śnie, myślę, że jeszcze będę słyszała te trzy dzwonki, które mnie tak trapiły w życiu.

Ale przerywały jej wołania krawczyny z dziedzińca – tego samego, który niegdyś tak się spodobał babce w czasie jej wizyty u pani de Villeparisis i który nie mniej łaski znalazł w oczach Franciszki. Podniósłszy głowę na odgłos otwieranego u nas okna, starał się już od dobrej chwili ściągnąć uwagę swojej sąsiadki, aby jej powiedzieć dzień dobry. Zalotność młodej dziewczyny, którą była niegdyś Franciszka, łagodziła wówczas dla pana Jupien opryskliwą twarz naszej starej kucharki, zgrubiałą od wieku, złych humorów i gorąca blachy; z uroczą mieszaniną taktu, poufałości i zawstydzenia, Franciszka przesyłała krawcowi miły ukłon, ale bez słów, o ile bowiem gwałciła zakazy mamy, wyglądając na dziedziniec, nie ośmieliłaby się urągać im do tego stopnia, aby rozmawiać przez okno, co miało (wedle niej) dar ściągnięcia na nią ze strony pani całego kazania. Pokazywała mu zaprzężony powóz, jakby mówiła: „Ładne koniczki, he!”, ale mruczając: „Co za stary gruchot!”, czyniąc to zwłaszcza dlatego, że wiedziała, iż on jej odpowie, przykładając rękę do ust, aby być

słyszany, mimo że mówił półgłosem:

– Wy byście też mogli mieć to wszystko, gdybyście chcieli, a może więcej od nich, ale wy nie lubicie tego.

I Franciszka, po skromnym, wymijającym i uszczęśliwionym geście, którego sens był mniej więcej taki: „Każdy ma to, czego pragnie; my tu jesteśmy skromne ludzie”, zamykała okno z obawy, aby mama nie weszła. Owi „wy”, którzy by mogli mieć więcej koni od Guermantów, to byliśmy my; ale Jupien miał rację mówiąc „wy”, bo, z wyjątkiem pewnych rozkoszy miłości własnej czysto osobistych – na przykład kiedy Franciszka kaszłała bez przerwy, a cały dom się bał, że zostanie od niej kataru, ona twierdziła z drażniącym uśmieszkiem, że nie jest zakatarzona – Franciszka, podobna owym roślinom, dla których zespolone z nimi zwierzę przygotowuje pokarmy, łowiąc je, spożywając i trawiąc dla nich i podsuwając im je w doskonale przyswojonej formie. Franciszka żyła z nami w symbiozie; to my, naszymi zaletami, majątkiem, sposobem życia, pozycją, mieliśmy za zadanie dostarczać drobnych satysfakcji miłości własnej, które tworzyły – skoro do tego dodać uświęcony obrządek śniadania wedle starożytnej formy, *plus* mały łycelek powietrza przy oknie po śniadaniu, trochę wałęsania się po ulicy, „za sprawunkami” oraz wychodne co niedziela dla odwiedzenia siostrzenicy – część zadowolenia nieodzowną jej do życia. Toteż zrozumiałe jest, że w nowym domu, gdzie wszystkie zaszczytne tytuły mego ojca nie były jeszcze znane, Franciszka musiała usychać przez pierwsze dni, będąc pastwą

choroby, którą ona sama nazywała nudą; nudą w dramatycznym znaczeniu, jakie to słowo przybiera u Corneille’a lub pod piórem żołnierzy, nieraz odbierających sobie w końcu życie, bo im się zanadto „przykrzy” za narzeczoną, za ich wsią. Nudę Franciszki uleczył bardzo szybko właśnie Jupien, dostarczył jej bowiem przyjemności równie żywej, a bardziej wyrafinowanej niż ta, którą by odczuwała, gdybyśmy się zdecydowali mieć powóz.

– Dobrzy ludziska ci Jupienowie – mówiła – pocziwe ludzie, mają to wypisane na twarzy.

Jupien umiał w istocie zrozumieć i udzielić wszystkim tej wiadomości, że jeżeli my nie mamy powozu, to dlatego że nie chcemy. Ten przyjaciel Franciszki mało przebywał w domu, uzyskawszy posadkę w ministerstwie. Zrazu, trudniąc się szyciem kamizelek razem ze „smarkatą” (którą babka wzięła za jego córkę), stracił wszelką rację wykonywania tego fachu, odkąd ta dziewczyna (która, niemal jeszcze dzieckiem, umiała bardzo dobrze zaszyć spódnice, wówczas gdy babka wybrała się swego czasu z wizytą do pani de Villeparisis) wzięła się do krawieczyny damskiej i wyspecjalizowała się w spódnicach. Najpierw „podręczna” u krawcowej, używana do tego, aby coś sfastrygować, przyszyć falbanę, przymocować guzik, zatrząsk, dopasować stanik agrafrkami, została bardzo szybko „drugą panną”, potem pierwszą, i wyrobiwszy sobie klientelę dam z najlepszego świata, pracowała u siebie, to znaczy w naszym dziedzińcu, najczęściej z paroma koleżankami z pracowni, przyjętymi jako uczennice. Odtąd, obecność

Jupiena stała się mniej potrzebna. Bez wątpienia, „mała” wyrósłszy na dużą, musiała jeszcze często szyć kamizelki. Ale, wspomagana przez swoje przyjaciółki, nie potrzebowała nikogo. Toteż Jupien, jej wuj, postarał się o posadę. Zrazu mógł wracać w południe; potem, objąwszy na stałe funkcje urzędnika, któremu tylko wprzód pomagał, wracał aż na obiad. Jego „stabilizacja” nastąpiła szczęśliwie aż w kilka tygodni po naszym wprowadzeniu się, tak iż uprzejmość Jupiena mogła się objawiać na tyle, aby pomóc Franciszce przebyć bez zbytnich cierpień pierwszy trudny okres. Zresztą, nie zaprzeczając użyteczności, jaką Jupien był dla Franciszki jako „lekarstwo przejściowe”, muszę przyznać, że on mi się nie bardzo podobał z pierwszego wejrzenia. Na odległość kilku kroków, niweczając całkowicie wrażenie, jakie robiłyby bez tego, jego szerokie policzki i kwitnąca cera, oczy jego zwilżone współczuciem, żalonym i marzącym spojrzeniem, kazały przypuszczać, że on jest bardzo chory lub dotknięty świeżą żalobą. Nie tylko tak nie było, ale z chwilą gdy przemówił – mówił zresztą bardzo dobrze – był raczej zimny i drwiący. Z tego rozdzwiewku między jego spojrzeniem a słowami wynikało coś fałszywego, niesympatycznego; robił wrażenie, że on sam się czuje skrępowany, niby gość zjawiający się w marynarce, gdy wszyscy są we frakach, lub ktoś, kto rozmawiając z Księżącą Wysokością, nie wie dobrze, jak Ją tytułować, i aby obejść trudności, sprowadza rozmowę do nieznaczących frazesów.

Wysłowienie Jupiena – bo to jest tylko porównanie – było

przeciwnie urocze. Pod tym kontrastem jego twarzy i oczu (na co się już nie zwracało uwagi, kiedy się go znało) odkryłem w nim rychło rzadką inteligencję. Była to jedna z najbardziej literackich natur, jakie mi się zdarzyło spotkać; w tym sensie, że nie otrzymawszy zapewne wykształcenia, Jupien posiadał lub przyswoił sobie, jedynie za pomocą paru pobieżnie przeczytanych książek, najszcześniejsze formy języka. Ludzie najbogaciej obdarzeni wśród tych, których znałem umarli bardzo młodo. Toteż byłem przeświadczony, że Jupien nie pożyje długo. Był dobry, miłosierny, pełen delikatnych i szlachetnych uczuć. Rychło zresztą przestał być nieodzowny w życiu Franciszki. Nauczyła się go zastępować.

Nawet kiedy jakiś chłopiec z magazynu lub służący przyniósł do nas paczkę, Franciszka, udając, że się nim nie zajmuje, wskazując mu tylko od niechcienia krzesło, podczas gdy dalej parała się swoją robotą, tak zręcznie wyzyskiwała kilka chwil, które obcy spędzał w kuchni, czekając na odpowiedź mamy, iż rzadko zdarzało się, aby odszedł, nie wrywszy w siebie głęboko pewności, „że jeżeli nie mamy (powozu i koni), to dlatego, że nie chcemy”. Jeżeli jej zresztą tak zależało na tym, żeby wiedziano, że my mamy „pieniędzy” (Franciszka nie rozróżniała odcieni składni i mówiła „mieć pieniędzy”), żeby wiedziano, że jesteśmy bogaci, to nie dlatego, aby bogactwo samo w sobie, bogactwo bez cnoty było w oczach Franciszki najwyższym dobrem; ale cnota bez bogactwa również nie była jej ideałem. Bogactwo było dla niej jakby koniecznym warunkiem cnoty, w braku którego cnota

jest bez zasługi i bez uroku. Tak mało oddzielała je od siebie, że w końcu zaczęła jednej z tych rzeczy używać przymiotów drugiej, wymagając pewnego komfortu w cnocie, a widząc coś budującego w bogactwie.

Zamknawszy okno dosyć szybko – inaczej mama, jak Franciszka twierdziła, „nawymyślałaby jej od ostatnich” – Franciszka zaczynała, wzdychając, porządkować stół kuchenny.

– Są Guermanty, które siedzą przy ulicy la Chaise – mówił lokaj – miałem przyjaciela, który tam pracował, był u nich za drugiego stangreta. I znam kogoś, nie tego kolegę, ale jego szwagra, kto służył w wojsku razem z dojeżdżaczem barona de Guermantes. Ale co mi tam, to nie są ludzie z prawdziwego zdarzenia – dodał lokaj, który, jak nucił modne refreny, tak miał zwyczaj ozdabiać rozmowę sezonowymi dowcipami.

Franciszka, której stare i zmęczone oczy widziały wszystko niby z Combray, w mglistej dali, zrozumiała nie żart kryjący się w tych słowach, ale to, że musiał w nich być żart, bo nie tłumaczyły się same i były specjalnie zaakcentowane przez człowieka, o którym wiedziała, że jest żartowniś. Toteż uśmiechnęła się życzliwie i z uznaniem, jakby mówiła: „Zawsze wesół ten Wiktor!”. Była zresztą rada, bo wiedziała, że słuchanie tego rodzaju żarcików ma odległy związek z godziwymi uciechami światowymi, na które ludzie wszystkich sfer stroją się odświeżnie i narażają się na zaziębienie. Sympatyzowała zresztą z młodym lokajem, bo wciąż prawil jej z oburzeniem o straszliwych dekretach, jakie Republika ma wydać przeciw

księżom. Franciszka nie pojęła jeszcze, że nasi najokrutniejsi wrogowie to nie ci, co nam przeczą i starają się nas przekonać, ale ci co powiększają lub wymyślają nowiny zdolne nas zasmucić, strzegąc się dać im pozór usprawiedliwienia, które by zmniejszyło naszą zgryzotę i wzbudziłoby w nas może nieco szacunku dla obozu, który oni siłą się nam pokazać, ku naszej tym większej udręce, jako okrutny i tryumfujący zarazem.

– Księżna musi być skrewniona z tym wszystkim – rzekła Franciszka, wracając do Guermantów z ulicy la Chaise, tak jak się zaczyna na nowo jakiś utwór od *andante*. – Nie wiem już kto mi powiedział, że to stamtąd wydali kuzynkę za księcia z dołu. Zawszeć to ta sama paranteza. Ho! ho! to wielka rodzina te Guermanty! – dodawała z szacunkiem, opierając wielkość tej rodziny zarazem na liczbie jej członków i na ich świetności, jak Pascal opiera prawdę religii na rozumie i na powadze Pisma. Bo, mając tylko jedno słowo „wielki” na obie te rzeczy, Franciszka sądziła, że one tworzą tylko jedną, ile że słownik jej, jak niektóre drogie kamienie, przedstawiał w tym miejscu defekt, zaciemniający już samą myśl Franciszki.

– Myślę sobie, czy to nie są ci sami, co mają zamek w Guermantes o dziesięć mil od Combray; w takim razie, to musi być też krewny ich kuzynki z Algieru. – (Zastanawialiśmy się długo z matką, co to może być ta kuzynka z Algieru; ale zrozumieliśmy wreszcie, że Franciszka rozumie pod Algierem miasto Angers. Coś, co jest dalekie, może być nam bardziej znane, niż coś co jest bliskie. Franciszka, która znała nazwę

Algieru z powodu okropnych daktyli, które dostawaliśmy na Nowy Rok, nie znała nazwy Angers. Język jej, jak sam język francuski, zwłaszcza *toponimia*, roił się od błędów). – Chciałam o tym pogwarzyć z ich kamerdynierem. Jakże to jemu się mówi? – przerwała, jak gdyby stawiając sobie kwestię protokolarną – a, prawda, Dominik go tytułują – (tak jakby Dominik był tytułem). – On mógłby mi powiedzieć, ale to cały wielki pan, nadęta sztuka, myślałby kto, że mu ucięto język, albo że go nie nauczono mówić. Nawet człowiekowi nie odkaże, kiedy do niego gadać – dodała Franciszka, która mówiła „odkazać”, jak pani de Sévigné. – Ale – rzekła niezbyt szczerze – kiedy ja wiem, co się gotuje w moim garnku, nie zaglądam do cudzych. W każdym bądź razie, wszystko to nie jest po bożemu. A potem, abo to jest dzielny człowiek – (ten sąd mógłby obudzić mniemanie, że Franciszka zmieniła zdanie co do odwagi, która wedle niej – w Combray – ściągała ludzi do rzędu dzikich zwierząt, ale tak nie było. *Dzielny*, znaczyło po prostu pracowity, roboczy). – Powiadają też, że kradnie jak ta sroka, ale nie trzeba zawsze wierzyć temu, co ludzie gadają. Tutaj każdy pracujący wylatuje, a wszystko przez odźwiernych, bo one są zazdrosne i kotłują głowę księżnej. Ale można powiedzieć że ten Dominik to czyste drabisko, a jego Dominiczka nie więcej warta od niego – dodała Franciszka, która w określeniu żony kamerdynera nieświadomie wzorowała się na formie *kanonik* i *kanoniczka*. W chwilę potem, dostarczyła nowego przykładu urabiania rodzaju żeńskiego, dodając:

– No pewno, że to do księżnej należy się zamek w Guermentes. I to ona jest tam wójcina. To jest coś.

– Myślę, że to jest coś – rzekł z przekonaniem młody lokaj, nie poznawszy się na ironii.

– Myślisz, chłopcze, że to jest coś? Ależ dla ludzi takich jak tamte, być wójtem i wójciną, to jest tyle co nic. A, gdybym to ja miała zamek Guermentes, nie często by mnie ujrzano w Paryżu. Muszą te państwo, co to mają z czego żyć, jak nasz pan i nasza pani, mieć zdrowie, żeby siedzieć w tym podłym mieścisku zamiast jechać do Combray, kiedy mogliby to zrobić i kiedy nikt ich tu nie trzyma. Na co one czekają, ze swoim dożyciem, skoro im niczego nie zbywa: na to żeby pomarli? Och! gdybym ja miała tylko suchy chleb i drzewo na opał w zimie, od dawna bym już siedziała u siebie, w biednej chatynce mego brata w Combray. Tam człowiek czuje przynajmniej, że żyje, nie ma wszystkich tych domisków przed sobą; jest tak cicho, że w nocy słysząc żaby, jak grają dalej niż o dwie mile.

– To musi być naprawdę piękne, pani Franciszko – wykrzyknął lokajczyk z entuzjazmem, jak gdyby ten ostatni szczegół był równie swoisty dla Combray, co pływanie gondolą w Wenecji.

Będąc zresztą u nas mniej dawno niż kamerdyner, chłopak ten szukał w rozmowie z Franciszką tematów zdolnych interesować nie jego, ale ją. I Franciszka, krzywiąca się, kiedy ją traktowano jak kucharkę, miała dla lokajczyka – który mówiąc o niej, powiadał „pani gospodyni” – specjalną życzliwość, jaką

odczuwają pokątni książęta krwi dla gorliwych młodych ludzi, raczących ich „Wysokością”.

– Tam przynajmniej wiadomo, co się robi i w jakiej porze roku się żyje. To nie tak jak tutaj, gdzie będzie nie więcej jaskrów na Wielkanoc niż na Boże Narodzenie, i gdzie ani usłyszeć dzwonka na jutrznię, kiedy pobieram rano swoje stare kości. Tam człowiek słyszy każdą godzinę; to jest tylko biedny dzwonek, ale powiadasz sobie: „aha, brat wraca z pola”, widzisz jak dnia ubywa, dzwonią na wszystkie sprawy ziemi, masz czas się obrócić, zanim zapalisz lampę. Tutaj jest dzień, jest noc, idzie człowiek spać, nie mógłby nawet powiedzieć, co z całym dniem zrobił. Jak te zwierzęta.

– Zdaje się, że Méséglise to jest też bardzo ładne, pani Franciszko – przerwał lokajczyk, dla którego ta rozmowa przybierała charakter nieco abstrakcyjny i który sobie przypominał mętnie, iż słyszał przy stole, jak rozmawialiśmy o Méséglise.

– Och, Méséglise! – rzekła Franciszka z szerokim uśmiechem, jaki wracał jej zawsze na wargi, kiedy ktoś wymawiał te nazwy: Méséglise, Combray, Tansonville. Stanowiły one tak bardzo część jej własnego istnienia, że spotykając je, słysząc je w rozmowie, odczuwała wesołość dość podobną do tej, jaką budzi w klasie profesor, robiąc aluzję do jakiejś współczesnej osoby, co do której uczniowie nie byliby nigdy przypuścili, że jej nazwisko może paść z katedry. Przyjemność Franciszki płynęła również stąd, iż czuła, że owe strony są dla niej tym, czym

nie są dla innych; starymi kompanami, z którymi niejedno się przeżyło; i uśmiechała się do nich, tak jakby w nich znajdowała coś dowcipnego, bo odnajdywała w nich wiele z siebie samej.

– Tak, możesz na to przysiąc, mój synu, Méségglise jest dość ładne – rzekła śmiejąc się subtelnie – ale gdzieżeś ty mógł słyszeć o Méségglise?

– Gdziem słyszał o Méségglise? ależ to bardzo znane: mówiono mi o tym i nawet często – odparł z ową zbrodniczą nieścistością informatorów, którzy, za każdym razem, kiedy staramy się zdać sobie obiektywnie sprawę z wagi, jaką coś, co nas tyczy, może mieć dla drugich, uniemożliwiają nam to.

– Ba, możesz mi uwierzyć że lepiej jest tam pod wiśnią, niż tutaj przy piecu.

Mówiła nawet o Eulalii jako o dobrej osobie. Bo, od czasu jak Eulalia umarła, Franciszka zapomniała kompletnie, że jej nie cierpiała za życia, tak jak nie cierpiała wszelkiej osoby, która nie miała co jeść w domu, która „zdychała z głodu”, a później, dzięki łasce bogatych, zaczynała „się dąć”. Nie dolegało jej już, że Eulalia tak zgrabnie umiała co tygodnia wyłudzić jakiś pieniążek od ciotki. Co się tyczy cioci Leonii, Franciszka bez ustanku śpiewała jej pochwały.

– Ale to w samym Combray, u kuzynki naszej pani, pani Franciszka była? – pytał lokajczyk.

– Tak, u pani Oktawowej, och, bardzo świętej kobity, mój chłopcze, gdzie było zawsze wszystkiego w bród, i godnie i pięknie. Dobra kobieta, możesz wiedzieć, nie pożałowała

kuropatwy ani bażanta, ani nic; mogłeś tam przyjść na obiad w pięciu, w sześciu, mięsa tam pewnie nie zbrakło, i to najlepszej sorty, i wino białe i czerwone, wszystko co tylko trzeba. – (Franciszka używała słowa *żałować* w tym samym sensie, w jakim go używa La Bruyère). – Wszystko było zawsze z jej substancji, nawet kiedy rodzina siedziała tam miesiące i lata. – (Ta uwaga nie miała nic ubliżającego dla nas, bo język Franciszki był z czasu, kiedy słowo *substancja* nie było zacieśnione do stylu sądowego). – Och, ręczę ci, że tam się nie cierpiało głodu. Nieraz nam ksiądz proboszcz klarował, że jeżeli była kobieta mogąca liczyć na to, że pójdzie prosto do nieba, to z pewnością pani Leonia. Biedna pani, słyszę jeszcze, jak mi powiada swoim chudym głosikiem: „Franciszko, ty wiesz, że ja nie jem, ale chcę, żeby wszyscy mieli tak dobrze, co gdybym jadła”. Rozumie się, że to nie było dla niej. Gdybyście ją widzieli, ważyła nie więcej niż koszyk wiśni, nie było co wziąć w rękę. Nie chciała mi wierzyć, nigdy nie chciała iść do doktora. Ha! ha! tam z pewnością nie zjadłoby się nic na patatajkę. Chciała, żeby służba była tam dobrze karmiona. Tutaj, choćby w to dzisiejsze południe, nie ma człowiek ani czasu przełknąć. Wszystko się robi na łap-cap.

Franciszkę doprowadzały do rozpaczycy zwłaszcza grzanki, które jadał ojciec. Przekonana była, że robił to jedynie po to, żeby wydziwiać i żeby jej kazać „tańczyć”.

– Mogę zaświadczyć – mówił młody lokaj – że nigdy coś takiego nie widziałem.

Mówił tak, jak gdyby wszystko widział i jak gdyby rezultaty jego tysiącletniego doświadczenia obejmowały wszystkie krainy i ich zwyczaje, pomiędzy którymi nigdzie nie figurowały grzanki z chleba.

– Tak, tak – mruczał kamerdyner – ale wszystko to łatwo może się zmienić, robotnicy mają strajkować w Kanadzie, a minister mówił któregoś dnia naszemu panu, że wziął za to dwieście tysięcy franków.

Kamerdyner daleki był od potępiania ministra; sam był z gruntu uczciwy, ale ponieważ uważał wszystkich polityków za łajdaków, przekupstwo wydawało mu się mniejszą zbrodnią od łada kradzieży. Nie zastanawiał się nawet, czy dobrze usłyszał te historyczne słowa i nie uderzyło go nieprawdopodobieństwo tego, aby sam winny powiedział je memu ojcu i aby ojciec nie wyrzucił go za drzwi. Ale filozofia Combray nie pozwoliła Franciszce spodziewać się, aby strajk w Kanadzie mógł oddziaływać na spożycie grzanek.

– Dopóki świat będzie światem – mówiła – widzicie, będzie państwo, żeby nam kazać dreptać, i służba, żeby spełniała ich kaprysy.

Wbrew teorii tego wiekuistego dreptania, już od kwadransa mama, która zapewne inną miarą oceniała śniadanie służących, powiadała:

– Ale co oni mogą robić, już więcej niż dwie godziny siedzą przy śniadaniu!

I dzwoniła nieśmiało trzy lub cztery razy. Franciszka,

lokajczyk, kamerdyner, słyszeli apel dzwonka bez intencji posłuchu; bądź co bądź były to dla nich niby pierwsze dźwięki strojonych instrumentów, kiedy koncert ma się niebawem rozpocząć i kiedy pozostało już tylko kilka minut pauzy. Toteż, kiedy dzwonki powtarzały się coraz natarczywsze, służba zaczynała nadstawiać ucha. Uważając, że już nie mają dużo czasu przed sobą i że powrót do pracy jest bliski, przy jakimś dźwięczniejszym nieco odgłosie dzwonka wzdychali głęboko i decydowali się na czyn: lokajczyk szedł wypalić papierosa przed bramą, Franciszka, po paru uwagach w rodzaju: „na pewno mają kręcka”, drapała się na szóste piętro porządkować swoje rzeczy, a kamerdyner, zaopatrzywszy się na moim biurku w papier listowy, śpiesznie załatwiał swoją prywatną korespondencję.

Mimo nadętej miny kamerdynera z „dołu” Franciszka zdołała od pierwszych dni powiadomić mnie, że Guermantowie nie zamieszkują swego pałacu na zasadzie jakiegoś odwiecznego prawa, ale na skutek kupna stosunkowo świeżego; że ogród, na który pałac wychodził, a którego nie znałem, jest dość mały i podobny do wszystkich sąsiednich ogrodów; dowiedziałem się wreszcie, że nie widnieje tam ani pańska szubienica, ani warowny młyn, ani domek z filarkami, ani dworska piekarnia, ani spichlerz, ani zameczek, ani most stały lub zwodzony, nie więcej niż wieżyczki, niż mostowe, drogowe, przewozowe, ani stosy kamieni służące za drogowskazy. Ale jak Elstir, kiedy zatoka Balbec, straciwszy swoją tajemnicę, stała się dla mnie banalną partią słonej wody, podobną do wszystkich innych na

tym globie, przywrócił jej nagle indywidualność, powiadając mi, że to jest opalowa zatoka Whistlera w jej srebrno-niebieskich harmoniach, podobnie, kiedy nazwisko Guermantes straciło pod ciosami Franciszki ostatnią zeń poczętą siedzibę, stary przyjaciel ojca oznajmił nam raz, mówiąc o księżnej: „Ona ma ogromną sytuację w Faubourg Saint-Germain: to jest pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain”. Bez wątpienia, pierwszy salon, pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain, to było bardzo mało po innych rezydencjach, o których kolejno marzyłem. Ale ostatecznie i ta – a miała to być ostatnia – miała coś – choćby to było najskromniejsze – co wykraczało poza jej własną materię, jakieś tajemne zróżniczkowanie.

I czułem potrzebę szukania tajemnicy nazwiska pani de Guermantes w jej „salonie”, w jej przyjaciółach, tym bardziej iż tajemnicy tej nie znajdowałem w jej osobie, kiedy ją widział wychodzącą rano pieszo, a popołudniu wyjeżdżającą powozem. Z pewnością, już w kościele w Combray, księżna, ujrzana w błysku metamorfozy, z policzkami niepodatnymi, nieprzenikalnymi dla barwy nazwiska Guermantes i popołudni nad brzegiem Vivonne, ukazała mi się w miejsce mego spiorunowanego marzenia, niby łabędź lub wierzba, w które zmieniono boga lub nimfę, iżby odtąd, poddani prawom natury, zanurzali się w wodę lub drżeli na wietrze. Jednakże, skoro te odblaski zgasły, ledwom je stracił z oczu, skupiały się na nowo niby różowo-zielone blaski zachodzącego słońca za wiosłem, które je złamało; i w samotności mojej myśli

nazwisko wchłonęło w siebie rychło wspomnienie twarzy. Teraz widywałem często księżnę w oknie, w dziedzińcu, na ulicy i jeżeli nie zdołałem wcielić w nią nazwiska Guermantes, wmyśleć się w fakt, że to ona jest panią de Guermantes, winiłem o to niezdolność mojego ducha do wysiłku, jakiego od niego żądałem; ale ona, nasza sąsiadka, księżna, zdawała się popełniać ten sam błąd, co więcej, popełniała go bez wzruszenia, bez żadnego z moich skrupułów, nie podejrzewając nawet, że to jest błąd. I tak, pani de Guermantes objawiała w swojej toalecie tę samą troskę podążania za modą, co gdyby, uważając, iż stała się kobietą taką jak inne, aspirowała do tej elegancji, w której byle jaka kobieta mogła jej dorównać, przewyższyć ją nawet; widziałem ją, jak na ulicy przyglądała się z podziwem dobrze ubranej aktorce; rano zaś, w chwili gdy miała wyjść pieszo – jak gdyby opinia przechodniów, których pospolitość księżna podkreślała swoją postacią, obnosząc poufale wśród nich swoje niedostępne życie, mogła być dla niej trybunałem – widywałem ją przed lustrem, grającą, z przekonaniem wolnym od wszelkiego rozdwojenia i ironii, z pasją, z irytacją, z ambicją – niby królowa, która zgodziła się w komedii dworskiej kreować subretkę – grającą ową rolę tak poniżej jej samej, rolę eleganckiej kobiety; i w mitologicznym zapomnieniu swojej przyrodzonej wielkości, sprawdzała, czy woalka jest dobrze obciągnięta, przypłaszczala rękawy, poprawiała płaszcz, jak boski łabędź wykonuje wszystkie ruchy swego zwierzęcego gatunku, obnosi oczy namalowane z dwóch stron swego dzioba, nie wkładając w nie

spojrzeń, i rzuca się nagle na spinkę lub na parasol, jako łabędź, nie pamiętając, że jest bogiem. Ale jak podróżny zawiedziony pierwszym widokiem miasta, powiada sobie, iż przeniknie może jego czar, zwiedzając muzea, nawiązując znajomość z ludem, pracując w bibliotekach, tak ja powiadałem sobie, że gdybym bywał u pani de Guermantes, gdybym należał do jej przyjaciół, gdybym wdarł się w jej egzystencję, poznałbym, co pod swoją pomarańczową i błyszczącą powierzchnią nazwisko jej mieści realnie, przedmiotowo, dla innych, skoro przecież przyjaciel ojca mówił, że kółko Guermantów jest czymś odrębnym w Faubourg Saint-Germain.

Życie, które (jak sądziłem) musiano tam prowadzić, wypływało ze źródła będącego tak poza sferą doświadczeń, wydawało mi się czymś tak odrębnym, że nie mógłbym sobie wyobrazić na wieczorach księżnej osób, z którymi bym się gdzieś stykał wprzód, osób realnych. Bo wówczas, nie mogąc nagle zmienić swej natury, musiałyby tam mówić rzeczy analogiczne do tych, które znałem; partnerzy ich zniżyliby się może do odpowiadania im w tym samym ludzkim narzeczu; a zatem, w ciągu wieczoru w *pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain* istniałyby chwile identyczne z tymi, jakie już przeżyłem: co było niemożliwe. Prawda, że mój umysł uporał się z pewnymi trudnościami; obecność ciała Chrystusa w hostii była mi nie bardziej tajemnicza, niż ten położony na prawym brzegu Sekwany pierwszy salon Faubourg Saint-Germain, gdzie ze swojego pokoju mogłem słyszeć, jak trzepią rano meble. Ale

linia demarkacyjna dzieląca mnie od Faubourg Saint-Germain, mimo iż tylko idealna, zdawała mi się tym rzeczywistsza; czułem, że słomianka Guermantów, pomieszczona z drugiej strony tego równika (słomianka, o której matka, spostrzegłszy ją jak ja, pewnego dnia, kiedy drzwi były otwarte, ośmieliła się powiedzieć, że jest w bardzo lichym stanie) – to już jest *Faubourg*. Zresztą, jakim cudem ta jadalnia, ten ciemny korytarz, sień z czerwonymi pluszowymi meblami, które mogłem czasem spostrzec przez okno z naszej kuchni, mogłyby nie posiadać dla mnie tajemniczego czaru Faubourg Saint-Germain, jak mogłyby nie być jego najistotniejszą częścią, jego geograficzną przynależnością, skoro być przyjętym w tej jadalni, znaczyło bywać w Faubourg Saint-Germain oddychać jego atmosferą; skoro ci, co przed obiadem siadali obok pani de Guermantes na skórzanej kanapie w hallu, wszyscy należeli do Faubourg Saint-Germain. Bez wątpienia, gdzie indziej niż w owym *Faubourg*, na pewnych wieczorach, można było czasami widzieć, królującego majestatycznie pośród pospolitego gminu elegantów, jednego z owych ludzi, którzy są tylko nazwiskami i którzy, kiedy ich sobie chcemy wyobrazić, mają na przemian coś z turnieju i z dworskiego lasu. Ale tu, w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain, byli tylko oni. Byli niby kolumny z kosztownego materiału, podtrzymujące świątynię. Nawet na zwykłych przyjęciach, jedynie spośród nich pani de Guermantes mogła dobierać swoich gości; przy obiedzie na dwanaście osób, zgromadzeni dokoła nakrytego obrusu, byli niby złote posągi

apostołów w Sainte-Chapelle, symboliczne i święte filary dokoła Stołu pańskiego.

Co się tyczy ogródka, który się rozciągał między wysokimi murami za pałacem i gdzie pani de Guermentes częstowała w lecie po obiedzie oranżadą i likierami, jakże mógłbym wątpić, iż siedzieć tam między dziewiątą a jedenastą wieczór, na żelaznych krzeselkach – obdarzonych równie magiczną władzą, co skórzana kanapa – znaczy oddychać swoistym wietrzykiem Saint-Germain, tak jak odbywając sjęstę w oazie Figuic, jest się tym samym w Afryce? Jedyne wyobrażenia i wiara mogą różniczkować pewne przedmioty, pewne osoby – stworzyć atmosferę. Niestety! te malownicze pejzaże, te naturalne gry światła, te lokalne osobliwości, te artystyczne ornamenty Faubourg Saint-Germain, pozostaną mi z pewnością na zawsze niedostępne. I drżałem tylko, spostrzegając z pełnego morza (bez nadziei, abym się tam kiedy znalazł!) – niby daleko wysunięty minaret, niby pierwsze drzewo palmowe, niby początek egzotycznego przemysłu lub wegetacji – zniszczoną nadbrzeżną słomiankę.

Ale jeżeli pałac Guermentes zaczynał się dla mnie u bramy przedsiönka, przyległości jego musiały się rozciągać o wiele dalej wedle mniemania samego księcia. Uważając wszystkich lokatorów za swoich dzierżawców, za wzbogaconych na rewolucji plebejuszów, chmyzów, których opinia jest czymś bez znaczenia, książę golił się rano w nocnej koszuli przy oknie, schodził na dziedziniec, wedle temperatury powietrza

w danym dniu, w kamizelce albo w pyjama, we włóchatej szkockiej kurtce osobliwego koloru, w kusym jasnym paltociku krótszym od marynarki, i kazał któremuś ze swoich pikierów przejeżdżać świeżo kupionego konia. Niejeden raz nawet koń uszkodził wystawę Jupiena, który, ku oburzeniu księcia, żądał odszkodowania. „Choćby tylko przez wzgląd na wszystko dobro, jakie księżna pani świadczy w domu i w parafii, żądać czegoś od nas, to jest bezczelność ze strony tego chłystka”. Ale Jupien upierał się przy swoim, zdając się zgola nie wiedzieć, co za „dobro” wyświadczyła komu kiedy księżna. A jednak ona było dobroczynna; ale, ponieważ nie można ogarnąć wszystkich, pamięć, że się obdarzyło jednego, staje się racją oszczędności w stosunku do drugich, ku tym większemu ich rozgoryczeniu. Z innych zresztą punktów widzenia niż dobroczynność, dzielnica ta wydawała się księciu i to na znaczną odległość – jedynie przedłużeniem jego dziedzina, rozleglejszym maneżem dla jego koni. Sprawdziwszy, jak nowy koń kłusuje sam, kazał go zaprzęgać, objeżdżać sąsiednie ulice, przy czym pikier biegł koło powozu, trzymając lejce, przeprowadzając konia przed księciem, który stał na trotuarze, olbrzymi, rosły, jasno ubrany, z cygarem w ustach, z zadartą głową, z bystrym monoklem, aż do chwili gdy sam wskakiwał na kozioł, aby jeszcze przepróbować konia i jechał nowym zaprzęgiem spotkać się ze swoją kochanką na Polach Elizejskich.

Pan de Guermentes witał się w dziedzińcu z dwiema parami, które mniej więcej należały do jego świata: z parą

swoich kuzynów, których – podobnie jak się zdarza w stadłach robotników – nie było nigdy w domu dla zajęcia się dziećmi, bo od rana żona spieszyła do *Schola* doskonalić się w sztuce kontrapunktu i fugi, a mąż szedł do swojej pracowni rzeźbić w drzewie i wytłaczać w skórze; dalej z baronostwem de Norpois, którzy, zawsze ubrani czarno – żona jak kobieta wynajmująca krzesła, a mąż jak karawaniarz – wychodzili kilka razy dziennie, udając się do kościoła. Baron de Norpois był bratankiem naszego znajomego ex-ambasadora, którego właśnie ojciec spotkał w sieni, ale nie zgadując, skąd idzie; bo ojciec myślał, że osobistość tak znaczna, utrzymująca kontakt z pierwszymi figurami w Europie i przypuszczalnie bardzo obojętna na czcze arystokratyczne honory, nie ma powodu utrzymywać stosunków z tym gatunkiem klerykalnych i ograniczonych szlachciurów. Mieszkali w tym domu od niedawna; Jupien podszedł właśnie, aby coś powiedzieć baronowi, który się kłaniał panu de Guermantes, przy czym, nie znając dokładnie jego nazwiska, Jupien nazwał go „panem Norpois”.

– Ha! ha! pan Norpois, a to doprawdy kapitalne! Cierpliwości, niedługo nazwie pana obywatelem Norpois! – wykrzyknął, zwracając się do barona, pan de Guermantes. Mógł wreszcie wyładować swoją złość na Jupiena, który tytułował go „pan”, a nie „księżę pan”.

Pewnego dnia, kiedy pan de Guermantes potrzebował jakiejś informacji w zakresie urzędu mego ojca, przedstawił mu się sam z wielkim wdziękiem. Od tego czasu, często miał okazję prosić

ojca o jakąś sąsiedzką przysługę; spostrzegłszy go, jak schodzi po schodach pogrążony w myślach i unikający wszelkiego spotkania, ksiązę, porzucając swoich masztalerzy, podchodził do ojca w dziedzińcu, poprawiał mu kołnierz u palta z usługomością odziedziczoną po dawnych pokojowcach królewskich, brał go za rękę, zatrzymując jego dłoń w swojej, pieszcząc ją nawet, aby mu dowieść z bezwstydem kurtyzany, że mu nie żałuje kontaktu swej szacownej skóry; prowadził go jak na smyczy – bardzo znudzonego i myślącego tylko o tym, jak by się wymknąć – aż poza główną bramę.

Pewnego dnia, mijając nas powozem wraz z żoną, ksiązę skłonił się nam głęboko; musiał jej powiedzieć moje nazwisko, ale jakąż mogłem mieć nadzieję, aby ona zapamiętała to nazwisko, wraz z moją twarzą? A przy tym, cóż za mizerna rekomendacja, być jej wskazanym jedynie jako jeden z lokatorów! Ważniejsze byłoby spotkać księżnę u pani de Villeparisis, która właśnie poprosiła mnie przez babkę, abym ją odwiedził, wiedząc zaś, że mam zamiar poświęcić się literaturze, dodała, że spotkałbym u niej paru pisarzy. Ale ojciec uważał, że jestem jeszcze za młody, aby bywać w świecie; że zaś stan mego zdrowia wciąż go niepokoił, nie chciał mi dostarczać zbyt częstych okazji do wychodzenia wieczorem.

Ponieważ jeden z lokajów pani de Guermites często rozmawiał z Franciszką, dosłyszałem, jak wymienia kilka salonów, gdzie księżna bywała, ale nie wyobrażałem ich sobie; z chwilą gdy były częścią jej życia – życia, które widziałem

jedynie poprzez jej nazwisko, czyż nie były czymś niepojętym?

– Jest dzisiaj wielki wieczór z chińskimi cieniami u księżnej Parmy – mówił lokaj – ale nie będziemy, bo dziś o piątej pani jedzie do Chantilly, spędzić dwa dni u księcia d’Aumale. Pokojówka i kamerdyner jadą z nią. Ja zostaję. Księżnej Parmy będzie bardzo przykro; więcej niż cztery razy pisała do naszej pani.

– Więc wy nie jedziecie tego lata do Guermantes?

– Pierwszy raz nas tam nie będzie; z przyczyny reumatyzmów księcia pana, doktor zabronił mu tam wracać, zanim się urządzi kaloryfery; dawniej siadywało się tam aż do stycznia. Jeżeli kaloryfer nie będzie gotów, może nasza pani pojedzie do Cannes do księżnej de Guise, ale to jeszcze niepewne.

– A do teatru chodzicie?

– Chodzimy czasem do Opery, czasem w dniu abonamentu księżnej Parmy, to wypada co tydzień; zdaje się, że to bardzo szykowne, co tam pokazują: sztuczki, opera, wszystko. Nasza księżna nie wzięła abonamentu, ale bywamy i tak, raz u jednej przyjaciółki naszej pani, inszy raz u drugiej, często na parterze w loży księżnej Marii, też Guermantes, zamężnej za kuzynem naszego księcia. To jest siostra księcia Bawarskiego... Więc pani wraca do siebie – mówił lokaj, który, mimo iż utożsamiając się z Guermantami, miał wszelako o *państwie* w ogólności informacje dyplomatyczne, pozwalające mu traktować Franciszkę z takim szacunkiem, co gdyby służyła u jakich książąt. – Pani Franciszka ma dobre zdrowie.

– Ha! ha! gdyby nie te przeklęte nogi! Na dworzu, to jeszcze jakoś idzie – (dworzem nazywał się dziedziniec, także ulice, gdzie Franciszka dość lubiła się przechadzać, słowem, równy teren) – ale te przeklęte schodziska! Do widzenia panu, da się pan widzieć może jeszcze wieczór.

Franciszka pragnęła jeszcze rozmawiać z lokajem, zwłaszcza że ją pouczył, iż synowie diuków noszą często tytuł *prince*, który zachowują aż do śmierci ojca. Niewątpliwie, kult szlachty, skojarzony z pewnym duchem buntu i godzący się z nim zresztą, dziedziczny, wyssany z gleby Francji, musi być bardzo silny wśród ludu. Można było mówić Franciszce o geniuszu Napoleona lub o telegrafii bez drutu, przy czym zaledwie że słuchała z roztargnieniem i nie przerywała ani na chwilę czynności wybierania popiołu z kominka lub nakrywania do stołu; ale skoro tylko ktoś zeszedł na te właściwości, np. że młodszy syn diuka de Guermantes nazywa się zazwyczaj książę d’Oleron, wykrzykiwała: „To bardzo piękne!” i stawała olśniona niby przed witrażem.

Franciszka dowiedziała się też przez kamerdynera księcia d’Agrigente (który to kamerdyner zaprzyjaźnił się z nią, nosząc często listy do księżnej), że w istocie wiele się mówi w świecie o małżeństwie margrabiego do Saint-Loup z panną d’Ambresac i że to jest prawie postanowione.

Ta willa, ta łoża parterowa, w które pani de Guermantes przesączała swoje życie, wydawały mi się czymś niemniej czarodziejskim niż jej apartamenty. Nazwiska Guize, Parma,

Guermantes-Bavière, wyróżniały spośród wszystkich innych wilegiatur te, na które udawała się księżna, oraz codzienne fety, które ślad kół karety wiązał z jej pałacem. O ile mi te nazwiska powiadały, że na tych wilegiaturach, na tych fetach spływa życie pani de Guermantes, nie objaśniały mi w niczym tego życia. Każda z nich dawała egzystencji księżnej inne przeznaczenie, ale wszystkie kazały jej jedynie zmieniać rodzaj tajemnicy, w niczym nie rozpraszając tej, w której przesuwiała się, chroniona cienką ścianką, zamknięta niby w naczyniu, pośród fal powszechnego życia. Księżna mogła jeść śniadanie nad Morzem Śródziemnym w czas karnawału, ale w willi księżnej de Guise, gdzie królowa paryskiego towarzystwa była, w swojej białej pikowej sukni, pośród licznych księżniczek krwi, jedynie gościem podobnym do innych; tym samym stawiała się dla mnie jeszcze bardziej sobą, bardziej wzruszająca w tej metamorfozie, niby gwiazda baletu, która w jakiejś fantazyjnej figurze tanecznej zajmuje kolejno miejsce innych balerin; mogła oglądać chińskie cienie, ale na wieczorze księżnej Parmy; mogła słuchać tragedii lub opery, ale w parterowej łoży swej książęco-bawarskiej kuzynki.

W ciele danej osoby lokalizujemy wszystkie możliwości jej życia, wspomnienie istot, które ona zna, z którymi dopiero co się rozstała lub z którymi ma się spotkać. Toteż kiedy, dowiedziawszy się od Franciszki, że pani de Guermantes pójdzie pieszo na śniadanie – do księżnej Parmy, ujrzałem ją koło południa jak wychodzi z domu w cielistej atłasowej sukni,

z twarzą o tym samym odcieniu, niby chmura o zachodzie słońca, widziałem przed sobą wszystkie rozkosze *Faubourg Saint-Germain* zamknięte niby w muszli w tej polerowanej skorupie z różowej perłowej masy.

Ojciec miał w ministerstwie przyjaciela, niejakiego A. J. Moreau, który, aby się odróżnić od innych Moreau, zawsze poprzedzał swoje nazwisko tymi inicjałami, tak że go nazywano w skrócie: „A. J.”. Otóż, nie wiem jaką drogą, ów A. J. dostał fotel na galowe przedstawienie w Operze; ofiarował bilet ojcu, że zaś Berma, której nie widziałem na scenie od czasu mego pierwszego rozczarowania, miała grać akt *Fedry*, babka uprosiła, aby ojciec dał mi ten bilet.

Prawdę mówiąc, nie przywiązywałem żadnej wagi do tej możliwości usłyszenia Bermy, która kilka lat wprzód przyprawiła mnie o tyle wzruszeń. I nie bez melancholii stwierdziłem swoją obojętność na to, co byłbym niegdyś przełożył nad zdrowie i spokój. Nie znaczy to, aby moja żądza oglądania z bliska szacownych części rzeczywistości, które odgadywała moja wyobraźnia, straciła na sile. Ale ta wyobraźnia nie mieściła ich już w dykcji wielkiej aktorki; od czasu wizyt u Elstira, wiarę duchową, jaką pokładałem niegdyś w tej grze, w tragicznej sztuce Bermy, przeniósłem teraz na pewne tkaniny, na pewne współczesne obrazy; i dalibóg, odkąd moje pragnienie nie podsycalo już nieustannego kultu dykcji i póź Bermy, „duplikat” ich, jaki posiadałem w sercu, zwiadł po trochu, jak owe inne „duplikaty” nieboszczyków w starożytnym Egipcie,

które trzeba było nieustannie karmić, aby podtrzymać ich życie. Ta sztuka stała się nikła i marna; nie było już w niej głębi, duszy.

W chwili gdy, korzystając z ojcowskiego biletu, wstępowałem po wielkich schodach Opery, spostrzegłem przed sobą człowieka, którego wziąłem zrazu za pana de Charlus. W istocie miał coś z niego; kiedy obrócił głowę, aby poprosić urzędnika o jakąś informację, ujrzałem, żem się omylił; ale nie wahałem się pomieścić nieznanego w tej samej klasie społecznej, nie tylko ze sposobu ubrania, ale i ze sposobu, w jaki mówił do kontrolera i do przetrzymujących go bileterek. Bo, poza właściwościami indywidualnymi, była jeszcze w owej epoce bardzo wyraźna różnica między bogatym elegantem z tych kół arystokracji a wszelkim bogatym elegantem ze świata finansów lub wielkiego przemysłu. Tam gdzie jeden z tych ostatnich uważałby, że podkreśla swoją elegancję ostrym i wyniosłym tonem wobec niższych, wielki pan, łagodny, uśmiechnięty, robił wrażenie, że przywilej dobrego wychowania mieści w komedii pokory i cierpliwości, w udaniu, że jest po prostu pierwszym lepszym z widzów. Widząc tego wielkiego pana, pokrywającego dobrodusznym uśmiechem nieprzebyty próg specjalnego świata, jaki nosił w sobie, niejeden syn bogatego bankiera, wchodząc w tej chwili do teatru, wziąłby go może za byle kogo, gdyby w nim nie dojrzał zdumiewającego podobieństwa do świeżo w ilustrowanych pismach reprodukowanego portretu bratanka cesarza austriackiego, księcia saskiego, właśnie bawiącego w tej chwili w Paryżu. Wiedziałem, że ów książę jest wielkim

przyjacielem Guermantów. Zbliżywszy się do kontrolera, usłyszałem, jak księżę saski (lub ten, którego zań brałem) powiada z uśmiechem: „nie wiem numeru łoży, kuzynka mówiła mi, żebym po prostu spytał o jej łożę”.

Może to był księżę saski; może to księżnę de Guermantes (którą w takim razie mógłbym ujrzeć w momencie jej niepojętego życia w parterowej łoży kuzynki) oczy jego widziały w myśli, kiedy mówił: „kuzynka mówiła mi, żebym się tylko spytał o jej łożę”, tak że to uśmiechnięte i odrębne spojrzenie oraz te proste słowa głaskały mi serce na przemian mackami możliwego szczęścia i niepewnego uroku o wiele bardziej, niżby to zrobiło oderwane marzenie. W każdym razie, wymawiając te słowa, nieznajomy otwierał pospolitemu wieczorowi mego codziennego życia możliwe przejście do nowego świata; korytarzyk, który mu wskazano na słowa „parterowa łoża” i w który się zapuścił, był wilgotny i odrapany i zdawał się prowadzić do jakichś morskich erot, do mitologicznego królestwa nimf wodnych. Miałem przed sobą tylko pana we fraku, który się oddalał; ale puściłem nań niby niezręcznym i błędzącym reflektorem myśl, że to jest księżę saski i że idzie do księżnej de Guermantes. I mimo że był sam, ta myśl będąca czymś poza nim, niepochwytne, olbrzymia i przerywana na kształt projekcji, zdawała się go poprzedzać i prowadzić niby bóstwo towarzyszące greckiemu wojownikowi, niewidzialne dla reszty ludzi.

Udałem się na swoje miejsce, starając się odnaleźć w myśli

jakiś wiersz *Fedry*, któregom sobie dokładnie nie przypominał. Tak jak go sobie recytowałem, wiersz nie miał dostatecznej ilości stóp; ale ponieważ nie próbowałem ich policzyć, zdawało mi się, że nie ma żadnej wspólnej miary między jego nieforemnością a klasycznym wierszem. Nie dziwiłbym się, gdyby trzeba było odjąć więcej niż sześć sylab od tego monstrualnego zdania, aby z niego uczynić wiersz dwunastostopowy. Ale nagle przypomniałem go sobie: nieubłagane kanty niehumanistycznego świata znikły jakby czarami, sylaby wypełniły natychmiast miarę aleksandrynu, to, co w nim było zbyteczne, ulotniło się swobodnie i łatwo, niby bańka powietrza pękająca na powierzchni wody. I w istocie, ta potworność, z którą walczyłem, to była tylko jedna stopa.

Pewną liczbę foteli parterowych oddano do sprzedaży w kasie; zakupili je snobi lub ciekawscy, żądni oglądać ludzi, których inaczej nie mieliby sposobności widzieć z bliska. I w istocie, trochę z ich prawdziwego życia światowego, zazwyczaj ukrytego, można było oglądać publicznie, bo księżna Parmy sama rozdała między swoich przyjaciół łoże i balkony, tak iż widownia była niby salon, gdzie każdy krążył, przysiadając się to tu to tam koło jakiejś znajomej damy.

Obok mnie siedzieli zwykli ludzie, którzy, nie znając abonujących łoże, chcieli okazać, że ich poznają i wymieniali ich głośno. Dodawali, że ci wybrańcy przychodzą tu jak do salonu; chcieli przez to powiedzieć, że nie zwracają uwagi na scenę. Ale właśnie było przeciwnie. Genialny student,

który kupił fotel chcąc ujrzeć Berme, myśli tylko o tym, żeby nie powalać rękawiczek, nie zawadzać, zyskać sympatię przygodnego sąsiada, ścigać uśmiechem jakieś przelotne spojrzenie, unikać z niegrzeczną miną wzroku znajomej osoby, którą odkrył w sali i którą po tysiącnych wahaniach decyduje się odwiedzić, w chwili gdy trzy uderzenia, rozlegające się zanim tam dotarł, zmuszają go do ucieczki niby Hebrajczyków przez Morze Czerwone między wzburzonymi falami widzów, których poruszył z miejsca i którym drze suknie lub depce po nogach. Wręcz przeciwnie ludzie światowi: ci byli w swoich łóżach za balkonem jak w małych wiszących salonikach, z których jedną ścianę usunięto, lub jak w kawiarni, dokąd gość zachodzi napić się czegoś, nieonieśmielony lustrami w złotych ramach ani czerwonymi krzesłami lokalu w stylu neapolitańskim; i dlatego że wspierali się obojętną ręką o złożone słupy kolumn podtrzymujących tę świątynię sztuki, dlatego że nie byli wzruszeni nadmiernymi honorami, jakie zdawały się im oddawać dwie rzeźbione figury, wyciągające ku łóżom gałęzie palm i laurów, oni jedni mieliby swobodę ducha na słuchanie sztuki – gdyby tylko mieli inteligencję po temu.

Najpierw były tylko mgliste ciemności, w których spotykało się nagle, niby błysk niewidocznego drogiego kamienia, fosforescencję pary sławnych oczu, lub – niby medalion Henryka IV odcinający się na czarnym tle – wydatny profil księcia d'Aumale, do którego niewidzialna dama krzyczała: „Niech Wasza Wysokość pozwoli sobie zdjąć palto”, na co książę

odpowiadał: „Ale nie, coś znowu, pani d'Ambresac”. Mimo słabej obrony, dama postawiła na swoim, i wszyscy zazdrościli jej tego honoru.

Ale w innych parterowych łóżach, białe boginie, zamieszkujące te mroczne miejsca, prawie wszędzie schroniły się pod ciemne ściany, pozostając niewidzialne. Jednakże, w miarę trwania spektaklu, mglisto-ludzkie ich kształty wyłaniały się miękko jeden po drugim z głębin nocy, którą wyścielały, i wychylając się ku światłu, ukazywały ich pół nagie ciała. Ciała te zatrzymywały się na prostopadłej granicy i na pół-mrocznej powierzchni, gdzie lśniąca twarz jawiły się poza roześmianym, pienistym i lekkim szelestem pierzastych wachlarzy, pod gęstwą usianych perłami purpurowych włosów, jak gdyby sfalowanych przyływem; potem zaczynały się fotele parterowe, siedziba śmiertelników na zawsze oddzielona od ciemnego i przeźroczystego królestwa, dla którego tu i ówdzie tworzyły granicę, swoją płynną i pełną powierzchnią, jasne i zwierciadlane oczy bogiń wód. Bo nadbrzeżne straponteny, kształty potworów z parteru odbijały się w tych oczach jedynie wedle praw optyki i wedle swego kąta nachylenia, tak jak się dzieje z tymi dwiema dziedzinami rzeczywistego świata, do których – świadomi, że nie posiadają nawet w prymitywnym zarodku duszy podobnej do naszej – uważalibyśmy za szaleństwo zwracać uśmiech lub spojrzenie: minerałami i osobami, które nam nie były przedstawione. To była granica ich królestwa; w głębi natomiast promienne córki mórz obracały się co chwilę,

uśmiechając się do brodatych trytonów wtłoczonych w zaułki groty lub do jakiegoś wodnego półboga, mającego jako czaszkę gładki kamień, który fala opłotła oślizgłą algą, a jako oko krążek skalnego kryształu. Przeginały się ku nim, częstowały ich cukierkami; czasem fala rozwierała się dla nowej nereidy, która spóźniona, uśmiechnięta i zawstydzona, wykwiłała z ciemności; po czym, po skończonym akcie, nie spodziewając się już usłyszeć melodyjnych odgłosów ziemi, które je ściągnęły na powierzchnię, te tak różne siostrzyce, dając nurka wszystkie naraz, znikwały w mroku. Ale, ze wszystkich tych schronień, na których próg sprowadzała ciekawe i niedostępne boginie błaha chęć ujrzenia dzieł ludzkich, najślawniejszy był blok półmroku znany jako łoża księżnej Marii de Guermantes-Bavière.

Niby można bogini, z dala przodująca igraszkom pomniejszych bóstw, księżna Maria umyślnie siedziała nieco w głębi na bocznej kanapie, czerwonej jak ławica koralu, obok szerokiego szklistego odbłasku, który był prawdopodobnie lustrem i który budził pojęcie jakiegoś prostopadłego, mrocznego i płynnego wycinka, dokonanego przez promień w olśnionym kryształach wód. Wielki biały kwiat – zarazem pióro i kielich, jak pewne morskie wodorosty – puszysty jak skrzydło, spływał z czoła księżnej po policzku, którego zarys obejmował z zalotną, miłosną i żywą miękkością, tuląc go niby różowe jajko w przytulnym gniazdku alcjona. Na włosach księżnej, schodząc aż do brwi, potem jawiąc się niżej na wysokości piersi, rozpościerała się siatka z białych muszelek,

które łowi się w pewnych morzach południowych, a które były pomieszane z perłami; mozaika morska ledwo wyłoniła się z fal i chwilami zanurzająca się w cieniu, w którego głębi nawet wówczas zdradzała obecność ludzką olśniewająca żywość oczu księżnej. Piękność, która wynosiła ją o wiele ponad inne bajeczne córki mroku, nie była cała materialnie i wyłącznie wypisana w jej karku, barkach, ramionach, kibici. Ale rozkoszna i niedokończona linia tej postaci była jakby punktem wyjścia, bezzawodną przynętą niewidzialnych linii, które oko przedłużało mimo woli, cudownych linii zrodzonych dokoła kobiety niby rzucone na ciemności widmo idealnego kształtu.

– To księżna Maria de Guermantes – rzekła do towarzyszącego jej pana moja sąsiadka, akcentując przesadnie słowo *księżna*, dla zaznaczenia, że ten tytuł wydaje się jej śmieszny. – Nie żałowała sobie pereł. Zdaje mi się, że gdybym miała ich tyle, nie robiłabym takiej wystawy; nie uważam, aby to było w dobrym guście.

A jednak, poznając księżnę Marię, wszyscy ci, co starali się dojrzeć, kto jest na sali, uczuli, że się w ich sercu wznosi prawy tron piękności. W istocie, co się tyczyło księżnej de Luxembourg, pani de Morienvall, pani de Saint-Euverte i tylu innych, szczególnie pozwalającym zidentyfikować ich twarz było spotkanie się dużego czerwonego nosa z zajęczą wargą lub dwóch namarszczonych policzków z małym wąsikiem. Te rysy wystarczały zresztą, aby czarować, ponieważ mając jedynie konwencjonalną wymowę alfabetu, pozwalały odczytać sławne

i imponujące nazwisko; ale w końcu rodziły myśl, że brzydota jest czymś arystokratycznym i że zbyteczne jest, aby twarz wielkiej damy – o ile jest dystygnowana – była piękna. Ale jak niektórzy artyści zamiast liter własnego nazwiska kreślą pod swoim obrazem kształt piękny sam przez się, motyla, jaszczurkę, kwiat, tak samo księżna Maria ukazywała w swojej łoży wspaniałe ciało i uroczą twarz, dając tym dowód, że piękność może być najszlachetniejszym podpisem; obecność bowiem pani de Guermantes, zapraszającej do teatru jedynie osoby ze swego najbliższego kółka, była w oczach miłośników arystokracji najlepszym świadectwem autentyczności obrazu, jaki przedstawiała jej łoża, wizja zwykłego a odrębnego życia księżnej w jej pałacu w Monachium i w Paryżu.

Wyobraźnia nasza jest niby popsuta katarynka, która gra zawsze coś innego niż zapowiedzianą melodię; toteż za każdym razem, kiedym usłyszał nazwisko księżnej de Guermantes-Bavière, zaczynało śpiewać we mnie wspomnienie pewnych dzieł z XVI wieku. Trzeba mi ją było odrzeć z tego wspomnienia teraz, kiedym ją widział częstującą cukierkami grubego pana we fraku. Zapewne, daleki byłem mimo to od wniosku, że ona i jej goście to są istoty podobne innym. Rozumiałem dobrze, że to co oni robią, to tylko gra, i że, jako preludium do scen swego prawdziwego życia (którego najważniejszą część przeżywali z pewnością nie tutaj), regulują swoje postęпки wedle nieznanych mi obrzędów, udają, że się częstują cukierkami lub odmawiają ich, czyniąc gesty pozbawione znaczenia, unormowane z góry,

niby krok tancerki, która na przemian staje na palcach lub krąży dokoła szarfy. Kto wie, w chwili gdy bogini ofiarowywała te cukierki, powiadała może ironicznie (bo widziałem, że się uśmiecha): „Czy pozwoli pan cukierka?”. Cóż mi to znaczyło? Ujrzałbym rozkoszne wyrafinowanie w celowej oschłości (*à la Mérimée* lub *à la Meilhac*) tych słów skierowanych przez boginię do półboga, który wiedział, jakie wzniosłe myśli pokrywają oboje, chowając je z pewnością na chwilę, gdy zaczną znów żyć prawdziwym życiem; i podejmując zabawę, odpowiadał z tą samą dyskretną finezją: „Owszem, proszę o wisienkę”. I byłbym słuchał tego dialogu równie chciwie, co jakiejś sceny z *Męża debiutantki*, gdzie brak poezji i wielkich myśli – rzeczy dla mnie tak potocznych, które, przypuszczam, Meilhac byłby tysiąc razy zdolny tam włożyć – zdawał mi się sam przez się elegancją, elegancją umowną i przez to samo tym bardziej tajemniczą i pouczającą.

– Ten gruby, to margrabia de Ganancay – rzekł z dobrze poinformowaną miną mój sąsiad, który źle usłyszał szepnięte za nim nazwisko.

Margrabia de Palancy z wyciągniętą szyją, z przekrzywioną twarzą, z wielkim okiem przyklepionym do monokla, przesuwając się z wolna w przejrzystym cieniu, zdając się tak samo nie widzieć publiczności z fotelów, jak ryba przepływająca poza oszkloną ścianą akwarium. Chwilami zatrzymywał się, czcigodny, sapiący i obrosły mchem, przy czym widzowie nie mogliby powiedzieć, czy on cierpi, śpi, pływa, znosi

jajko lub tylko oddycha. Nikt nie budził we mnie takiej zazdrości jak on, dla przywilejów, jakimi zdawał się cieszyć w tej łoży, oraz obojętności, z jaką pozwalał księżnej częstować się cukierkami; obejmowała go wówczas spojrzeniem swoich pięknych oczu wyciętych w diamencie, ogarniających go w tej chwili inteligencją i przyjaźnią. Oczy te, kiedy były spokojne, ograniczały się do swojej czystej materialnej piękności, do samego mineralnego blasku, ale, o ile najmniejszy odruch poruszył je lekko, rozpalały głębie sali nie ludzkimi, horyzontalnymi i wspaniałymi ogniami.

Jednakże, ponieważ akt *Fedry*, który grała Berma, miał się rozpocząć, księżna wysunęła się na przód łoży; wówczas, jak gdyby ona sama była teatralnym zjawiskiem, ujrzałem iż, w odmiennej strefie światła, którą przebyła, zmienia się nie tylko barwa, ale materiał jej strojów. I w łoży osuszonej, wyłoniętej z oceanu, nienależącej już do świata wód, księżna, przestając być nereidą, ukazała się w białym i błękitnym turbanie niby jakaś cudowna tragiczka ukostiumowana na Zairę lub może na Orosmana; po czym, kiedy usiadła w pierwszym rzędzie, ujrzałem, iż przytulne gniazdko alcjona, tkliwie chroniące różową perłową masę jej policzków, to był – mięciutki, lśniący i jedwabisty – olbrzymi rajski ptak.

Wśród tego oczy moje odciągnęła od łoży księżnej Marii kobieta drobna, źle ubrana, brzydka, z płomiennymi oczami, która w towarzystwie dwóch młodych ludzi siadła o kilka miejsc ode mnie. Potem kurtyna się podniosła. Nie bez melancholii

stwierdziłem, że nic mi już nie zostało z dawniejszych nastrojów, kiedy to – aby nic nie stracić z nadzwyczajnego zjawiska, które byłbym pospieszył oglądać na koniec świata – trzymałem duszę w pogotowiu, niby owe czułe klisze, które astronomowie instalują w Afryce, na Antylach, dla ścisłej obserwacji komety lub zaćmienia; kiedym drżał, aby jakaś chmura (niedyspozycja artystki, zachowanie się publiczności) nie przeszkodziła widowisku osiągnąć maksimum nasilenia; kiedy bym uważał, że nie oglądam go w najlepszych warunkach, gdybym się nie znalazł w tym właśnie teatrze, poświęconym jej na kształt ołtarza, do którego włączałem wówczas (mimo iż jako uboczną część jej zjawienia się pod czerwoną kotarą) mianowanych przez nią kontrolerów z białymi goździkami, podmurowanie nawy nad parterem pełnym ludzi źle ubranych, bileterki sprzedające program z jej fotografią, kasztaniarzy ze skweru, wszystkich tych towarzyszków, tych powierników moich ówczesnych wrażeń, którzy mi się zdawali od nich nieodłączni. *Fedra*, „scena oświadczyn”, Berma, wszystko to miało wówczas dla mnie rodzaj absolutnego istnienia. Pomieszczone poza bieżącym światem, zjawiska te istniały same przez siebie, trzeba mi było iść ku nim, aby z nich przeniknąć, ile się da, a otwierając na oścież oczy i duszę, jeszcze wchłonałbym bardzo mało. Ale jak życie wydawało mi się przyjemne! Czczuć dni, które pędziłem, nie miała żadnej wagi, niby chwile, w których się człowiek ubiera, gotuje do wyjścia, skoro poza tym istniały w sposób absolutny, dobre a trudno dostępne, niemożliwe

do całkowitego posiadania owe trwalsze realności, *Fedra*, gra Bermy. Nasycony tymi marzeniami o doskonałości sztuki dramatycznej, których można by wówczas wydobyć znaczną dawkę, gdyby się w owej dobie, o którejkolwiek minucie dnia, a może nocy, zanalizowało mój umysł, byłem niby stos Wolty wyładowujący elektryczność. I przyszła chwila, w której, nawet będąc chory, nawet gdybym miał to przypłacić życiem, musiałem zobaczyć Bermę. Ale teraz, niby pagórek, który z daleka wydaje się z lazuru, a z bliska wsiąka w nasze pospolite widzenie przedmiotów, wszystko to opuściło świat absolutu i było już tylko rzeczą podobną do innych, którą przyjmowałem do świadomości, ponieważ byłem tam obecny; artyści byli ludźmi z tej samej materii co moi znajomi, starali się mówić możliwie najlepiej te wiersze z *Fedry*, które też nie były już wzniosłą i indywidualną, odrębną od wszystkiego istnością, ale mniej lub więcej udatnymi wierszami, gotowymi utonąć w olbrzymiej masie francuskich wierszy, z którymi się mieszały. Zniechęcenie moje było tym głębsze, że o ile przedmiot mojego upartego i czynnego pragnienia już nie istniał, w zamian za to wciąż istniała ta sama skłonność do opętania marzeniem, zmieniającym się z roku na rok, ale wiodącym mnie do nagłego wybuchu niedbającego na niebezpieczeństwa. Jakiś dzień, kiedy, będąc chory, wybrałem się, aby oglądać w pewnym zamku obraz Elstira lub średniowieczny kobierzec, tak bardzo podobny był do dnia, gdy miałem jechać do Wenecji, lub kiedy poszedłem oglądać Bermę, lub pojechałem do Balbec, że z góry czułem,

iż obecny przedmiot mojej ofiary zostawi mnie po niedługim czasie obojętnym, tak iż mógłbym wówczas przejeżdżać bardzo blisko, a nie wstąpić, aby obejrzeć ów obraz lub kobierzec, dla których byłbym się w danej chwili naraził na tyle bezsennych nocy, na tyle bolesnych ataków choroby. Oceniałem czczość swego wysiłku z niestałości jego przedmiotu, a równocześnie czułem jego ogrom, w który wprzód nie wierzyłem. Byłem jak owi neurastenicy, których zmęczenie zdwaja się, skoro im zwrócić uwagę, że są zmęczeni. Na razie zaduma moja dawała urok wszystkiemu, co się z nią mogło wiązać. I nawet w moich najbardziej cielesnych pragnieniach, zawsze zwracających się w pewną stronę, skupionych dokoła tego samego marzenia, jako pierwszą pobudkę mógłbym rozpoznać ideę, ideę, dla której poświęciłbym życie, a w której centralnym punkcie – jak w moich marzeniach w czasie popołudniowych lektur w ogrodzie w Combray – było pojęcie doskonałości.

Nie miałem już tej samej co niegdyś pobłażliwości dla trafnych akcentów tkliwości lub gniewu, jakie zauważyłem wówczas w deklamacji i w grze Arycji, Ismeny i Hipolita. Nie znaczy to, aby ci artyści – byli to ci sami co wtedy – nie starali się, wciąż z tą samą inteligencją, dać tu swemu głosowi intonacji pieszczoty lub celowej dwuznaczności, ówdzie swoim gestom tragicznego dostojęstwa lub błagalnej słodyczy. Akcenty ich nakazywały temu głosowi: „Bądź słodki, śpiewaj jak słowik, pieść” lub przeciwnie: „Bądź wściekły”; wówczas rzucały się na ten głos, starając się porwać go swoją furją. Ale

oporny głos pozostawał niewzruszenie ich naturalnym głosem, z jego materialnymi brakami lub urokami, z jego codzienną pospolitością lub przesadą, i tworzył zespół akustycznych lub socjalnych przejawów, których nie zmieniło poczucie recytowanych wierszy.

Toż sam gest tych artystów powiadał ich ręką, ich płaszczowi: „Bądźcie majestatyczni”. Ale nieusłuchane członki pozwalały się – między ramieniem a łokciem – puszyć bicepsom, niemającym pojęcia o roli; nadal wyrażały błahość potocznego życia oraz wydobywały na światło, w miejsce Rasynowych harmonii, węzły mięśniowe; draperia, którą podnosiły, opadała po linii pionowej, przy czym z prawami ciężkości walczyła jedynie martwa lekkość materii. W tej chwili damulka siedząca koło mnie wykrzyknęła:

– Ani jednego brawa! I jak ona się wysztafirowała! Ależ ona jest za stara, już nie może; w takich razach nie trzeba się upierać!

Wobec psykań publiczności, dwaj młodzi ludzie, którzy towarzyszyli tej pani, starali się ją uspokoić; jakoż wściekłość jej wyrażała się już tylko oczami. Wściekłość ta mogła zresztą godzić jedynie w powodzenie, w sławę, bo Berma, która zarabiała tyle pieniędzy, miała tylko dług. Naznaczając wciąż zawodowe lub przyjacielskie spotkania, na które się nie mogła stawić, wysyłała na wszystkie strony groomów biegających, aby ją usprawiedliwić; w hotelach miała pozamawiane apartamenty, z których nigdy nie korzystała; oceany perfum dla kąpania suczek, ciężar odszkodowań płaconych wszystkim dyrektorom.

W braku kosztów znaczniejszych a mniej rozkoszliwych niż wydatki Kleopatry, potrafiłaby strwonić prowincje i królestwa na telegramy i dorożki. Ale owa damulka to była aktorka, której się nie powiodło w karierze i która powzięła śmiertelną nienawiść do Bermy.

Berma weszła właśnie na scenę. I wówczas, o cudzie, jak owe lekcje, których obkuwaniem wyczerpaliśmy się do szczytu wczoraj wieczór, a które odnajdujemy w sobie umiane na pamięć, kiedyśmy się przespali; jak owe twarze zmarłych, które ścigaliśmy namiętnym wysiłkiem pamięci, nie mogąc ich odnaleźć, a które, kiedy już o nich nie myślimy, jawią się przed naszymi oczami, łudząco żywe, tak talent Bermy, który uciekał przede mną, kiedyś się silił pochwycić jego istotę, teraz, po latach zapomnienia, w tej godzinie obojętności, narzucał się z całą oczywistością memu podziwowi. Niegdyś, starając się wyodrębnić ten talent, potraçałem niejako z tego, com słyszał, samą rolę – rolę, wspólną własność wszystkich aktorek grających Fedrę – którą przestudiowałem z góry, aby ją wyeliminować, aby zebrać jako resztę jedynie talent Bermy. Ale ten talent, który starałem się uchwycić poza rolą, stapiał się z nią w jedno. Tak jak gra wielkiego muzyka (zdaje się, że tak było u Vinteuila, kiedy grał na fortepianie) jest grą tak wielkiego pianisty, że nawet się już nie wie, czy ten artysta jest w ogóle pianistą, ponieważ (nie narzucając całego aparatu wysiłków mięśniowych, tu i ówdzie uwieńczonych świetnym efektem, całego tego prysznicu nut, w którym słuchacz, nie

wiedząc czego się trzymać, sądzi bodaj, że znalazł talent w jego fizycznej realności, dotykalny) ta gra stała się przejrzysta, tak nasyciona tym, co odtwarza, że już się jej samej nie widzi, jest tylko oknem na arcydzieło. Mogłem rozpoznać intencje okalające niejako majestatycznym lub subtelnym szlakiem głos i mimikę Arycji, Ismeny, Hipolita; ale Fedra wcieliła je w siebie, tak że moja świadomość nie mogła już oderwać od dykcji i od póż, nie mogła w oszczędnej prostocie ich gładkich powierzchni dostrzec owych odkryć, owych efektów, które nie przekraczały tych intencji, tak głęboko były w nich zawarte. Głos Bermy, w którym nie istniała już żadna resztką bezczulej i odpornej duchowi materii, nie pozwalał dostrzec dokoła niej tego nadmiaru łez, które widziało się spływające po marmurowym głosie Arycji i Ismeny, ponieważ nie mogły w ten głos wsiąknąć; jej głos był delikatnie spulchniony w swoich najdrobniejszych komórkach, niby instrument wielkiego skrzypka, u którego, kiedy się mówi, że ma piękny ton, chwali się nie fizyczną właściwością, ale bogactwo duszy; i niby w antycznym krajobrazie, gdzie w miejsce nimfy, która pierzchła, znajduje się nieożywione źródło, rozpoznawalna i konkretna intencja zmieniała się tu w jakąś właściwość dźwięku, o czystości idealnie dostrojonej i zimnej. Ramiona Bermy, które sam wiersz – tą samą emisją, która wyrzucała głos z jej ust – podnosił na jej piersi niby liście poruszane spływaniem wody; poza jej, którą stworzyła sobie pomału i którą miała zmienić jeszcze, powstała z refleksji o ileż głębszych niż te, których ślad spostrzegało

się w gestach jej koleżanek, ale z refleksji, co straciwszy swój świadomy początek, stopione w jakimś promieniowaniu dokoła osoby Fedry, wprawiały w drganie bogate i złożone składniki, które urzeczony widz brał nie za zdobycz artysty, lecz za element życia; same te białe zasłony, wycieńczone i wierne, zdawały się żywą materią, jak gdyby były utkane przez na wpół pogańskie, na wpół jansenistyczne cierpienie, dokoła którego kurczyły się na kształt kruchego i zziębniętego kokona; wszystko to, głos, pozy, gesty, zasłony, tworzyły jedynie dodatkowe powłoki dokoła tego ciała myśli, jakim jest wiersz (ciała, co na wspak ciałom ludzkim, nie jest dla duszy ciemną zaporą, niepozwalającą jej spostrzec, ale jest niby oczyszczona i ożywiona szata, w której się ona rozpuszcza i gdzie się ją odnajduje). Owe powłoki, zamiast ukrywać tę myśl, uwydatniały wspaniale duszę, która sobie przyswoiła te wiersze i która się w nich rozlała; były jedynie stopem różnych substancji, obecnie przeźroczystych, których nawarstwienie bogaciej jedynie odbija uwięziony w nich centralny promień przechodzący je na wskroś i czyniący rozciąglejszą, cenniejszą i piękniejszą nasyconą płomieniem materię, którą jest spowity. W ten sposób kreacja Bermy tworzyła dokoła dzieła drugie dzieło, również ożywione geniuszem.

Moje wrażenie – szczerze mówiąc, milsze od dawniejszego – nie było odmienne. Jedynie nie konfrontowałem go już z uprzednim abstrakcyjnym i fałszywym pojęciem geniuszu dramatycznego; rozumiałem, że geniusz dramatyczny, to właśnie

to. Myślałem przed chwilą, że jeżeli nie czułem przyjemności za pierwszym razem, kiedy słyszałem Berme, to dlatego, że, jak niegdyś, kiedy ujrzałem Gilbertę na Polach Elizejskich, zbliżałem się do niej z nadzwyczajnym wielkim upragnieniem. Między tymi dwoma zawodami istniało może nie tylko to jedno podobieństwo, ale także inne, głębsze. Wrażenie, jakie na nas sprawia dana osoba, dane dzieło (lub interpretacja) o silnie zarysowanej odrębności, ma coś swoistego. Przynieśliśmy z sobą pojęcie „piękna”, „szerokości stylu”, „patetyczności”, których moglibyśmy się od biedy dopatrzeć w banalności jakiegoś poprawnego talentu lub twarzy; ale tu nasz wyczekujący duch spotyka się z naciskiem formy, której równoważnika intelektualnego nie posiada, z której trzeba mu wydobyć nieznaną. Słyszy ostry dźwięk, dziwacznie pytającą intonację. Zastanawia się: „czy to, czego doznaję, jest piękne? czy to jest podziw? czy to jest bogactwo kolorytu, szlachetność, siła?”. I odpowiada mu na nowo ostry głos, dziwnie pytający ton, despotyczne wrażenie wywołane przez nieznaną nam, całkowicie materialną istotę, w której nie zostało żadnego marginesu na „szerokość interpretacji”. I dlatego dzieła naprawdę piękne, jeżeli ich szczerze słuchamy, muszą nam sprawiać największy zawód, ponieważ w zbiorze naszych pojęć żadne nie odpowiada wrażeniu indywidualnemu.

Tego właśnie dowodziła mi gra Bermy. Tak, to było to – szlachetność, inteligencja dykcji. Teraz zdawałem sobie sprawę z walorów szerokiej, poetycznej, potężnej interpretacji; lub raczej to było coś, czemu zgodzono się dawać te przydomki,

ale tak jak się daje miano Marsa, Wenery, Saturna gwiazdom niemającym nic mitologicznego. Czujemy w jednym świecie, a myślimy i nazywamy w drugim; możemy ustalić między nimi zgodność, ale nie możemy zapełnić dzielącej ich przestrzeni. To bardzo mało ta przestrzeń, ta szczelina, którą musiałem przebyć pierwszy raz, widząc i słysząc Berme, kiedy, wysłuchawszy jej z całym napięciem, z niejakim trudem siłilem się wrócić do swoich pojęć o „szlachetnej interpretacji”, o „oryginalności”; wybuchłem oklaskami dopiero po chwili pustki, i tak jakby się one zrodziły nie z samego mojego wrażenia, ale jakbym je wiązał do swoich uprzednich pojęć, do przyjemności jaką znajdowałem w tej myśli: „słyszę wreszcie Berme”. I ta sama różnica, jaka istnieje między jakąś osobą lub silnie indywidualnym dziełem a pojęciem piękności, istnieje w nie mniejszym stopniu między zbudzonymi przez nie uczuciami a pojęciem miłości i podziwu. Toteż nie poznaje się ich. Nie odczułem przyjemności, słysząc Berme (tak samo jak nie odczuwałem jej niegdyś, widząc Gilbertę). Powiedziałem sobie: „Zatem nie podziwiam jej”. Ale myślałem wówczas jedynie o tym, aby zgłębić grę Bermy, byłem pochłonięty tylko tym, starałem się otworzyć swoją myśl możliwie najszerzej, aby przyjąć całą zawartość tej gry. Rozumiałem teraz, że to właśnie znaczyło: podziwiać.

Ów geniusz, którego gra Bermy była tylko objawieniem, czy to był tylko geniusz Rasyna?

Tak zrazu myślałem. Miałem wyjść z błędu po skończeniu aktu *Fedry*. W czasie owacji publiczności, stara aktorka,

wściekła, prężąc swoją drobną postać, siedząc bokiem z martwą twarzą, skrzyżowała ręce na piersiach, aby pokazać, że nie wtóruje oklaskom, aby jaskrawiej uwydatnić protest, w jej poczuciu sensacyjny, a w istocie niezauważony przez nikogo. Następna sztuka, to była nowość, z gatunku tych, które niegdyś zdawały mi się dla braku rozgłosu błahe, przemijające, jako że pozbawione pozascenicznego istnienia. Ale nie miałem, jak przy utworze klasycznym, tego zawodu, iż wieczność arcydzieła zajmuje jedynie długość rampy oraz czas spektaklu, w którym odmawia się je niby okolicznościową modlitwę. Następnie, w każdej tyradzie, przy której czułem, że ją publiczność lubi, i która miała być kiedyś sławna, niedostatek jej sławy w przeszłości uzupełniałem sławą, jaką uzyska w przyszłości. Był to wysiłek myśli odwrotny do tego, który polega na wyobrażeniu sobie arcydzieła w chwili jego nikłych narodzin, kiedy jego tytuł, nigdy jeszcze niesłyszany, nie zapowiadał, iż znajdzie się kiedyś stopiony w tym samym świetle, obok tytułów innych dzieł autora. I że ta rola znajdzie się kiedyś na liście najpiękniejszych ról Bermy, obok roli Fedry. Nie iżby sama w sobie sztuka posiadała jakąś wartość literacką; ale Berma była w niej równie wspaniała, jak w *Fedrze*. Zrozumiałem wówczas, że dzieło pisarza jest dla aktorki tylko materiałem – niemal obojętnym w sobie – dla stworzenia arcydzieła interpretacji, tak jak wielki malarz, którego poznałem w Balbec, Elstir, dla dwóch jednak pięknych obrazów znalazł temat w banalnym budynku szkolnym i w katedrze, która jest sama przez się arcydziełem.

I jak malarz rozpuszcza dom, wóz, osoby, w fali światła, która je stapia w jedno, tak Berma rozpościerała szerokie całuny grozy, tkliwości na słowach stopionych w jedność, wszystkich jednakowo zmatowanych lub podciągniętych, a które mierna artystka byłaby wygrywała kolejno, jedno po drugim. Bez wątpienia, każde z nich miało własny akcent i dykcja Bermy nie przeszkadzała czuć w nich wiersza. Czyż to nie jest już pierwszy element uporządkowanej złożoności, to znaczy piękna, kiedy, słysząc rym – to znaczy coś, co jest zarazem jednakie i inne niż rym poprzedzający, umotywowany tamtym, ale wnoszący weń różnaitość nowego pojęcia, – czujemy dwa wznoszące się na siebie systemy, jeden myślowy, drugi metryczny? Ale Berma wprowadzała słowa, nawet wiersze, nawet „tyrady” w obszerniejsze od nich zespoły; cudowne było widzieć, jak na ich granicy muszą się zatrzymać, przerwać sobie; tak poeta znajduje przyjemność w tym, aby zawiesić na chwilę przed rymem słowo mające wzlecieć, a muzyk, aby splatać rozmaite słowa tekstu we wspólnym rytmie, który je gwałci i porywa. Tak, w dialog nowoczesnego autora czy w wiersze Racine’a, Berma umiała wprowadzić owe szerokie obrazy bólu, dostojenstwa, namiętności, będące jej własnym arcydziełem, i w których poznawało się ją, tak jak poznaje się malarza w portretach malowanych z rozmaitych modeliów.

Nie byłbym już pragnął, jak niegdyś, unieruchomić póź Bermy, pięknego kolorystycznego efektu, jaki stwarzała przez chwilę tylko w przelotnym i niepowracającym oświeteniu, ani

też kazać jej sto razy powtarzać jednego wiersza. Rozumiałem, że moje dawniejsze pragnienie było bardziej wymagające niż wola poety, aktorki, wielkiego artysty dekoratora i że ten urok rozlany błyskawicznie na jakimś wierszu, te wciąż zmieniające się i nieuchwytne pozy, te kolejne obrazy, to był ulotny rezultat, doraźny cel, ruchome arcydzieło, które zakłada sobie sztuka teatralna, a które uwaga zbyt gorliwego miłośnika zniweczyłaby, siląc się je utrwalić. Nie zależało mi nawet na tym, aby jeszcze kiedy znów usłyszeć Bermę; byłem nią nasycony; niegdyś, kiedym zanadto podziwiał, tym samym będąc skazany na zawód (czy przedmiotem podziwu była Gilberta czy Berma), z góry od jutrzejszego wrażenia żądałem rozkoszy, jakiej mi nie dało wrażenie wczorajsze. Nie starając się zgłębić doznanej radości, z której dałoby się może uczynić płodniejszy użytek, powiadałem sobie, jak kiedyś jeden z moich kolegów: „Nie ma co, Bermie daję piątkę”, czując mglisto, że ten wyraz mojego wyboru i to pierwsze miejsce, mimo całego ukojenia, jakie mi przynosi, nie tłumaczy może zbyt dokładnie talentu Bermy.

W chwili gdy się zaczęła druga sztuka, spojrzałem w stronę łoży pani de Guermantes. Ruchem rodzącym rozkoszną linię, którą duch mój ścigał w próżni, księżna Maria zwróciła głowę w głąb łoży. Goście jej stali, zwróceniu również w głąb; w szpalerze, jaki tworzyli, zjawiła się, ze spokojem i majestatem bogini, ale z nieznaną słodyczą, zrodzoną stąd, że swoim spóźnieniem niepokoi wszystkich w pełni spektaklu – kojarząc białe muśliny, w które była spowita oraz sprytnie naiwną,

nieśmiałą i zawstydzoną minę ze zwycięskim uśmiechem, zjawiała się księżna Oriana de Guermantes. Podszedłszy do swojej kuzynki, złożyła głęboki ukłon młodemu blondynowi siedzącemu na przedzie, po czym, obracając się do morskich i świętych potworów bujających w głębi groty, rzuciła tym półbogom z jockey-clubu (którym w tej chwili, zwłaszcza panu de Palancy, najbardziej zazdrościłem) poufale przywitanie starej przyjaciółki, wyraz codziennych stosunków od lat piętnastu. Odczuwałem tajemnicę, ale nie mogłem odcyfrować zagadki tego uśmiechniętego spojrzenia, lśniącego błękitnym blaskiem, podczas gdy księżna podawała kolejno rękę przyjaciołom: gdybym umiał rozłożyć jego pryzmat, zanalizować krystalizację, zdradziłoby mi może istotę nieznanego życia, odbijającego się w nim w tej chwili. Księżę Błażej szedł za żoną, przy czym błyski monokla, śmiech uzębienia, białość goździka lub plisowanego gorsu, rozsuwały jego brwi, wargi, frak, aby zyskać miejsce dla swego blasku; gestem wyciągniętej ręki, którą prostopadle, nie ruszając głową, opuścił na ramiona podrzędnych i czyniących mu miejsce potworów, nakazał im usiąść i skłonił się głęboko przed młodym blondynem. Można by rzec, iż księżna Oriana odgadła, że kuzynka, w której wyśmiewała to, co nazywała *przesadą* (miano, jakie z jej dowcipnie francuskiej i arcyumiarkowanej perspektywy, łatwo zyskiwał germański entuzjizm i sentymentalizm), włoży tego wieczoru jedną z toalet, które księżna nazywała „operą”, i że chciała jej dać lekcję gustu. Zamiast cudownych i miękkich

piór, które spływały z głowy księżnej Marii na szyję, w miejsce jej siatki z muszelek i pereł, księżna Oriana miała we włosach tylko prostą egretkę, która, stercząc nad jej orlim nosem i wypukłymi oczami, robiła wrażenie ptasiego czuba. Szyja i ramiona wyłaniały się ze śnieżnej fali muślinu, którą muskał wachlarz z piór łabędzich; ale dalej suknia, której stanik miał za jedyną ozdobę niezliczone pajetki (to z metalowych pręcików i ziarenek, to z brylantów), otulała jej ciało z iście brytyjską dokładnością. Ale, mimo iż toalety obu kobiet były tak różne, skoro księżna Maria oddała kuzynce krzesło, które zajmowała dotąd, zwróciły się ku sobie, podziwiając się wzajem.

Może księżnej Orianie zdarzy się nazajutrz uśmiechnąć, kiedy będzie mówiła o skomplikowanej nieco fryzurze księżnej Marii; ale z pewnością oświadczy, że była czarująca i cudownie „zaaranżowana”; a księżna Maria, która, na swój gust, znajdowała coś zbyt chłodnego i oschłego, zbyt krawieckiego w sposobie ubierania się kuzynki, odkryje w tej surowości uroczą wytworność. Zresztą, harmonia będąca między nimi oraz ogólne tendencje ich wychowania, neutralizowały kontrast nie tylko stroju ale i wzięcia. W tych niewidzialnych i magnetycznych liniach, jakie rozpinał między nimi wykuint manier, zamierała ekspansywna natura księżnej Marii, gdy prostolinijność księżnej Oriany gięła się w ich przyciąganiu, stawiała się słodyczą i wdziękiem. Tak jak w sztuce, oglądanej właśnie w tej chwili, na to aby zrozumieć, ile własnej jej poezji promieniowało z Bermy, wystarczyłoby powierzyć rolę, którą grała (i którą

ona jedna mogła grać), jakiegokolwiek innej aktorce, tak widz, który by podniósł oczy na balkon, ujrzałby w dwóch łóżach, jak fryzura mająca niby to przypominać księżną Marię daje baronowej de Morienvall jedynie wygląd ekscentryczny, pretensjonalny i pospolity, cierpliwy zaś i kosztowny wysiłek w tym, aby naśladować toalety i szyk księżnej Oriany, czyni panią de Cambremer podobną do jakiejś prowincjonalnej pensjonarki, osadzonej jak na drucie, prostej, suchej i kanciastej, z karawaniarskim pióropuszem tkwiącym pionowo we włosach. Może jej miejsce nie było w tej sali, gdzie łoże, wypełnione najświetniejszymi kobietami sezonu (nawet łoże najwyższych pięter, które z dołu wydawały się niby wielkie kosze obsadzone ludzkimi kwiatami i przywiązane do sufitu czerwonymi aksamitnymi wstęgami), tworzyły ulotną panoramę, którą miały niebawem zmienić śmierć, skandale, choroby i zwady, ale która w tej chwili była stężała uwagą, upałem, zawrotem głowy, kurzem, elegancją i nudą, w tej wiekuistej i tragicznej chwili nieświadomego oczekiwania i spokojnego odrętwienia, później, wstecz, robiącego wrażenie takie, jakby poprzedzało wybuch bomby lub pierwszy błysk pożaru.

Racją, dla której pani de Cambremer znajdowała się tutaj, było to, że księżna Parmy, wolna od snobizmu jak większość prawdziwych „Wysokości”, w zamian zaś pożerana dumą i żądzą dobroczynności (żądza ta dorównywała u niej namiętności do tego, co uważała za Sztukę), ustąpiła kilku łóż osobom takim jak pani de Cambremer, osobom nienależącym do

najwyższego świata, ale pozostającym w stosunkach z księżną na terenie filantropii. Pani de Cambremer nie spuszczała z oczu księżnej Oriany i księżnej Marii, co jej przychodziło tym łatwiej, że nie znając ich osobiście, nie mogła budzić podejrzenia, iż zebrze o ukłon. Bywać u tych wielkich dam było wszelako celem, który ścigała od dziesięciu lat z niestrudzoną cierpliwością. Obliczyła, że osiągnęłaby to z pewnością za lat pięć. Ale dotknięta nieubłaganą chorobą, której groźny charakter знаła, mając pewne pretensje do wiedzy medycznej, bała się, że nie pożyje tak długo. Tego wieczora była przynajmniej szczęśliwa, myśląc, iż wszystkie te damy, których prawie nie znała, ujrzą w jej łoży jednego ze swoich przyjaciół, młodego margrabiego de Beausergeant, brata pani d'Argencourt, który bywał po równi w obu towarzystwach i którego obecnością kobiety z „drugiej klasy” lubiły się stroić w oczach kobiet z pierwszej. Siedział za panią de Cambremer na krześle ustawionym w poprzek, tak aby móc lornetować inne łoże. Znał tam wszystkich i kłaniając się z cudowną elegancją zgrabnej i wciętej figury, wytwornej głowy blond, na wpół podnosił się wyprostowany, z uśmiechem w błękitnych oczach, z odcieniem niedbałego szacunku, rytując w ten sposób z precyzją, w romboidalnej ramie łoży niby jakiś stary sztych przedstawiający dumnego i dwornego młodego pana. Bywał często w łoży pani de Cambremer; na sali oraz przy wyjściu, w przedsionku, stał koło niej mężnie w cizbie świetniejszych przyjaciółek, do których strzegł się odezwać, nie chcąc ich

wprawiać w kłopot, tak jakby był w podejrzanym towarzystwie. Jeżeli wówczas przechodziła księżna Maria, piękna i lekka jak Diana, wlokąc za sobą nieporównany płaszcz, zwracając ku sobie wszystkie głowy i ściągając wszystkie oczy (oczy pani de Cambremer bardziej od innych), pan de Beausergeant zatapiał się w rozmowę ze swoją sąsiadką, na przyjazny zaś i olśniewający uśmiech księżnej odpowiadał jedynie z przymusem, z taktowną wstrzeźmiewalnością i miłosiernym chłodem człowieka, którego uprzejmość mogłaby się stać w danej chwili kłopotliwa.

Gdyby nawet pani de Cambremer nie wiedziała, że łoża należy do księżnej Marii, odgadła by i tak, że księżna Oriana jest gościem, z większego zainteresowania, z jakim, przez uprzejmość dla gospodyni, śledziła widowisko i salę. Ale równocześnie z tą siłą odśrodkową, inna przeciwna siła, wzbudzona tym samym pragnieniem uprzejmości, ściągając uwagę księżnej Oriany na jej własną toaletę, na jej egretkę, naszyjnik, stanik, a także na toaletę samej księżnej Marii; zdawała się głosić wasalką swojej kuzynki, jej poddaną, przybyłą tu jedynie po to, aby ją podziwiać, gotową pospieszyć za nią gdzie indziej, o ile by właścicielce łoży przyszła ochota opuścić teatr; reszta sali była dla niej niby gromadka obcych, interesujących do oglądania, mimo że księżna Oriana liczyła tam wiele przyjaciół, w których łoży bywała w inne dni i wobec których rozwijała wówczas ten sam wyłączny, fakultatywny i periodyczny lojalizm.

Pani de Cambremer zdziwiła się, widząc księżnę Oriane

tęgo wieczora. Wiedziała, że zazwyczaj pozostaje bardzo długo w Guermantes, i myślała, że bawi tam jeszcze. Ale opowiadano jej, że czasami, kiedy było w Paryżu jakieś interesujące przedstawienie, księżna, ledwo wypiwszy herbatę w towarzystwie myśliwych, kazała zaprzęgać i o zachodzie słońca jechała ostrym klusem przez mroczny las, a potem drogą, aby złapać pociąg w Combray i być w Paryżu wieczorem. „Może przyjechała umyślnie z Guermantes, aby widzieć Bermę”, myślała z podziwem pani de Cambremer. I przypominała sobie, jak czasem Swann mówił w owej nieuchwytniej gwarze, którą dzielił z panem de Charlus: „Księżna Oriana, to jedna z najszlachetniejszych istot w Paryżu, z najbardziej wyrafinowanej, najrzadszej elity”.

Co do mnie, który z nazwisk Guermantes, Bavière oraz z nazwiska Conde wywodziłem życie i myśl dwóch kuzynek (nie mogłem już z tych nazwisk wywodzić ich twarzy, skoro je widziałem), byłbym wolał znać ich sąd o *Fedrze* niż sąd największego krytyka w świecie. Bo w jego sądzie znalazłbym tylko inteligencję – wyższą od mojej, ale tej samej natury. Ale to co myślała księżna Maria i księżna Oriana i co by mi dostarczyło nieoszacowanego dokumentu tyżącego tych dwóch poetycznych stworzeń, wyobrażałem sobie przy pomocy ich nazwisk, przeczuwałem w tym irracjonalny czar; z pragnieniem i nostalgią człowieka w gorączce, spodziewałem się od ich opinii o *Fedrze*, że mi ona wróci urok owych letnich popołudni, kiedy się przechadzał w stronie Guermantes.

Pani de Cambremer próbowała odcyfrować toalety dwóch kuzynek. Co do mnie, nie wątpiłem, że owe toalety są im właściwe, odrębne, nie tylko w tym sensie, w jakim liberia z czerwonym kołnierzem lub z niebieskim rabatem należała niegdyś wyłącznie do domu Guermantes lub Conde, ale raczej jak dla ptaka upierzenie, będące nie tylko ozdobą, ale dalszym ciągiem jego ciała. Strój tych dwóch istot zdawał mi się niby śnieżna lub mieniąca się barwami materializacja ich duchowej energii, i tak jak gesty księżnej Marii odpowiadały dla mnie jakiejś ukrytej idei, tak pióra spływające z jej czoła oraz olśniewający pajetkami stanik jej kuzynki zdawały się coś wyrażać, tworzyć dla każdej z tych kobiet wyłącznie jej przynależne godło, którego sens chciałbym poznać: rajski ptak zdawał mi się nieodłączny od księżnej Marii niby paw Junony, nie przypuszczałem zaś, aby inna kobieta mogła sobie uzurpować błyszczący stanik Oriany, nie bardziej niż lśniąca i oszytą frędzlami tarczę Minerwy. I kiedym obracał oczy na tę łożę, miałem wrażenie – o wiele bardziej, niż gdym spojrzał na sufit sali, wyobrażający zimne alegorie – że dzięki cudownemu rozdarciu tradycyjnych chmur, oglądałem zebranie bogów przyglądających się widowisku ludzi, pod czerwoną kotarą, w promiennym oknie lazuru, między dwoma filarami nieba. Patrzyłem na tę chwilową apoteozę ze wzruszeniem, kojony przez uczucie, że Nieśmiertelni nic o mnie nie wiedzą; księżna Oriana widziała mnie raz, jadąc z mężem, ale

z pewnością tego nie pamięta; nie bolało mnie, że ona, dzięki swemu miejscu w łoży, patrzy na bezimienne i zbiorowe ławice publiczności w krzesłach, bo czułem szczęśliwie istność swoją roztopioną w tej masie.

Nagle, mocą praw refrakcji, odbiła się widocznie w nieczułym strumieniu tych dwojga niebieskich oczu mętna forma nieistniejącego indywidualnie pierwotniaka (niby mnie); ujrzałem, że te oczy rozświeca jasność: z bogini zmieniawszy się w kobietę i stawszy się nagle dla mnie tysiąc razy piękniejsza, księżna Oriana podniosła ku mnie rękę w białej rękawiczce, dotąd opartą o krawędź łoży, i potrząsnęła nią przyjaźnie; równocześnie spojrzenia moje olśnił swoim mimowolnym blaskiem ogień źrenic księżnej Marii, która wznieciła w nich bezwiednie pożar, jedynie poruszając oczami, aby sprawdzić, z kim wita się jej kuzynka, gdy ta, poznawszy mnie, spuściła na mnie błyszczącą i niebiańską ulewę swego uśmiechu.

Obecnie co rano, o wiele przed godziną spaceru księżnej Oriany, szedłem okrężną drogą na róg ulicy, którą zazwyczaj chodziła, kiedy zaś zbliżał się moment jej prawdopodobnego zjawienia się, wracałem z roztargnioną miną, patrząc w przeciwną stronę i podnosząc oczy na księżną, z chwilą gdy ją mijałem, ale tak jak gdybym zgoła nie spodziewał się tego widoku. W pierwszych dniach nawet, aby być pewniejszym spotkania, czekałem na nią przed domem. I za każdym razem, kiedy się brama otwierała (przepuszczając kolejno tyle osób,

niebędących tą, której oczekiwałem), łoskot bramy przedłużał się potem w moim sercu w drganiach długo niemogących się ukoić. Bo nigdy nieznanym wielbiciel wielkiej aktorki wyczekujący jej pod „wyjściem artystów”, nigdy zajadły lub bałwochwalczy tłum zebrany, aby znieważać skazańca lub obnosić w tryumfie wielkiego człowieka, których zjawienie się odgaduje za każdym hałasem rozlegającym się z wnętrza więzienia lub pałacu, nie był tak wzruszony, jak ja, gdym oczekiwał wyjścia tej wielkiej damy, która, w skromnej toalecie, wdziękiem swego chodu (całkiem różnego od kroku, jakim wchodziła do salonu lub łoży) umiała ze swojej rannej przechadzki – dla mnie w całym świecie jedynie ona się przechadzała! – zrobić cały poemat elegancji, najsubtelniejszą strojność, najosobliwszy kwiat pogody.

Ale po trzech dniach, nie chcąc, aby odźwierny spostrzegł mój manewr, zacząłem chodzić znacznie dalej, aż do jakiegoś punktu zwyczajnej drogi księżnej. Często, przed owym wieczorem w teatrze, robiłem takie wypadki przed śniadaniem, kiedy było ładnie; jeżeli padał deszcz, za pierwszym przetarciem się nieba spieszyłem przejść się nieco; i nagle, na mokrym jeszcze chodniku zmienionym przez światło w złotą laskę, w apoteozie placyku rozpylonego mgłą, którą wyprawia i rozjaśnia słońce, spostrzegałem pensjonarkę idącą w towarzystwie nauczycielki lub mleczarkę w białych rękawach, i stałem chwilę bez ruchu, z ręką na sercu, które już wydzierało się ku obcemu życiu; starałem się przypomnieć sobie ulicę, godzinę, bramę, gdzie dziewczynka (za którą szedłem czasami) zniknęła, aby się

nie zjawić więcej. Szczęściem, ulotność tych lubych obrazów, którym sobie przyrzekał odszukać jeszcze, nie pozwalała utrwalić się im mocno w moim wspomnieniu. Ale i tak mniej smutno odczuwałem to, że jestem chory i że nie miałem jeszcze dotąd siły wziąć się do pracy, zacząć pisać książkę; ziemia zdawała mi się mieszkalniejsza, życie bardziej interesujące, od czasu jak widziałem, że ulice Paryża – tak samo jak ulice Balbec – zakwitają owymi nieznanymi pięknościami, które tak często starałem się wyczarować z lasów Méséglise, a z których każda budziła we mnie rozkoszne pragnienie, jedynie ona – tak mi się zdawało – zdolna je ukoić.

Wracając z Opéra-Comique, przydałem na dzień następny, do istot, które od kilku dni pragnąłem odnaleźć, obraz księżnej Oriany: dużej, z wysoką fryzurą jasnych i lekkich włosów, z tkliwą obietnicą zawartą w uśmiechu, jakim mnie obdarzyła z łóża kuzynki. Postanowiłem iść drogą, którą (jak mi mówiła Franciszka) chodziła księżna, starając się jednak nie zaniedbać godziny pensji i ćwiczeń duchownych, aby spotkać dwie ujrane przedwczoraj panienki. Ale, podczas gdy czekałem, błyszczący uśmiech księżnej Oriany, wrażenie jego słodczy, jawiły się od czasu do czasu w mojej pamięci. I nie bardzo wiedząc, co czynię, próbowałem pomieścić księżnę (jak kobieta przymierza do sukni garnitur kosztownych guzików, który właśnie dostała) obok moich dawnych romantycznych idei wyzwolonych we mnie przez chłód Albertyny, przedwczesny wyjazd Gizeli, dawniej przez dobrowolną i zbyt długą rozłąkę z Gilbertą (na przykład

marzenie o miłości kobiety, o wspólnym z nią życiu); potem przymierzałem do tych myśli obraz jednej lub drugiej z dwóch spotkanych dziewcząt; tuż potem starałem się dostroić do tych pojęć wspomnienie księżnej. W obliczu tych myśli, wspomnienie pani de Guermantes w Opéra-Comique było drobiazgiem, małą gwiazdką przy długim ogonie jej błyszczącej komety; co więcej, znałem dobrze te uczucia, zanim poznałem panią de Guermantes, podczas gdy, przeciwnie, wspomnienie jej posiadałem bardzo niedoskonale; wymykało mi się chwilami. W ciągu tych godzin, kiedy z obrazu bujającego we mnie po równi z obrazami innych ładnych kobiet, przeszło ono pomału w stan jedyne i ostatecznego stopienia się – z wyłączeniem wszelkiego innego obrazu kobiety z moimi romantycznymi ideami o tyle odeń wcześniejszymi – w ciągu tych kilku godzin, kiedy je sobie przypominałem najlepiej, powinienem był dokładnie sprawdzić, czym ono było. Ale nie znałem wówczas ważności, jakiej wspomnienie to miało nabrać; było jedynie słodkie jak pierwsza schadzka z księżną we mnie samym; było pierwszym szkicem – jedynym prawdziwym, jedynym zdjętym z natury, jedynym który był naprawdę panią de Guermantes. I tylko przez kilka godzin, przez które miałem szczęście przechowywać owo wspomnienie, nie umiając na nie zwracać uwagi, musiało ono być bardzo urocze, skoro zawsze – jeszcze swobodnie w owej chwili, bez pośpiechu, bez zmęczenia, bez przymusu lub onieśmienia – wracały do niego moje myśli o miłości: później, w miarę jak te myśli utrwaliły

je ostateczniej, wspomnienie to zaczerpnęło z nich większą siłę, ale stało się jakby mglistsze. Niebawem nie umiałem go już odnaleźć i w marzeniach swoich zniekształcałem je zapewne całkowicie, bo, za każdym razem, kiedym widział panią de Guermantes, stwierdzałem rozdzwięk – zawsze zresztą odmienny – między tym, com wyroził, a tym, co widziałem. Zapewne, za każdym razem teraz, w chwili gdy pani de Guermantes zjawiała się na ulicy, spostrzegałem jeszcze jej wysoką postać, jej jasne spojrzenie pod lekkimi włosami, wszystkie te szczegóły, dla których byłem tutaj; ale w zamian, w kilka sekund później, kiedy, zwróciwszy oczy w innym kierunku, iżby nie wyglądało, żem się spodziewał tego spotkania, podnosiłem je na księżnę, mijając ją, widziałem czerwone plamki – nie wiadomo wskutek wiatru czy spryszczenia skóry – na niechętnej twarzy, która znakiem suchym i bardzo odległym od uprzejmości owego wieczora w teatrze, odpowiadała na mój ukłon, składany co dzień ze zdziwioną miną, a najwidoczniej nieprzypadający jej do smaku. Jednakże po upływie kilku dni, przez które obraz dwóch pańienek z różnym szczęściem walczył o panowanie w moich miłosnych myślach ze wspomnieniem pani de Guermantes, odradzało się ono najczęściej jak gdyby samo z siebie, podczas gdy jego konkurentki same z siebie pierzchały; na nie – na to wspomnienie – przeniósłem w końcu wszystkie swoje myśli miłosne, w sumie jeszcze dobrowolnie, jak gdyby z wyboru i z upodobania. Nie myślałem już o pensjonarkach ani o mleczarce, mimo iż nie spodziewałem się już odnaleźć na ulicy

tęgo, czego szukał: ani czułości przyrzeczonej uśmiechem w teatrze, ani sylwetki i jasnej twarzy pod włosami blond – istniejących jedynie z daleka. Teraz nie umiałbym nawet powiedzieć, jaka jest pani de Guermantes, po czym ją poznaję, bo co dzień, w całokształcie jej osoby, twarz jej zmieniała się, jak suknia i kapelusz.

Czemu raz, widząc zbliżającą się do mnie wprost w „budce” lila słodką i gładką twarz o wdziękach symetrycznie rozmieszczonych dokoła pary błękitnych oczu, twarz, w którą linia nosa była jak gdyby wessana, odgadywałem z radosnym wzruszeniem, że nie wrócę, nie ujrawszy pani de Guermantes; czemu odczuwałem to samo wzruszenie, udawałem tę samą obojętność, odwracałem oczy z tym samym udanym roztargnieniem, co wczoraj na widok dojrzanego w poprzecznej ulicy profilu w niebieskim toczku, nosa na kształt ptasiego dzioba wyrastającego z czerwonego policzka, przeciętego przenikliwym okiem niby bóstwo egipskie? Raz nawet ujrzałem nie kobietę z ptasim dziobem, ale jak gdyby samego ptaka: suknia, a nawet toczek pani de Guermantes były futrzane, nie widziało się żadnej materii, tak iż wydawała się porośnięta futrem, jak owe sępy, których gęste, gładkie, płowe i miękkie upierzenie robi wrażenie sierści. Pośród tego naturalnego upierzenia, mała głowa zakrzywiała swój ptasi dziób, wypukłe oczy były przenikliwe i niebieskie.

Pewnego dnia przechadzałem się parę godzin po ulicy, nie widząc pani de Guermantes, kiedy nagle ze sklepu mleczarza

wciśniętego między dwa pałace w tej arystokratycznej i ludowej dzielnicy, wyłoniła się mętna i nowa twarz eleganckiej kobiety, która kazała sobie pokazywać serki śmietankowe; zanim miałem czas rozpoznać tę twarz, uderzyło mnie niby błyskawica spojrzenie księżnej, dotarłszy do mnie szybciej od reszty obrazu. Innym razem, nie spotkawszy jej i słysząc, jak bije południe, zrozumiałem, że nie warto już czekać i wracałem smutno do domu; pochłonięty swoim zawodem, patrząc bezmyślnie na powóz, który się oddalał, zrozumiałem nagle, że ruch głowy, jaki dama wykonała w oknie powozu był dla mnie, i że ta dama, której apatyczne i blade lub przeciwnie napięte i żywe rysy tworzyły pod okrągłym kapeluszem i wysoką egretką twarz obcej, a przynajmniej niepoznanej osoby, to jest pani Guermantes: przeoczyłem jej ukłon, nie odłożywszy się nawet! I niekiedy, wracając, widziałem ją w łoży portiera, gdzie wstrętny odźwierny, którego badawczych spojrzeń nienawidziłem, składał jej uniżone pokłony, a z pewnością i raporty. Bo cały personel Guermantów, ukryty za firankami w oknach, śledził ze drżeniem dialog, którego nie słyszał, a w którego następstwie księżna miała niechybnie pozbawić „wychodni” kogoś ze służby, kogo „fagas” wydał.

Z powodu wszystkich kolejnych objawień się rozmaitych twarzy, jakie mi ukazywała pani de Guermantes, twarzy zajmujących rozmaitą w swojej względności, to szczupłą, to rozległą przestrzeń w całokształcie jej toalety, miłość moja nie była związana z taką lub inną z owych zmiennych partii

ciała i materii, które, zależnie od dnia, zajmowały miejsce innych i które księżna mogła odmienić i odnawiać niemal całkowicie, nie naruszając mojego wzruszenia; poprzez te szczegóły, poprzez nową ramę nieznanego policzka, czułem, że to jest zawsze pani de Guermantes. Bo kochałem niewidzialną osobę wprawiającą w ruch to wszystko; ją, której wrogość martwiła mnie, której zbliżenie przyprawiało mnie o wstrząs, której życie chciałbym zagarnąć, a przyjaciół jej wygnać! Mogłaby włożyć niebieskie piórko lub mieć ognipiór, a uczynki jej nie stałyby się przez to dla mnie mniej ważne.

Gdybym nie spostrzegł sam z siebie, że panią de Guermantes irytują te codzienne spotkania, odgadłbym to pośrednio z pełnej chłodu, przygany i litości twarzy Franciszki, kiedy mi pomagała stroić się na moje ranne wyprawy. Z chwilą gdym wołał o rzeczy, czułem przeciwny wiatr, wznoszący się w ściągniętych i pooranych rysach jej twarzy. Nie próbowałem nawet pozyskać zaufania Franciszki; czułem, że by mi się to nie udało. W błyskawicznym odgadywaniu wszystkiego, co rodzicom i mnie mogło się zdarzyć nieprzyjemnego, miała ona zmysł, którego natura pozostała mi zawsze tajemnicza. Może nie był ów zmysł czymś nadprzyrodzonym, może dałoby się go wytłumaczyć swoistymi sposobami informacji; w ten sposób dzikie plemiona dowiadują się pewnych nowin o kilka dni wcześniej, nim je poczta przyniesie kolonii europejskiej, a doszły ich w istocie nie przez telepatię, ale przy pomocy zapalanych z pagórka na pagórek ogni. I tak, co się tyczyło moich

spacerów, służba księżnej de Guermantes słyszała, jak jej pani skarżyła się, że mnie wciąż znajduje na swojej drodze; z kolei służba księżnej powtórzyła to Franciszce. Co prawda, choćby rodzice dali mi do usługi inną osobę, nic bym na tym nie zyskał. W pewnym sensie Franciszka mniej była służącą od innych. W swoim sposobie odczuwania, w swojej dobroci i miłosierdziu, w swojej nieczułości i dumie, subtelności i ograniczeniu, ze swoją białą skórą i czerwonymi rękami, była dziewczyną ze wsi, której rodzice „siedzieli na swoim”, ale zrujnowawszy się, musieli ją oddać na służbę. Obecność jej w naszym domu, to było powietrze wsi i życie folwarczku sprzed pięćdziesięciu lat, przeniesione do nas, rodzajem odwrotnej podróży, w której wieś przychodzi do podróznego. Jak witrynę regionalnego muzeum stroją owe oryginalne robótki, które wieśniaczki wykonują i haftują jeszcze w niektórych okolicach, tak nasze paryskie mieszkanie zdobne było słowami Franciszki, natchnionymi tradycyjnym i lokalnym sentymentem, posłusznymi odwiecznym prawidłom. Umiała w nich odtworzyć niby kolorowymi nićmi drzewa wiśniowe i ptaki z czasu swego dzieciństwa, łóżko, gdzie umarła jej matka, a które widziała jeszcze. Mimo to wszystko, odkąd zgodziła się w Paryżu do nas, przejęła – a tym bardziej byłaby to uczyniła inna na jej miejscu – poglądy i kazuistykę służby z innych pięter. Szacunek, jaki nam musiała okazywać, wynagradzała sobie, powtarzając nam, to co kucharka z czwartego powiedziała ordynarnego swojej pani, i to z taką satysfakcją, że pierwszy raz w życiu, czując coś

w rodzaju solidarności z okropną lokatorką z czwartego piętra, powiadaliśmy sobie, że w istocie może my jesteśmy państwem!

Ta zmiana charakteru Franciszki była może nieunikniona. Pewne egzystencje są tak anormalne, że muszą nieodzownie rodzić pewne skazy; na przykład życie, jakie pędził w Wersalu król pośród swoich dworaków, równie dziwaczne jak życie jakiego Faraona lub doży; a bardziej jeszcze od życia króla życie dworaków. Życie służących jest z pewnością jeszcze potworniejszą osobliwością, którą przesłania nam jedynie przyzwyczajenie. Ale nawet gdybym oddalił Franciszkę, skazany byłbym, aż do jeszcze specjalniejszych właściwości, na tę samą sługę. Bo mogłem później mieć różnych służących; już obciążeni ogólnymi wadami służby, ulegali jeszcze u mnie szybkiemu przeobrażeniu. Jak zasady ataku warunkują zasady obrony, tak, aby nie cierpieć od pewnych chropowatości mego charakteru, wszyscy oni nabywali identycznych wklęsłości w swoim własnym, i to w tych samych punktach; w zamian za to korzystali z moich luk, aby w nich lokować swoje przerosty. Ja nie znałem tych luk, i tak samo nie znałem wypukłości, wynikających z naszych stosunków – właśnie dlatego że istniały luki. Ale moja służba, psując się pomału, nauczyła mnie o tym. Z wad niezmiennie nabywanych przez nich, dowiedziałem się o swoich wrodzonych i niezmiennych wadach; charakter mojej służby był niby negatywem mojego. Żartowaliśmy sobie niegdyś z mamą z pani Sazerat, która mówiła o służbie: „Ta rasa, to plemię”. Ale muszę przyznać, iż rację, dla której nie myślałem

o zastąpieniu Franciszki inną służącą, stanowiło to, że ta inna należałaby tak samo i nieuchronnie do ogólnej rasy służących, a do specjalnego gatunku moich służących.

Aby wrócić do Franciszki, nie zdarzyło mi się doznać w życiu upokorzenia, abym zawczasu nie zastał na twarzy Franciszki gotowych już kondolencji; a jeśli kiedy, wściekły, iż budzę jej współczucie, starałem się przeciwnie udawać sukces, kłamstwa moje daremnie obijały się o jej pełne szacunku, ale widoczne niedowierzanie i o jej poczucie własnej nieomyślności. Bo ona wiedziała prawdę; taiła ją, czyniąc tylko lekki ruch wargami, tak jakby miała jeszcze pełne usta i kończyła smaczny kąsek. Taiła tę prawdę; przynajmniej długo tak myślałem, bo w owej epoce wyobrażałem sobie jeszcze, że prawdy udziela się za pomocą słów. A nawet słowa, które mi mówiono, przekazywały mojej wrażliwości tak niezmiennie swoje wierne znaczenie, że, kiedy mi ktoś powiedział, że mnie kocha, tak samo wydawało mi się niemożliwe, aby mnie nie kochał, jak sama Franciszka niezdolna była wątpić – skoro to wyczytała w dzienniku – że jakiś ksiądz lub inny jegomość może, na skierowaną doń pocztą prośbę, przesłać nam gratis nieomyślne lekarstwo na wszystkie choroby lub sposób stokrotnego zwiększenia naszych dochodów. (W zamian za to, jeżeli nasz lekarz dał jej najprostszy środek na katar, ona, tak wytrzymała na największe cierpienie, jęczała, że musi to wdychać, upewniając, że to jej „zatyka nos” i że już rady sobie dać nie może). Ale Franciszka dała mi pierwsza przykład (miałem go zrozumieć aż później, kiedy

osoba, która mi była droga, dała mi go na nowo i boleśniej, jak się okaże w ostatnich tomach tego dzieła), że prawdy nie musi się powiedzieć na to, aby ją wyrazić i że można ją pochwycić pewniej, nie czekając słów i nie biorąc ich wręcz w rachubę, w tysiącu zewnętrznych oznak, nawet w pewnych niewidocznych objawach, analogicznych w sferze charakterów do tego, czym są w fizyce zmiany atmosferyczne. Byłbym się mógł tego domyślać, skoro mnie samemu zdarzało się wówczas często mówić rzeczy pozbawione cienia prawdy, gdy równocześnie objawiałem tę prawdę tyloma mimowolnymi zwierzeniami swego ciała i swoich uczynków (które Franciszka bardzo dobrze sobie umiała tłumaczyć). Byłbym się mógł tego domyślać, ale na to trzeba mi było wiedzieć, że bywałem wówczas niekiedy kłamcą i krętą. Otóż kłamstwo i kręctwo rodziły się u mnie, jak u wszystkich, w sposób tak bezpośredni i przypadkowy, dla własnej obrony, z jakiegoś specjalnego interesu, że duch mój, wpatrzony w piękny ideał, pozwalał memu charakterowi spełniać w mroku te pilne i mizerne roboty i nie raczył się obracać po to, aby je dojrzeć.

Kiedy Franciszka była dla mnie wieczorem uprzejma, kiedy prosiła o pozwolenie posiedzenia w moim pokoju, zdawało mi się, że twarz jej robi się przeźroczysta i że widzę w niej samą dobroć i szczerość. Ale Jupien, odznaczający się czasami niedyskrecją, którą poznałem aż później, wygadał się, iż ona powiadała, że ja niewart jestem ani postronka na stryczek i że się silił jej robić ile mogłem złego. Te słowa Jupiena

odbiły natychmiast dla mnie – w nieznanym wprzód kolorze – egzemplarz moich stosunków z Franciszką tak różny od tego, na jakim często lubiłem zatrzymywać spojrzenia (gdzie bez cienia wahań, Franciszka ubóstwiała mnie i nie traciła żadnej sposobności, aby mnie wysławiać), że zrozumiałem, iż nie tylko świat fizyczny różni się od postaci, w jakiej go widzimy; że wszelka rzeczywistość jest może równie niepodobna do tej, którą – w swoim mniemaniu – osiadamy bezpośrednio: że drzewa, słońce i niebo byłyby całkiem inne, niż my je widzimy, oglądane przez istoty mające oczy inaczej ukształtowane niż nasze lub wyposażone do tego celu w narządy inne niż oczy – narządy dające drzewom, niebu i słońcu równoważniki inne niż wzrokowe. Faktem jest, że to okno, jakie mi raz nagle otworzył Jupien na świat zewnętrzny, przeraziło mnie. A jeszcze tu chodziło jedynie o Franciszkę, o którą się troszczyłem dość mało. Czy tak samo mają się rzeczy we wszystkich stosunkach ludzkich? Do jakiej rozpacz mogłoby to mnie przywieść kiedyś, gdyby tak samo było w miłości?

To była tajemnica przyszłości. Wówczas chodziło jeszcze tylko o Franciszkę. Czy ona myślała szczerze to, co powiedziała Jupienowi? Czy powiedziała to jedynie po to, aby poróżnić Jupiena ze mną; może dlatego, aby nie wzięto córki Jupiena na jej miejsce? Bądź co bądź, zrozumiałem niemożliwość dowiedzenia się w sposób bezpośredni i pewny, czy mnie Franciszka kocha czy nienawidzi. Tak więc ona pierwsza zrodziła we mnie myśl, że dana osoba nie znajduje się (jak wprzód sądziłem) przed

namí jasna i nieruchoma, ze swymi przymiotami, wadami, projektami, intencjami (niby oglądany przez parkan ogród i jego grządki), ale że jest cieniem, w który nigdy nie zdołamy wnikać, wobec którego nie istnieje bezpośrednie poznanie, co do którego tworzymy sobie mnogie pojęcia przy pomocy słów, a nawet postępów, dających nam jedynie niedostateczne i zresztą sprzeczne wskazówki; cieniem, w którym możemy sobie kolejno z równym prawdopodobieństwem wyobrażać błysk nienawiści lub miłości.

Kochałem się naprawdę w pani de Guermantes. Największe szczęście, o jakie bym mógł prosić Boga, to aby spuścił na nią wszystkie klęski i aby, zrujnowana, zhańbiona, odarta ze wszystkich dzielących mnie od niej przywilejów, nie mając już dachu nad głową ani człowieka, który by się jej raczył uklonić, przyszła mnie prosić o schronienie. Wyobrażałem ją sobie w tej roli. A nawet w dnie, gdy pewne wahania atmosfery lub mego własnego zdrowia wstawiały w moją świadomość jakiś zapomniany zwój, gdzie były zapisane dawniejsze wrażenia, wówczas, zamiast korzystać z nowych rodzących się we mnie sił, zamiast je obrócić na odcyfrowanie w sobie samym wymykających mi się zazwyczaj myśli, zamiast się wziąć wreszcie do pracy, wołałem rozprawiać głośno, układać w wyobraźni – ilustrując go czczymi słowami i gestami – cały felietonowy romans – jałowy i fałszywy – gdzie księżna, popadłszy w nędzę, przychodzi mnie błagać, mnie, który dzięki odwrotnej igraszce losu stałem się bogaty i potężny.

I kiedyś tak strawił godziny całe na rojeniu sobie wydarzeń, na dobieraniu zdań, które bym wyrzekł, przyjmując księżnę pod swój dach, sytuacja zostawała ta sama; w rzeczywistości miłość moja wybrała sobie, niestety, kobietę, która skupiała najwięcej różnorodnych przewag, w której oczach tym samym nie mogłem sobie wróżyć żadnego uroku; była bowiem równie bogata jak największy „źle urodzony” bogacz, nie licząc osobistego czaru, który ją stawiał na świeczniku, czyniąc ją wszędzie czymś na kształt królowej.

Czułem, że drażnię księżnę, wychodząc co rano na jej spotkanie; ale gdybym nawet miał siłę wytrwać parę dni, pani de Guermantes nie zauważyłaby może tej powściągliwości, stanowiącej dla mnie taką ofiarę, lub przypisałaby ją jakiejś przygodnej przeszkodzie. I w istocie, aby przestać wychodzić na jej spotkanie, musiałbym się postawić w położenie, które by mi to uczyniło fizycznym niepodobieństwem; wciąż bowiem odradzająca się potrzeba spotykania jej, stania się bodaj na chwilę przedmiotem jej uwagi, jej ukłonu, potrzeba ta była silniejsza od przykrości, że ją drażnię. Powinienem był wyjechać na jakiś czas; nie miałem siły. Myślałem o tym przez chwilę. Polecałem Franciszce, żeby mi spakowała rzeczy; zaraz potem żeby je rozpakowała. Że zaś demon naśladownictwa oraz obawa wydania się zacofanym, kazi najnaturalniejszą i najpewniejszą siebie formę, Franciszka, zapożyczając się w słowniku córki, powiadała, że jestem „bujacz”. Nie lubiła (powiadała), że ja wciąż „wydwarzam”; posługiwała się bowiem, kiedy nie chciała

rywalizować z modą, słownictwem Saint-Simona. Prawda, że jeszcze mniej lubiła, kiedym przemawiał jako jej pan. Wiedziała, że to nie płynie ze mnie i że mi z tym nie jest do twarzy, co wyrażała, mówiąc, że „rządzenie się mi nie pasuje”.

Gdyby chodziło o wyjazd, miałbym odwagę wyjechać jedynie w kierunku, który by mnie zbliżył do pani de Guermantes. To nie było niemożliwe. Gdybym się udał o wiele mil od pani de Guermantes, ale do kogoś, kogo by ona знаła, kogo by uważała za trudnego w doborze stosunków, a kto by mnie cenił, kto by jej mógł mówić o mnie i jeżeli nie uzyskać od niej tego, czego bym pragnął, to przynajmniej zakomunikować jej owo pragnienie; do kogoś, dzięki komu w każdym razie, jedynie rozważając z nim możliwości jakiejś interwencji, dałbym swoim samotnym i niemym marzeniom nową, mówioną, czynną formę, która wydawałaby mi się postępem, niemal realizacją, czyżby to nie znaczyło być bliżej niej, niż byłem teraz, stercząc na ulicy, sam, upokorzony, czując, że ani jedna z myśli, które chciałbym jej przesłać nie dojdzie do niej nigdy, drepcąc na miejscu w tych swoich spacerach, które mogłyby trwać bez końca, nie posuwając mnie ani trochę naprzód? Wmieszać się w to, co ona robiła podczas tajemniczego życia istoty z klanu Guermantów, życia będącego przedmiotem mego sekretnego marzenia, wtargnąć w nie bodaj pośrednio na sposób dźwigni, wprowadzając w ruch kogoś, komu byłby dostępny pałac księżnej, jej przyjęcia, dłuższa z nią rozmowa, czyżby to nie była styczność bardziej odległa, ale skuteczniejsza niż moje uliczno-poranne

kontemplacje?

Przyjaźń i podziw, jakie dla mnie żywił Saint-Loup, wydawały mi się niezasłużone i były mi obojętne. Naraz wydały mi się cenne; pragnąłbym, aby on się nimi podzielił z panią de Guerantes, byłbym zdolny prosić go, aby to uczynił. Bo z chwilą kiedy ktoś jest zakochany, chciałby roztoczyć przed ukochaną kobietą wszystkie drobne, nieznane przywileje, jakie posiada, tak jak to czynią w życiu wykolejeńcy i natręty. Dręczy nas, że ona nie zna naszych przewag; staramy się pocieszyć myślą, iż właśnie dlatego że te przewagi nie są nigdy widzialne, ona pomnaża swoje pojęcia o nas możliwościami niewiadomych zalet.

Saint-Loup od dawna nie mógł wpaść do Paryża, bądź – jak mówił – ze względów służbowych, bądź raczej z powodu zgryzot, jakie mu sprawiała kochanka. Dwa razy był już bliski zerwania. Często mówił mi, ile bym mu dobrego wyświadczył, odwiedzając go w tym garnizonie, którego nazwa w dwa dni od chwili, gdy Saint-Loup opuścił Balbec – wyczytana na kopercie pierwszego listu mego przyjaciela, sprawiała mi tyle radości. Było to małe arystokratyczne i wojskowe miasteczko, mniej odległe od Balbec, niżbym mógł wnosić z całkowicie już lądowego krajobrazu, otoczone rozległymi polami, gdzie w piękną pogodę tak często buja w oddali jakaś dźwięczna i lekka mgła, która – jak szpaler topoli rysuje swoimi zakrętami bieg niewidzialnej rzeki – zdradza przesunięcia manewrującego pułku, tak że nawet atmosfera ulic, alej i placów nabyła w końcu jak gdyby ciągłej

muzycznej i wojennej dźwięczności, a najpospolitszy turkot wozu lub tramwaju przedłuża się tam uszom urzeczonym ciszą w powtarzające się bez końca zamglone odgłosy trąbki.

Miasteczko nie było tak odległe od Paryża, abym nie mógł, wpadłszy tam kurierem, wrócić, uściskać matkę i babkę i znaleźć się na noc w swoim łóżku. Skorom to sobie uświadomił, nekany bolesnym pragnieniem miałem za mało woli, aby zdecydować, że nie wrócę do Paryża i zostanę w miasteczku; ale za mało także, aby przeszkodzić bagażowemu zanieść moją walizkę do fiakra, aby, idąc za nim, nie stać się zafrasowanym podróżnym, czuwającym nad swoimi rzeczami i nieoczekiwanym przez żadną babkę, aby nie wsiąść do dorożki ze swobodą człowieka, który, przestawszy myśleć o tym, czego chce, robi wrażenie, iż wie, czego chce, i aby nie podać woźnicy adresu koszar kawalerii.

Myślałem, że Saint-Loup zanocuje ze mną tego dnia w hotelu, aby mi złagodzić wstrząs pierwszego zetknięcia z nieznanym miastem. Żołnierz poszedł go uprzedzić; i czekałem na Roberta u bramy koszar, przed tym wielkim okrętem huczącym listopadowymi wichrami, skąd co chwilę – była szósta wieczór – wychodzili parami żołnierze, kiwając się tak, jakby wysiedli na ląd w jakimś egzotycznym porcie, gdzie się chwilowo zatrzymano.

Przybył Saint-Loup, kołysząc się na wszystkie strony, powiewając przed sobą monoklem; nie powiedziałem nazwiska, chciałem się cieszyć jego radością i niespodzianką.

– Och, co za fatalność – wykrzyknął, spostrzegając mnie nagle

i czerwieniąc się po uszy – objąłem właśnie tygodniową służbę i nie mogę wyjść przed upływem tego czasu!

I pochłonięty myślą, że będzie mnie musiał zostawić samego przez tę pierwszą noc – znał bowiem lepiej niż ktokolwiek moje wieczorne lęki, które tak często widział i uśmierzał w Balbec – przerywał swoje żale, aby się zwracać do mnie, śląc mi lekkie uśmiechy, czułe spojrzenia, nierówne, bo jedne szły wprost z jego oka a drugie przez monokl, a wszystkie były aluzją do wzruszenia moim widokiem, aluzją również do tej ważnej rzeczy, którą nie zawsze rozumiałem, ale którą ceniłem teraz – do naszej przyjaźni.

– Mój Boże! gdzie ty będziesz nocował? Doprawdy, nie doradzam ci hotelu, gdzie jadamy, to w stronie Wystawy, która rozpocznie się niebawem, miałbyś tam tłumy. Nie, lepszy będzie Hotel Flandryjski, to dawny pałacyk z XVIII wieku ze starymi obiciami. To „robi” dosyć dobrze „starą siedzibę historyczną”.

Saint-Loup używał co chwilę przy każdej sposobności słowa „robi” zamiast „wygląda na coś”, bo język mówiony, jak pisany, odczuwa od czasu do czasu potrzebę owych zmian w znaczeniu słów, owych ekscentryczności wyrażień. I tak samo jak często dziennikarze nie wiedzą, z jakiej szkoły literackiej pochodzą smaczki, którymi nas częstują, tak samo słownictwo, a nawet dykcja Roberta, urobione były na podobieństwo trzech różnych estetów, z których żadnego nie znał, ale których sposoby mówienia przejął pośrednio.

– Zresztą – zakonkludował Robert – ten hotel dość dobrze

zaadaptowany jest do twojej hiperestezji słuchowej. Nie będziesz miał sąsiadów. Uznaję, że to jest nikła korzyść, że zaś, ostatecznie, nowy gość może tam przybyć jutro, to by nie była racja darzenia tego hotelu świadomym wyborem. Nie, raczej ci go zalecam dla jego stylu. Pokoje są dość sympatyczne, meble stare i wygodne, ma coś co daje poczucie bezpieczeństwa.

Ale dla mnie, mniej estety od Roberta, przyjemność, jaką może dać stylowy pałacyk była powierzchowna, prawie żadna, i nie mogła ukoić owładającego mną niepokoju, równie uciążliwego jak ów, który mnie nawiedzał niegdyś w Combray, kiedy mama nie przyszła mi powiedzieć dobranoc, lub któremu doznawał w dniu przybycia do Balbec w nazbyt wysokim pokoju, woniejącym „bagnem”. Saint-Loup zrozumiał to z mego martwego spojrzenia.

– Ale ty sobie gwizdzesz, moje kochanie, na ładny pałacyk; jesteś cały blady, a ja mówię ci jak bydlę o obiciach, na które nawet nie będziesz miał serca spojrzeć. Znam pokój, w którym by cię pomieszczono; osobiście wydaje mi się bardzo wesoły, ale zdaję sobie sprawę, że dla ciebie, przy twojej wrażliwości, to nie to samo. Nie przypuszczaj, że ja cię nie rozumiem; nie odczuwam tak samo, ale stawiam się na twoim miejscu.

Podoficer, który przejeżdżał konia na dziedzińcu, bardzo zajęty tym, aby go uczyć skakać, nieodpowiadający na ukłony żołnierzy, ale obsypujący wyzwiskami tych, co mu się napatoczyli, uśmiechnął się w tej chwili do Roberta, widząc zaś, że jest w towarzystwie, ukłonił się. Ale koń jego, spieniony,

stanął potężnego dęba. Saint-Loup poskoczył, chwycił konia za uzdę, zdołał go uspokoić i wrócił do mnie.

– Tak – rzekł – ręczę ci, że ja sobie zdaję sprawę, cierpię razem z tobą; czuję się nieszczęśliwy – dodał, kładąc mi serdecznie rękę na ramieniu – na myśl, że gdybym mógł zostać przy tobie, zdołałbym może, siedząc obok ciebie, rozmawiając z tobą do rana, ująć ci trochę smutku. Pożyczyłbym ci chętnie książek, ale w tym stanie nie będziesz mógł czytać. I nie ma nawet mowy o tym żeby mnie ktoś mógł zastąpić; już dwa razy z rzędu to robiłem, kiedy moja dziewczyna przyjechała.

Marszczył brwi strapiony, a także z natężenia, z jakim szukał, niby lekarz, co za lekarstwa dałoby się użyć na moje cierpienie.

– Biegnij zapalić ogień w moim pokoju – rzekł do przechodzącego żołnierza. – No, prędzej, zwijaj się.

Potem na nowo zwracał się do mnie: zarówno monokl, jak oko krótkowidza robiły aluzję do naszej wielkiej przyjaźni:

– Nie! ty tutaj, w tych koszarach, gdzie tyle o tobie myślałem; nie wierzę własnym oczom, mam uczucie że śnię. A ogółem, twoje zdrowie, czy trochę lepiej? Opowiesz mi to wszystko za chwilę. Pójdziemy do mnie, nie siedźmy za długo na dziedzińcu, jest wściekły wiatr; ja tego już prawie nie czuję, ale ty nie jesteś przyzwyczajony, boję się, żebyś nie zziąbnął. A do pracy zabrałeś się już? Nie? jakiś ty zabawny! gdybym ja miał twój talent, myślę, że pisałbym od rana do wieczora. To cię bardziej bawi nic nie robić! Co za nieszczęście, że właśnie ludzie mierni, jak ja, zawsze są skorzy pracować, a ci, co by mogli, nie chcą. Ale ja

cię jeszcze nie spytałem o zdrowie babki. Nie rozstaję się z jej Proudhonem.

Jakiś oficer – wielki, piękny, majestatyczny – wolnym i uroczystym krokiem wynurzył się ze schodów. Saint-Loup uklonił się i unieruchomił wieczną ruchliwość swego ciała na czas, przez który trzymał rękę przytkniętą do kepi. Ale wyrzucił ją z taką siłą, prostując się ruchem tak suchym, natychmiast zaś po uklonieniu opuścił dłoń gestem tak nagłym, zmieniając wszystkie pozycje ramienia, nogi i monoklu, że ten moment był nie tyle chwilą nieruchomości, ile drgającym napięciem, w którym neutralizowały się nadmierne ruchy poprzednie i te, które miały nastąpić. Tymczasem oficer, nie zbliżając się, spokojny, życzliwy, godny, cesarski, w sumie przedstawiający kompletne przeciwieństwo Roberta, podniósł także – ale bez pośpiechu – rękę do kepi.

– Muszę coś powiedzieć kapitanowi – szepnął do mnie Saint-Loup – bądź tak dobry, idź zaczekaj na mnie w moim pokoju, drugi na prawo, trzecie piętro, przyjdę do ciebie za chwilę.

I ruszając ostrym krokiem, poprzedzony monoklem bujającym na wszystkie strony, poszedł prosto ku godnemu i powolnemu kapitanowi, któremu przyprowadzono w tej chwili konia. Zanim wsiadł, wydawał parę rozkazów, z wystudiowaną szlachetnością gestów, niby z jakiegoś historycznego obrazu. Wyglądał tak, jakby miał jechać na jaką bitwę Pierwszego Cesarstwa, podczas gdy po prostu udawał się do siebie, do mieszkania wynajętego na czas pobytu w Doncieres, na

placu nazwanym, jakby przez antycypowaną ironię wobec tego napoleonidy, placem Republiki! Zapuściłem się na schody, niemal ślizgając się co chwila na stopniach nabitych gwoździami; migały mi izby o nagich ścianach z podwójnymi szeregami łóżek i kuferków. Wskazano mi pokój Roberta. Stałem przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami, bom słyszał, że się ktoś tam rusza; jakby ktoś trącał coś, jakby coś upuszczał; czułem, że pokój nie jest pusty, że tam ktoś jest. Ale to był tylko ogień, płonący na kominku. Nie mógł wytrwać ani przez chwilę spokojnie, ruszał polana i to bardzo niezręcznie. Wszedłem; stracił jedno, buchnął dymem z drugiego. I nawet kiedy się nie ruszał, i wówczas, jak ludzie z gminu, wciąż wydawał jakieś odgłosy, które, skorom widział wzbijający się płomień, były dla mnie odgłosami ognia, ale przez ścianę wydałyby mi się hałasem kogoś, kto uciera nos i chodzi. W końcu usiadłem w pokoju. Obicie *liberty* i stare niemieckie materie z XVIII wieku chroniły go od zapachu wydzielanego przez resztę budynku; był to zapach pospolity, mdły i zgniły jak woń razowego chleba. Tu, w tym uroczym pokoju zjadłbym obiad i spałbym tak rozkosznie i spokojnie! Saint-Loup zdawał się tu niemal obecny dzięki fachowym książkom leżącym na stole, dzięki fotografiom, pośród których rozpoznałem siebie i panią de Guermites, dzięki ognioi, który wreszcie przyzwyczał się do kominka i niby zwierzę leżące w żarliwym, milczącym i wiernym oczekiwaniu, jedynie od czasu do czasu upuszczał rozsypującą się główkę lub lizał płomieniem ścianę.

Słyszałem tykanie zegarka, który musiał leżeć gdzieś niedaleko. Tykanie to zmieniało co chwila miejsce, bo zegarka nie widziałem; rozlegało się za mną, z przodu, z prawej, z lewej, chwilami jakby ginąc w oddali. Naraz ujrzałem zegarek na stole. Odtąd słyszałem tykanie w stałym punkcie, z którego się już nie ruszyło. Przynajmniej zdawało mi się, że je tam właśnie słyszę; nie słyszałem go tam, ale widziałem, dźwięki nie mają miejsca. Przynajmniej łączymy je z ruchami, przez co mają dla nas tę korzyść, że nas uprzedzają o ruchach, czynią je niejako czymś naturalnym i koniecznym. Z pewnością zdarza się niekiedy, że chory, któremu hermetycznie zamknięto uszy, nie słyszy już odgłosu ognia podobnego temu, który trzeszczał w tej chwili na kominku Roberta, wytrwale fabrykując głównie i popiół i upuszczając je następnie do koszyka; i tak samo nie słyszy tramwajów, których muzyka zrywała się w regularnych odstępach na rynku w Doncieres. Jeżeli wówczas taki chory czyta, stronicę będą się obracały w ciszy, jakby je obracał palec jakiego boga. Głuchy łoskot przyrządzanej kąpieli łagodnieje, cichnie i oddala się na kształt niebiańskiego świegotu. Oddalenie się hałasu, jego zwątlenie, odbierają mu w stosunku do nas wszelką natarczywość; dopiero co nękani uderzeniami młota, które zdawały się wstrząsać sufit nad naszą głową, bawimy się teraz tym, aby chwycić te uderzenia, lekkie, pieszczotliwe, dalekie, niby szmer liści igrających na ścieżce z wietrzykiem. Kładziemy pasjanse, nie słysząc szelestu kart, tak iż myślimy, żeśmy ich nie poruszyli, że się ruszają same i że, uprzedzając

naszą ochotę, same zaczęły grać z nami. I nasuwa się pytanie, czy z Miłością (dodajmy nawet do Miłości miłość życia, miłość sławy, skoro są podobno ludzie znający te dwa uczucia) nie powinno by się czynić tak jak ci, co wobec hałasu – zamiast błagać go żeby ustał – zatykają sobie uszy; i naśladując ich, czy byśmy nie powinni skupić na sobie samej naszej uwagi, naszej samoobrony, dając im za cel uszczuplenie nie osoby którą kochamy, ale naszej zdolności cierpienia przez tę osobę.

Aby wrócić do dźwięku: wystarczy pogrubić jeszcze kulkę zamykającą przewód słuchowy, a może ona zmusić do pianissima pannę, która grała nad naszą głową hałaśliwy kawałek; wystarczy nasycić taką kulkę tłuszczem, a natychmiast despotyzmowi jej ulega cały dom, prawa jej rozciągają się nawet na ulicę. Pianissimo już nie wystarcza; kulka zamyka niezwłocznie fortepian, ucina nagle lekcję muzyki; jegomość, który nam chodził po głowie, przerywa w jednej chwili dreptanie; krążenie powozów i tramwajów ustaje nagle, tak jakby oczekiwano jakiejś głowy państwa. I to ściszenie dźwięków mąci nawet czasem sen, zamiast go chronić. Wczoraj jeszcze, nieustanne hałasy, opisując nam bez przerwy ruch na ulicy i w domu, usypiały nas w końcu jak nudna książka; dzisiaj, na powierzchni ciszy rozciągającej się na naszym śnie, jakiś silniejszy od innych łoskot daje się w końcu słyszeć, lekki jak westchnienie, bez związku z żadnym innym dźwiękiem, tajemniczy; i prośba o wytłumaczenie, jaką nam szepce, wystarcza, aby nas obudzić. Dość jest usunąć na chwilę choremu watę osłaniającą bębenki,

a nagle światło, pełne słońce dźwięku zjawia się na nowo, oślepiające, odradza się we wszechświecie; pędem wraca tłum wygnanych hałasów; jest się świadkiem zmartwychwstania głosów, jakby je psalmodiowały muzykujące anioły. Puste ulice wypełniają się na chwilę szybkimi i kolejnymi skrzydłami śpiewnych tramwajów. I w samym pokoju chory stwarza nie jak Prometeusz ogień, ale dźwięk ognia. I powiększając lub zwalniając pęczki waty, robimy tak, jakbyśmy naciskali kolejno jeden i drugi z dwóch pedałów, które przydaliśmy dźwięczności zewnętrznego świata.

Jednakże istnieją porażenia dźwięków trwałe, nie chwilowe. Człowiek całkowicie głuchy nie może nawet zagrzać rondelka z mlekiem, inaczej niż śledząc oczami, podniósłszy przykrywkę, biały podbiegunowy blask podobny blaskowi śnieżnej zawieruchy, niby ostrzegawczy znak, którego rozsądnie jest słuchać, wyjmując – niby Pan wstrzymujący fale – kontakt elektryczny; bo już wznoszące się i spazmatyczne jajko wrzącego mleka rośnie w paru skośnych rzutach, wzdyka się, zaokrągla parę wpół obalonych żagli, które zmarszczyła śmietanka, ciska w burzę żagiel z perłowej masy, przerwanie zaś prądów – jeżeli zażegnano na czas elektryczną nawałnicę – skręca je wszystkie w miejscu i rzuca je z wiatrem zmienione w płatki magnolii. Ale, jeżeli chory nie podjął zawczasu potrzebnych ostrożności, niebawem książka jego i zegarek, zatopione, ledwo wychylają się z białego morza po tym mlecznym przypływie; musi wołać na pomoc swoją starą służącą, która, choćby był znamienitym

mężem stanu lub wielkim pisarzem, powie mu, że ma nie więcej rozumu niż pięcioletnie dziecko.

Innym razem, w czarnoksiężskim pokoju, przed zamkniętymi drzwiami, zjawia się osoba, której nie było przed chwilą; to gość, którego wejścia chory nie słyszał i który wykonywa tylko gesty niby w teatrzyku marionetek, tak kojącym dla tych, co nabrali wstrętu do słów. Utrata jednego zmysłu przydaje światu tyleż piękności, co nabycie innego: toteż taki głuchy przechadza się teraz z rozkoszą po Ziemi niemal rajskiej, gdzie nie stworzono jeszcze dźwięku. Najwyższe wodospady rozpościerają swój kryształowy obrus dla samych oczu, spokojniejsze niż morze w czas ciszy, jak wodospady Raju. Ponieważ hałas był dlań, przed ogłuchnięciem, dostrzegalną formą przyczyn ruchu, przedmioty poruszające się bez hałasu poruszają się jak gdyby bez przyczyny; odarte z wszelkich właściwości dźwiękowych, rozwijają samorzutną czynność, zdają się żyć; poruszają się, martwieją, zapalają się same. Same z siebie wzlatują niby skrzydlate przedhistoryczne potwory. W samotnym i pozbawionym sąsiadów domu człowieka głuchego, usługa, która, zanim jego głuchota stała się kompletna, okazywała już więcej względów i odbywała się cicho, wykonywana jest teraz – z odcieniem czegoś podstępnego – przez niemych, jak obsługa króla w feerii. I budowle, które głuchy widzi z okna – koszary, kościół, ratusz są, również jak na scenie, tylko dekoracją. Jeżeli którego dnia dekoracja się zawali, powstanie stąd chmura kurzu i widoczne szczątki; ale jeszcze mniej materialna niż

pałac w teatrze, od którego jest wszelako mniej lekka, runie w czarodziejski wszechświat tak, że upadek jej ciężkich głazów żadnym pospolitym hałasem nie skala czystości ciszy.

Cisza – o wiele bardziej względna – panująca w żołnierskiej izdebce, gdzie się znajdowałem od paru chwil, przerwała się. Drzwi się otwarły i Saint-Loup, wypuszczając z oka monokl, wyszedł żywo.

– Ach, Robercie, jak tu dobrze u ciebie – rzekłem – jakby to było wspaniale, gdyby tu było wolno zjeść obiad i przenocować!

I w istocie, gdyby to nie było zabronione, jakiegoż spoczynku wolnego od smutku zakosztowałbym tutaj, chroniony przez tę atmosferę spokoju, czujności i wesołości, którą podtrzymywały tysiączne uregulowane i zdyscyplinowane wole, tysiąc beztroskich dusz, w tej wielkiej wspólnocie jaką są koszary, gdzie strojąc nawet czas w formę działania, smutny dźwięk godzin zastąpiono radosną fanfara pobudek, tych samych, których dźwięczne wspomnienie, rozproszkowane, rozdrobnione, buja nieustannie nad brukiem ulic; – głos pewny, że będzie słuchany, a muzyczny, bo jest nie tylko głosem władzy wzywającej do posłuchu, ale i głosem mądrości wzywającej do szczęścia.

– A! wołałbyś spać tutaj blisko mnie, niż iść sam do hotelu – rzekł, śmiejąc się Saint-Loup.

– Och, Robercie, okrutny jesteś, że traktujesz to ironicznie – rzekłem – skoro wiesz, że to niemożliwe i że tam będę tak cierpiał!

– Sprawiasz mi wielką przyjemność – rzekł – bo właśnie pomyślałem sam z siebie, że ty wolałbyś zostać dzisiaj wieczór tutaj. I specjalnie o to poszedłem prosić kapitana.

– I pozwolił? – wykrzyknąłem.

– Bez najmniejszej trudności.

– Och! ubóstwiam go!

– Nie, to za wiele. A teraz, pozwól mi zawołać ordynansa, by się zajął naszym obiadem – dodał, gdy ja się odwróciłem, aby ukryć łzy.

Raz po raz wchodził któryś z kolegów Roberta. Wyrzucał ich za drzwi.

– No, zmywaj!

Prosiłem go, aby im pozwolił zostać.

– Ale nie, zanudziliby cię, to są ludzie całkowicie nieokrzesani, którzy umieją mówić tylko o wyścigach, o ile nie o czyszczeniu koni. A i mnie zepsuliby te tak drogie chwile, których tak bardzo pragnąłem. Ale zważ, że jeżeli ja mówię o ubóstwie ducha moich kolegów, to nie znaczy, aby wszelki wojskowy miał być antyintelektualny. Ani trochę. Mamy tu majora, który jest cudowny człowiek. Miał kurs, w którym historia wojen potraktowana jest jak dowód matematyczny, coś w rodzaju algebry. Nawet estetycznie to ma swoją piękność, indukcyjną i dedukcyjną na przemian. Podobałoby ci się.

– To nie ten kapitan, który mi pozwolił zostać tutaj?

– Nie, Bogu dzięki, bo człowiek którego „ubóstwiasz” dla tak błahej przyczyny, to jest największy głupiec, jakiego

święta ziemia nosiła. Bajeczny jest do tego, aby się zajmować menażą i ekwipunkiem swoich ludzi; spędza godziny całe z kwatermistrzem i z krawcem pułkowym. To jego mentalność. Gardzi zresztą, jak wszyscy, wspaniałym majorem, o którym ci mówiłem. Nikt z nim nie żyje, bo jest mason i nie chodzi do spowiedzi. Nigdy księżę Borodino nie przyjąłby u siebie tego plebejusza. I to jest bądź co bądź bajeczny tupet ze strony człowieka, którego pradziadek był po prostu chłopem i który gdyby nie wojny napoleońskie, byłby zapewne też chłopem. Zresztą on sobie dobrze zdaje sprawę ze swojego położenia w świecie: ni to pies, ni wydra. Zaledwie się pokazuje w jockey klubie, tak bardzo czuje się tam nieswój ten rzekomy księżę – dodał Robert, który mocą tego samego ducha naśladownictwa przejąwszy teorie socjalne swoich mistrzów i przesady światowe swojej rodziny, łączył – nie zdając sobie z tego sprawy – miłość ludu z pogardą dla szlachty Cesarstwa.

Patrzyłem na fotografię jego ciotki; myśl, że Saint-Loup, posiadając tę fotografię, będzie mi ją może mógł darować, uczyniła mi go tym droższym. Byłbym pragnął oddać mu tysiąc usług, które, w porównaniu z tą, wydawały mi się drobiazgiem. Bo ta fotografia, to było niby jedno spotkanie więcej, przydane do moich poprzednich spotkań z panią de Guermantes; co więcej, spotkanie przedłużone, tak jakby w nagłym zbliżeniu naszych stosunków, ona zatrzymała się przy mnie w ogrodowym kapeluszu i pozwoliła mi pierwszy raz przyglądać się do syta tym policzkom, linii karku, kącikowi brwi (dotąd zamglonym

dla mnie wskutek chyżości mijania się, zamętu moich wrażeń, chwiejności wspomnienia); i oglądanie tego wszystkiego, jak widok piersi i ramion kobiety, którą się dotąd widziało tylko w sukni pod szyję, było dla mnie rozkosznym odkryciem, przywilejem. Te linie, których widok zdawał mi się dotąd niemal wzbroniony, mógłbym studiować niby w podręczniku jedynej geometrii mającej dla mnie wartość.

Później, przyglądając się Robertowi, spostrzegłem, że i on był po trosze niby fotografia jego ciotki. Mocą tajemnicy, dla mnie niemal równie wzruszającej, o ile twarz Roberta nie była wprost poczęta z jej twarzy, obie miały wszakże wspólny początek. Rysy księżnej de Guermantes, przyszpilone w mojej wizji z Combray, nos w kształcie sokołego dzioba, przenikliwe oczy, posłużyły również do wycięcia – w innym analogicznym i wiotkim egzemplarzu o zbyt delikatnej skórze – twarzy Roberta, niemal pokrywającej się z twarzą ciotki. Z zazdrością oglądałem w nim charakterystyczne rysy Guermantów, rasy tak swoistej w świecie, w którym ona nie ginie, w którym pozostaje wyosobniona w swojej bosko ornitologicznej chwale, zdaje się bowiem zrodzona w mitologicznej epoce z połączenia bogini i ptaka.

Nie znając przyczyn mego rozczulenia, Robert był bardzo nim wzruszony. Czułość ta wzmagала się zresztą od błogostanu spowodowanego ciepłem kominka i szampanem, który równocześnie perlił kroplami potu moje czoło, a łzami moje oczy; podlewaliśmy nim kuropatwy, które jadłem z podziwem

wszelkiego profana, kiedy w jakimś obcym mu życiu znajdzie coś, o czym sądził, że jest z tego życia wykluczone (na przykład podziw wolnomyśliciela zjadającego świetny obiad na plebanii). I nazajutrz rano, budząc się, z okna pokoiku Roberta, które, położone bardzo wysoko, ogarniało całą okolicę, rzuciłem pełne ciekawości spojrzenia, aby się zapoznać ze swoją sąsiadką – wsią której nie mogłem obejrzeć poprzedniego dnia, przybywszy za późno, w nocy, w chwili gdy ona już spała. Ale, choć się budziła wcześniej, ujrzałem ją wszakże, otwierając okno, jedynie tak, jak się ją widzi z okna jakiegoś zamku, w stronie stawu, opatuloną jeszcze w miękką białą szatę z mgły, która nie pozwalała mi prawie nic dojrzeć. Ale wiedziałem, że zanim żołnierze krzątający się na dziedzińcu przy koniach skończą je czyścić, ona zdejmie tę suknię. Na razie, widziałem tylko nikłą górkę, wystawiającą w stronę koszar swój grzbiet już odarty z cienia, mizerny i chropawy. Poprzez ażurowe firanki szronu, nie odrywałem oczu od tej nieznajomej, która mnie widziała pierwszy raz. Ale kiedym przywykł zachodzić do koszar, świadomość, że ta górką jest tam, realniejsza tym samym – nawet kiedy jej nie widziałem – niż hotel w Balbec, niż nasz dom w Paryżu, o których myślałem jak o nieobecnych, jak o umarłych, to znaczy ledwie już wierząc w ich istnienie, sprawiła, że nawet gdy sobie z tego nie zdawałem sprawy, oświetlony jej kształt rysował się zawsze nad najmniejszymi wrażeniami, jakich doznałem w Doncieres, aby zaś zacząć od tego ranka, nad lubym wrażeniem ciepła, jakie

mi dała czekolada przyrządzona przez ordynansa Roberta w tym wygodnym pokoju, sprawiającym wrażenie optycznego centrum do oglądania tego wzgórza, ile że myśl robienia czego innego niż patrzenia na nie i przechadzania się po nim była uniemożliwiona przez rozpościerającą się mgłę. Nasycając kształt pagórka, skojarzony ze smakiem czekolady i z wątkiem moich ówczesnych myśli, ta mgła, mimo że nie myślałem o niej ani trochę, zwilżyła wszystkie moje myśli z owego czasu, tak jak jakieś nieskażone i masywne złoto skojarzyło się z moimi wrażeniami z Balbec lub jak sąsiedztwo czarnych kamiennych schodów powlekało czymś szarym moje wrażenia z Combray. Mgła nie przetrwała zresztą długo, słońce wypuściło na nią daremnie kilka strzał, które zahaftowały ją diamentami, po czym rozprószyły ją. Wzgórze mogło poddać swój szary grzbiet promieniom, które w godzinę później, kiedym zeszedł do miasta, dawały czerwonym liściom drzew oraz czerwieni i błękitowi afiszów wyborczych na murach jakiś poryw, który wypełniał mnie samego i kazał mi zbijać bruk, śpiewając i wstrzymując się, aby nie podskakiwać z radości.

Ale, począwszy od drugiego dnia, trzeba mi było nocować w hotelu. I wiedziałem z góry, że muszę tam zastać nieunikniony smutek. Smutek ten był niby dławiący aromat, jaki od czasu mego pierwszego dzieciństwa wydzielał dla mnie wszelki nowy pokój, to znaczy wszelki pokój: w pokoju, gdzie mieszkał stale, byłem nieobecny, myśl moja przebywała gdzie indziej, wysyłała na swoje miejsce jedynie przyzwyczajenie. Ale nie mogłem obarczać owej mniej wrażliwej służebnicy tym, aby się zajęła

moimi sprawami w nowym miejscu, gdzie ją poprzedzałem, gdzie przybywałem sam, gdzie trzeba mi było wprowadzić w kontakt z otoczeniem owo „ja”, które odnajdywałem jedynie po latach przerwy, ale zawsze to samo, ile że nie urosło od czasu Combray, od mego pierwszego przybycia do Balbec, płaczące i niepocieszone na otwartej walizie.

Otóż pomyliłem się. Nie miałem czasu być smutny, bo nie byłem ani chwili sam. Bo z dawnego pałacu pozostał przerost zbytku, bez zastosowania w nowoczesnym hotelu, i oderwany od wszelkiej praktycznej funkcji przybrał w swojej bezczynności rodzaj własnego życia: kręcące się w kółko korytarze, których bezcelowe odnogi mijało się co chwila, sienie długie jak korytarze a strojne jak salony, robiące raczej wrażenie, że tam mieszkają niż że stanowią część mieszkania; nie dało się ich włączyć w żaden apartament, ale krążyły dokoła mojego i przyszły mi od razu ofiarować swoje towarzystwo – rodzaj sąsiadów próżniaczych, lecz nie hałaśliwych, pokątnych widm przeszłości, którym pozwolono mieszkać bez hałasu u drzwi pokoiów do wynajęcia – mary, które, za każdym razem, kiedym je spotkał na drodze, zachowywały wobec mnie milczącą uprzejmość. W sumie, idea mieszkania, prostego futerału obejmującego nasze doraźne istnienie i zabezpieczającego nas jedynie od zimna, od wzroku ludzi, nie nadawała się absolutnie do tej siedziby, zespołu ubikacji¹, równie realnych jak zbiorowisko osób, o życiu milczącym co prawda, ale które

¹ *ubikacja* (daw., z łac.) – miejsce; pomieszczenie. [przypis edytorski]

musiało się spotykać, unikać ich, witać je, kiedy się wracało. Niepodobna było bez ostrożnego szacunku patrzeć na wielki salon, który od XVIII wieku nawykł rozpościerać się między swymi gzymsami ze starego złota, pod chmurami malowanymi na suficie. A poufalszą ciekawość budziły małe pokoiki, które, nie troszcząc się o symetrię, biegły dokoła niego, niezliczone, zdziwione, uciekające w nieładzie aż do ogrodu, dokąd schodziły tak łatwo po trzech wyszczerbionych stopniach.

Kiedym chciał wyjść lub wrócić, nie posługując się windą i nie przechodząc przez główne schody, mniejsze schodki prywatne, już nieużywane, nadstawiały mi swoje stopnie, tak składnie zbudowane że linia ich zdawała się posiadać doskonałą gradację, w rodzaju tej, jaka w kolorach, zapachach, smakach, budzi w nas często specjalną rozkosz. Ale trzeba mi było przybyć aż tutaj, aby poznać przyjemność związaną z wchodzeniem i schodzeniem, jak niegdyś musiałem się znaleźć w alpejskiej miejscowości klimatycznej, aby się przekonać, że niedostrzegany zazwyczaj akt oddychania może być ciągłą rozkoszą. Odczułem tę folgę w wysiłku, daną nam jedynie przez rzeczy do których przywykliśmy od dawna, kiedym pierwszy raz postawił nogi na tych stopniach, poufałych, zanim je znałem, tak jakby posiadały – może złożoną i wcieloną w nie przez dawniejszych panów, których przyjmowały co dnia – antycypowaną słodycz nienabytych jeszcze przeze mnie przyzwyczajień, słodycz zdolną jedynie osłabnąć skoro się z nią oswoję.

Otworzyłem pokój, podwójne drzwi zamknęły się za

mną, draperia wpuściła milczenie, nad którym uczułem jakąś upajającą królewskość. Zdobny cyzelowanym mosiądzem marmurowy kominek – błędem byłoby przypuszczać, że ten kominek umiał jedynie reprezentować sztukę Dyrektoriatu – dawał i ciepło, a niski fotelik pomógł mi się grzać równie wygodnie, co gdybym siedział na dywanie. Ściany tuliły pokój, oddzielając go od reszty świata; aby tam wpuścić, aby w nim zamknąć to, co mu dawało jego pełnię, rozstępowały się przed biblioteką, obejmowały zagłębienie z łóżkiem, po którego dwóch stronach kolumnienki podtrzymywały lekko wyniosły sufit alkowy. A pokój przedłużał się w głąb w dwa alkierze równej z nim szerokości; w drugim z nich wisiał na ścianie – aby nasycić wonią skupienie, którego miało się tam szukać – rozkoszny różaniec z ziarn irysu. Drzwi, gdybym je zostawił otwarte, wchodząc do tego najdalszego schronienia, nie tylko troiły je, nie niweczając jego harmonii i nie tylko dawały memu spojrzeniu lubość przestrzeni po lubości skupienia, ale przydawały uczucie swobody do rozkoszy samotności, samotności wciąż nienaruszonej, a nie tak zamkniętej. Alkówka ta wychodziła na dziedziniec, którego miłe sąsiedztwo odkryłem ze szczęściem nazajutrz rano, ujrzawszy go zamkniętym – niby piękną samotnicę – między wysokimi murami bez okien. Rosły tam tylko dwa pożółkłe drzewa, dające czystemu niebu jakąś słodycz lila.

Zanim się położyłem, zapragnąłem wyjść z pokoju, aby zbadać całą swoją bajkową dziedzinę. Szedłem długą galerią,

niosącą mi w darze wszystko, co mi mogła ofiarować w razie bezsenności: fotel w kącie, szpinet, na konsoli niebieski fajansowy wazon pełen cynerarii, i w staroświeckiej ramie widmo zeszlowiecznej damy z niebieskimi kwiatami w pudrowanych włosach, z bukietem goździków w ręce. Kiedym doszedł do końca, ściana bez drzwi powiedziała mi naiwnie: „teraz trzeba wracać; ale widzisz, jesteś tu u siebie”, podczas gdy puszysty dywan dodawał uprzejmie, że gdybym nie spał tej nocy, mógłbym doskonale przyjść tu boso, a okna bez okiennic wyglądające na pole upewniały mnie, że będą czuwały całą noc, i że, nawet zjawiając się o jakiej bądź porze, nie potrzebuję się bać, bym kogo obudził. Za drzwiczkami w ścianie zauważyłem jedynie mały gabinet: wstrzymany ścianą i nie mogąc uciec, ukrył się tam markotny i patrzył na mnie wystraszony swoim okrągłym okienkiem zbłękitnionym przez księżyc.

Położyłem się, ale obecność pierzyny, kolumnienek, kominka, napinając moją uwagę w stopniu nieznanym mi w Paryżu, nie pozwoliła mi się oddać zwykłej włóczędze marzeń. Że zaś ten szczególny stan uwagi, zagarniając sen i działając nań, zmienia go, dociąga go do tej czy innej serii wspomnień, obrazy moich sennych marzeń owej pierwszej nocy wyłaniały się z pamięci zupełnie odmiennej od tej, z której zwykle czerpał mój sen. Gdybym nawet śpiąc, skłonny był pożegłować w stronę mej zwykłej pamięci, łóżko, do którego nie był przyzwyczajony, łagodna baczność towarzysząca nieodzownie moim ruchom kiedym się obracał, wystarczały, aby naprostować

lub podtrzymać nowy wątek moich snów.

Ze snem jest tak, jak z percepcją świata zewnętrznego. Wystarczy lada zmiany w naszych przyzwyczajeniach, aby go uczynić poetycznym; wystarczy abyśmy, rozbierając się, zasnęli niechcący na łóżku, aby się proporcje snu zmieniły, dając nam odczuć jego piękno. Budzimy się, widzimy na zegarku czwartą, to dopiero czwarta rano; ale nam się zdaje, że już spłynął cały dzień, tak bardzo ten kilkuminutowy sen, któregośmy nie szukali, wydaje się nam, mocą jakiegoś boskiego prawa, zesłany z nieba, olbrzymi i pełny niby złote jabłko cesarza.

Rano, kiedyś się frasowałem, że dziadek dawno jest gotów i że czekają na mnie, aby się wybrać w stronę Méséglise, obudziła mnie fanfara pułku, który co dzień przejeżdżał pod moimi oknami. Ale parę razy – i mówię to tutaj, bo niepodobna dobrze oddać czyjegoś życia, jeżeli się go nie skąpie w śnie, w którym się ono nurza i który noc po nocy opływa je tak jak morze otacza półwysep – odgradzający mnie sen był dość oporny, aby wytrzymać uderzenie muzyki, tak że nie słyszałem nic. W inne dni ustępował na chwilę: ale moja świadomość – jeszcze powleczone snem, jak owe znieczulone wprzód narządy, którym przyżeganie, zrazu nieodczuwane wcale, daje się uczuć aż przy samym końcu w postaci lekkiego sparzenia – doznała jedynie lekkiego dotknięcia ostrzy piszczałek, pieszczących ją niby lekki i świeży świegot letni; i po tej wąskiej przerwie, w której cisza stała się muzyką, cisza ta powracała wraz z moim snem, zanim nawet dragoni przeszli, kradnąc mi ostatnie rozkwitłe

pęki dźwięcznego bukietu. A strefa mojej świadomości, którą musnęły tryskające gałązki, była tak wąska, tak spowita snem, że później, kiedy Saint-Loup mnie pytał, czym słyszał muzykę, nie byłem już pewny, czy dźwięk fanfary nie był takim samym urojeniem, jak ten, który słyszałem w dzień unoszący się po najmniejszym hałasie nad brukiem. Może słyszałem go jedynie we śnie z obawy przebudzenia się lub przeciwnie z obawy, że się zbudzę i nie zobaczę defilady. Bo często, kiedy spałem w chwili, gdym myślał, że hałas byłby mnie obudził, przez godzinę jeszcze – wciąż drzemiąc – myślałem, że nie śpię i na ekranie swojego snu komponowałem sobie z nikłych cieni rozmaite widowiska, w których ten hałas mi przeszkadzał, ale których złuda trwała we mnie.

Zdarza się w istocie z nadejściem snu, że to, co zrobilibyśmy w dzień, spełniamy jedynie we śnie, to znaczy po zboczeniu w sen, idąc inną drogą, niżby się to zrobiło na jawie. Ta sama historia skręca i ma inny koniec. Mimo wszystko, świat, w jakim żyjemy we śnie, jest tak odmienny, że ludzie, którym trudno jest zasnąć, starają się przede wszystkim wyjść z naszego świata. Wałkując rozpaczliwie przez całe godziny z zamkniętymi oczami myśli podobne do tych, jakie by mieli z otwartymi oczami, nabierają otuchy, skoro spostrzegą, że ostatnia minuta była brzemienna rozumowaniem zupełnie sprzecznym z prawidłami logiki, z oczywistością danego momentu; ta krótka „absencja” znaczy, że uchyliła się brama, przez którą zdołają się może za chwilę wymknąć rzeczywistości,

przycupnąć gdzieś mniej lub więcej z dala od niej, co im da mniej lub więcej „dobry” sen. Ale już uczyniliśmy wielki krok, kiedy się obrócimy plecami do rzeczywistości i kiedy dosięgniemy pierwszych czeluści, gdzie „autosugestie” na kształt czarownic przyrządzają piekielną potrawkę urojonych chorób lub pogorszenia się nerwic i czatują na godzinę, gdy ataki naciągnięte niby sprężyna w czasie nieświadomego snu, odprężą się nagle dość silnie, aby go przerwać.

Niedaleko stamtąd znajduje się zamknięty ogród, gdzie rosną, jak nieznane kwiaty, sny tak różne od siebie wzajem: sen natury, konopi indyjskich, rozlicznych wyciągów eteru, sen belladonny, opium, waleriany; kwiaty zwinięte do dnia, gdy predestynowany wędrowiec dotknie ich, rozwinie je i na długie godziny wyzwoli aromat ich marzeń w swojej zachwyconej i zdumionej duszy. W głębi ogrodu jest klasztor z otwartymi oknami, gdzie słyszy się powtarzane przed zaśnięciem lekcje, które będziemy umieli aż przy obudzeniu; podczas gdy, niby wróżba tego przebudzenia, powtarza swoje „tik tak” ów wewnętrzny budzik, który poczucie nasze nastawiło tak dobrze, że kiedy służąca przyjdzie nam powiedzieć: „jest siódma”, już nas zastanie gotowych. Na ciemnych ścianach tego pokoju otwierającego się na sny, gdzie pracuje bez przerwy owo zapomnienie miłosnych zgryzot, którego pracę, szybko na nowo podjętą, przerywa czasem i niszczy koszmar przypomnień, wiszą, nawet po przebudzeniu się, wspomnienia snów, ale tak mroczne, że często spostrzegamy je pierwszy raz aż w pełne popołudnie,

kiedy je przypadkowo uderzy promień jakiejś pokrewnej myśli; niektóre już harmonijnie jasne, podczas gdyśmy spali, ale obecnie tak zmienione, że nie poznawszy ich, możemy tylko co prędzej oddać je ziemi, jak nazbyt rychło rozkładające się trupy lub przedmioty tak zniszczone i zmurszałe, iż najbieglejszy konserwator nie potrafiłby im przywrócić kształtu i zrobić z nich czegoś.

Opodal kraty znajduje się kopalnia, gdzie głębokie sny zachodzą szukać substancji nasycających głowę materią tak twardą, że aby obudzić śpiącego, własna jego wola zmuszona jest, nawet w złoty ranek, walić toporem niby młody Zygfryd. Dalej jeszcze są zwidzenia, o których lekarze nedorzecznie twierdzą, że bardziej męczą niż bezsenność, wówczas gdy one przeciwnie pozwalają naszej myśli wyzwolić się z uwagi; koszmary ze swymi fantazyjnymi albumami, gdzie nasi zmarli rodzice ulegają ciężkiemu wypadkowi, nie wykluczającemu rychłego wyleczenia. Na razie, trzymamy ich w klatce na szczury, przy czym mniejsi są niż białe myszki; pokryci wielkimi czerwonymi pryszczami, z których każdy strojny jest w piórko, zwracają do nas cycerońskie oracje. Obok tego albumu znajduje się kręcący się dysk przebudzenia, dzięki któremu grozi nam przez chwilę ta przykreść, że musimy za chwilę wrócić do zburzonego od pięćdziesięciu lat domu, którego obraz – w miarę jak sen się oddala – zacierają inne domy, zanim dojdziemy do tego, który się zjawi dopiero po zatrzymaniu się dysku, utożsamiony z tym, który ujrzymy otwartymi oczami.

Czasem nie słyszałem nic, pogrążony we śnie z rodzaju snów, w które wpadamy niby w czeluść, szczęśliwi, gdy się z niej wydostaniemy nieco później; sen ciężki, obżarty, trawiący wszystko to co nam – na kształt nimf karmiących Herkulesa – przyniosły owe zwinne roślinne potęgi, działające ze zdwojoną energią w czasie, gdy śpimy.

Nazywa się to snem ołowianym; zdaje się, że człowiek sam stał się na kilka chwil po przerwaniu takiego snu człowiekiem z ołowiu. Nie jest się nikim. Jakim cudem, szukając swojej myśli, swojej osobowości, tak jak się szuka zgubionego przedmiotu, odnajdujemy wówczas w końcu swoje ja raczej niż jakiegokolwiek inne? Czemu, kiedy zaczniemy na nowo myśleć, wciela się w nas osobowość nie inna niż poprzednia? Nie wiadomo, co nam dyktuje ten wybór i czemu, pośród milionów istot ludzkich, którymi moglibyśmy być, trafiamy właśnie na tę, którą byliśmy wczoraj. Co nami kieruje w odnalezieniu się po tej przerwie (spowodowanej głębokością snu lub odrębnością marzeń sennych, całkowicie od nas różnych)? Była to naprawdę śmierć, jak wówczas kiedy serce przestało bić i kiedy miarowe wyciąganie języka wraca nas do życia. Bez wątpienia jakiś pokój, choćbyśmy go widzieli tylko raz, budzi wspomnienia, których czepiają się inne, dawniejsze. Albo też spały może w nas same pewne wspomnienia, dochodzące naszej świadomości? Zmartwychwstanie przy przebudzeniu – po tym dobroczynnym napadzie obłądu, jakim jest sen – musi być w gruncie podobne do procesu, mocą którego odnajdujemy zapomniane nazwisko,

wiersz, melodię. I może zmartwychwstanie duszy po śmierci dałoby się pojąć jako zjawisko pamięci.

Kiedym się wreszcie rozbudził, wabiony słonecznym niebem, ale zrażony chłodem owych ostatnich poranków, promiennych i mroźnych, zwiastujących zimę, spoglądałem na drzewa, gdzie liście były zaznaczone tylko paroma plamami złota lub czerwieni, jak gdyby zawieszonymi w powietrzu, w niewidzialnej osnowie. Podnosiłem głowę i wyciągałem szyję, z ciałem wpełzniętym w kołdrę; niby poczwarka w trakcie przeobrażania się, byłem podwójną istotą, której poszczególne części wymagały różnych środowisk; oczom moim wystarczał kolor bez ciepła; za to moja pierś łaknęła jedynie ciepła, nie zaś koloru. Wstawałem dopiero wtedy, kiedy ogień płonął i patrzyłem na łagodny i przejrzysty obraz złocisto-liliowego poranku, któremu sztucznie przydawałem brakującą część ciepła, poruszając pogrzebaczem ogień płonący i dymiący na kształt dobrej fajki i dający mi jak fajka przyjemność – grubą zarazem, bo polegała na rozkoszy materialnej, i delikatną, bo za nią znaczyła się czysta wizja.

Gotownia moja była obita żywo czerwoną tapetą w białe i czarne kwiatki, z którymi oswojenie powinno mi być przyjsć dość trudno. Ale wydały mi się tylko nowe; zmusiły mnie jedynie do wejścia z nimi w styczność, nie zaś w zatarg; odmieniły jedynie wesołość i melodie mego wstawania, wsadziły mnie przemocą jakby w kielich maku, z którego patrzyłem na świat, widząc go zgoła inaczej niż w Paryżu, z owego wesołego

parawanu, jakim był ten nieznany dom, inaczej położony od domu rodziców i skąpany w czystym powietrzu.

Bywały dni, gdy nękała mnie potrzeba ujrzenia babki, obawa, czy nie jest cierpiąca; lub pamięć jakiejś uprzykrzonej sprawy pozostawionej w Paryżu; czasem jakieś kłopoty, w które nawet tutaj potrafiłem się wpakować. Któraś z tych trosk nie dała mi spać; byłem bez siły przeciw memu smutkowi, który w jednej chwili wypełniał mi całe istnienie. Wówczas posyłałem kogoś z hotelu do koszar z bilecikiem do Roberta; prosiłem go, jeżeli mu to jest fizycznie możebne – wiedziałem, że to jest bardzo trudne – aby był tak dobry i przyszedł na chwilę. Za godzinę przybywał; słysząc jego dzwonek, czułem się wyzwolony ze swoich trosk. Wiedziałem, że o ile one są silniejsze ode mnie, on jest silniejszy od nich; uwaga moja odrywała się od nich i obracała się ku niemu, mającemu decydować. Już wszedł i już napełnił pokój falą powietrza, w którym rozwijał tyle energii od rana; atmosferą bardzo różną od mojego pokoju, do której dostrajałem się natychmiast przez stosowne reakcje.

– Nie gniewasz się, mam nadzieję, żeś cię niepokoił; jest coś co mnie dręczy, powinieneś być to zgadnąć.

– Ale nie; myślałem po prostu, że masz ochotę mnie widzieć, i bardzo mnie to ucieszyło. Byłem niezmiernie rad, żeś mnie wezwał. Ale co? Jakoś nietęgo się miewasz? Czym ci mogę usłużyć?

Słuchał moich wyjaśnień, odpowiadał z precyzją, ale nim jeszcze przemówił, upodobał mnie do siebie; przy

poważnych zajęciach, które go czyniły tak spieszącym się, tak ruchliwym i wesołym, przykrości wypełniające mnie przed chwilą nieustannym cierpieniem wydawały mi się, jak jemu, czymś błahym; byłem jak człowiek, co, nie mogąc otworzyć oczu od kilku dni, sprowadza lekarza, który łagodnie i zręcznie rozwiera mu powieki i pokazuje wyjęte ziarnko piasku; chory jest wyleczony i uspokojony. Wszystkie moje udręki rozwiązywała depesza, którą Saint-Loup podejmował się wysłać. Życie zdawało mi się tak inne, tak piękne, byłem przepełniony takim nadmiarem siły, żem pragnął działać.

– Co ty teraz robisz? – pytałem Roberta.

– Muszę cię opuścić, bo za trzy kwadranse wymarsz, potrzebują mnie.

– To był dla ciebie wielki kłopot przyjść tutaj?

– Nie, żaden kłopot, kapitan był bardzo uprzejmy; powiedział, że z chwilą gdy chodzi o ciebie, powinienem iść, ale ostatecznie nie chcę, aby się wydawało, że tego nadużywam.

– A gdybym wstał prędko i wybrał się na własną rękę w okolice, gdzie macie ćwiczenia? To by mnie bardzo interesowało, a w pauzach moglibyśmy może gawędzić sobie.

– Nie radzę ci: nie spałeś, nabiłeś sobie głowę czymś co, ręcę ci, nie ma żadnego sensu; zatem teraz, kiedy cię to już nie dręczy, obróć się do ściany i śpij, co ci wybornie robi na demineralizację twojej tkanki nerwowej. Ale nie zasypiaj zbyt szybko, bo ta szelma muzyka będzie przechodziła pod twoimi oknami, ale potem już będziesz miał spokój. Zobaczymy się

wieczorem na obiedzie.

Ale z czasem, później, chodziłem często przyglądać się, jak pułk odbywa ćwiczenia w polu, wówczas kiedym się zaczął interesować teoriami wojskowymi, jakie rozwijali przy obiedzie przyjaciele Roberta i kiedy oblegało mnie pragnienie ujrzenia z bliska ich różnych przełożonych. Tak ktoś, kto żyje muzyką i wysiaduje na koncertach, znajduje przyjemność w tym, aby zachodzić do kawiarni, w której może obserwować życie członków orkiestry. Aby dotrzeć na teren ćwiczeń, musiałem robić daleki marsz. Wieczorem, po obiedzie, głowa opadała mi chwilami z senna. Nazajutrz, spostrzegalem, że nie słyszał fanfary, tak samo jak w Balbec, po wieczorze z Robertem w Rivebelle, nie słyszałem koncertu na plaży. I w chwili, gdy chciałem wstać, odczuwałem rozkoszny bezwład; czułem się wrośnięty w niewidzialny i głęboki grunt siecią masykularnych i odżywczych korzonków, odczuwanych dzięki zmęczeniu. Czułem się pełen sił, życie rozciągało się przede mną dłuższe, bo też cofnąłem się w błogosławione znużenia mego dzieciństwa w Combray, nazajutrz po spacerach w stronę Guermantes. Poeci twierdzą, że zachodząc do jakiegoś domu, do jakiegoś ogrodu, gdzieś żyli za młodu, odnajdujemy się na chwilę takimi, jakimi byliśmy niegdyś. To są bardzo ryzykowne pielgrzymki, często przynoszące zawód. Pewniejsze jest odnajdywać w sobie samym miejsca stałe, współczesne różnym latom. Do tego mogą się nam zdać poniekąd wielkie zmęczenia, po których następuje dobra noc. Ale te, dając nam zstąpić w najgłębsze

podziemne labirynty snu, gdzie żaden odblask jawy, żaden błysk pamięci nie oświeca już wewnętrznego monologu, o ile on w ogóle tam nie ustaje – wywracają tak dokładnie grunt i martwicę naszego ciała, że dają się nam odnaleźć tam, gdzie nasze mięśnie zanurzają i skręcają swoje odnogi i wsysają nowe życie, ogród, gdzieśmy spędzili dzieciństwo. Nie trzeba podróży na to, aby go ujrzyć na nowo; aby go odnaleźć, trzeba zastąpić w głąb. To co przykryła ziemia, nie jest już na niej, ale pod nią; aby zwiedzić umarłe miasto, nie wystarczy wycieczki, trzeba kopać w ziemi. Ale czytelnik ujrzy, o ile ulotne i przypadkowe wrażenia lepiej jeszcze wiodą w przeszłość, z subtelniejszą precyzją, lotem lżejszym, bardziej niematerialnym, bardziej zawrotnym, nieomylnym, bardziej nieśmiertelnym niż te organiczne przemieszczenia.

Czasem byłem jeszcze bardziej zmęczony: asystowałem, nie mogąc się położyć, ćwiczeniom przez kilka dni. Jakże błogi był wówczas powrót do hotelu! Wracając do swego łóżka, miałem uczucie, że się w końcu wyrwałem czarownikom, wróżom podobnym do tych, jacy zaludniają „romanse” ukochane przez nasz wiek XVII. Sen i wylegiwanie się nazajutrz rano były już tylko uroczą baśnią. Uroczą, może i dobroczynną. Powiadałem sobie, że dla najgorszych cierpień istnieje miejsce azylu, że zawsze można w braku czego lepszego – znaleźć spokój. Te myśli prowadziły mnie bardzo daleko.

W dnie, kiedy nie było ćwiczeń, a Saint-Loup nie mógł mimo to wyjść, odwiedzałem go często w koszarach. Znajdowały się

daleko; trzeba było wyjść z miasta, przebyć wiadukt, po którego obu stronach rozciągał się szeroki widok. Silny wiatr dał prawie zawsze na tym wyżu i wypełniał wszystkie budynki koszar, huczące wciąż niby jaskinia wiatrów. Czekałem na Roberta, zatrudnionego służbowo, przed jego drzwiami albo w refektarzu, rozmawiając z jego przyjaciółmi (później odwiedzałem ich czasem, nawet gdy Roberta miało nie być); widziałem przez okno w dole nagie pola; tu i ówdzie nowe zasiewy, często jeszcze mokre od deszczu i oświetlone słońcem, tworzyły zielone pasy, błyszczące i przeźroczyste jak emalia. Słyszałem często, jak mówią o Robercie: rychło zdałem sobie sprawę, jak był popularny i lubiany. U wielu rekrutów z innych szwadronów, bogatych mieszczańskich synów, którzy widywali wielki świat jedynie z daleka i nie mając doń dostępu, sympatia, jaką w nich budziły przymioty Roberta, urastała jeszcze od uroku jego sfery. Często, bawiąc za przepustką w Paryżu, widzieli go, wieczierającego w Café de la Paix z księciem d'Uzès i z księciem Orleanu. I z tej przyczyny jego ładna twarz, jego niedbały sposób chodzenia, kłaniania się, z nieustannie fruwającym monoklem, jego nieprzepisowe, zbyt wysokie kepi, pantaloney ze zbyt cienkiego i zbyt różowego sukna, zrosły się im z pojęciem „szyku”. Odmawiali tego szyku innym, najbardziej eleganckim oficerom pułku; nawet majestatycznemu kapitanowi, któremu zawdzięczałem pierwszy nocleg w koszarach, a który wydawał się w porównaniu z Robertem zbyt nadęty, niemal pospolity.

Któryś mówił, że kapitan kupił nowego konia. Może kupować koni ile tylko zechce! Spotkałem Roberta de Saint-Loup w niedzielę rano w alei des Acacias: ten dopiero ma szyk na koniu! – odparł drugi; a znał się na tym, bo ci młodzi ludzie należeli do klasy, która jeżeli nie bywa w tym samym świecie co Saint-Loup, to jednak, dzięki pieniądзом i wczasom, nie ustępuje arystokracji w znajomości wszystkich elegancji, jakie się da kupić. Co najwyżej, elegancja ich miała (w tym na przykład co się tyczyło stroju) coś bardziej wyszukanego, nieskazitelnego niż swoboda i niedbała elegancja Roberta, która się tak podobała mojej babce. Dla tych bankierskich synków zajadających się ostrygami po teatrze, widzieć przy sąsiednim stole podoficera Saint-Loup, to była pewna emocja. I ileż opowiadań w koszarach w poniedziałek, po powrocie z urlopu! Jednemu, koledze ze szwadronu, Robert uklonił się bardzo przyjaźnie; drugi, z innego szwadronu, twierdził, że Saint-Loup i tak go poznał, bo parę razy wycelował monokl w jego stronę.

– Tak, mój brat widział go w „la Paix” – powiadał inny, który spędził dzień u swojej kochanki – zdaje się nawet, że miał za luźny frak, nieszczególnie skrojony.

– Jaką miał kamizelkę?

– Nie białą, ale lila w jakieś palmy, bajeczna!

Żołnierze, ludzie prości, niemający pojęcia o jockey klubie, zaliczali Roberta jedynie do kategorii podoficerów bardzo bogatych, w której to kategorii mieścili wszystkich, co – zrujnowani lub nie – żyli na pewnej stopie, mieli pokaźną sumę

dochodów lub długów i byli hojni dla żołnierzy. Dla tych chód, monokl, spodnie, kepi Roberta, w których zresztą nie widzieli nic arystokratycznego, miały swoją wagę i znaczenie. We właściwościach tych poznawali charakter, styl, który raz na zawsze wyznaczyli temu najpopularniejszemu z podoficerów – wzięcie niepodobne do żadnego innego – pogardę dla opinii władz, co się tym prostym ludziom wydawało naturalną konsekwencją dobroci Roberta dla żołnierzy. Ranna kawa w izbie lub popołudniowa sjesta na łóżku lepiej smakowały, kiedy jakiś „starszy” uraczył łakomą i leniwą drużynę nowym smakowitym szczegółem o kepi Roberta.

– Takie wysokie jak moja walizka.

– Daj spokój, stary, ty chcesz z nas strugać wariatów, nie mogło być takie wysokie jak twoja walizka – przerwał młody maturzysta, który posługując się tym dialektem, starał się nie wyglądać na frajera, ryzykując zaś ten sprzeciw, chciał wywołać potwierdzenie faktu, którym był zachwycony.

– Aha, nie takie wysokie jak moja walizka. Tyś je może mierzył. Powiadam ci, podpułkownik fiksował go tak, jakby go chciał posłać do paki. I nie myśl sobie, że ten sakramencki Saint-Loup robił sobie co z tego; chodził sobie tędy i owędy, spuszczał głowę, podnosił głowę, wciąż z tym fruwającym monoklem. Zobaczymy, co powie kapitan. Ha, możebne nie powie nic; ale to pewne, że kontent nie będzie. Ale to kepi, to jeszcze nic. Podobno u siebie w domu on ma ich więcej niż trzydzieści.

– Jak ty to wiesz, stary? Przez naszego cholernego kaprała?

– pytał młody maturzysta, z pedantyzmem paradygując nowymi formami, których nauczył się niedawno i którymi lubił ozdabiać konwersację.

– Jak wiem? Przez jego ordynansa, u licha.

– Myślę, że temu to się musi dziać wcale nieźle.

– Ma się wi! Ma więcej forsy ode mnie, to pewna. I daje mu swoje rzeczy, i wszystko. Nie dawali mu dosyć w kantynie. I nasz Saint-Loup przychodzi i dopiero kucharz wysłuchał za swoje: „Ja chcę, żeby on był dobrze żywiony, niech kosztuje co chce”.

I stary zupak uzupełniał błahość słów energią akcentu, przy czym ta mierna imitacja odniosła kolosalny sukces.

Wyszedłszy z koszar, robiłem mały spacer, po czym nim przyszła chwila, w której szedłem co dzień na obiad z Robertem do restauracji, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, udawałem się, skoro tylko słońce zaszło, do hotelu, aby przez dwie godziny odpocząć trochę i poczytać. Na rynku wieczór kładł na stromych dachach zamku różowe chmurki w kolorze cegieł i spajał je z nimi, łagodząc ton cegieł swoim odblaskiem. Taki strumień życia napływał mi do nerwów, że żaden mój ruch nie mógł go wyczerpać, każdy krok, dotknąwszy ulicznego bruku, odskakiwał: zdawało mi się, że mam u stóp skrzydła Merkurego. Jedna fontanna była pełna czerwonego światła, gdy w drugiej księżyc dawał już wodzie kolor opalu. Pomiedzy nimi bawiły się dzieci, krzycząc, biegając w kółko, posłuszne jakiemuś nakazowi godziny, na kształt jerzyków lub nietoperzy. Obok hotelu, dawne pałace i oranżeria Ludwika XVI – obecnie

Kasa Oszczędności i Komenda Korpusu – oświecone były od wewnątrz blado-żółtymi ampułkami już zapalonego gazu. Płomyki te, w jasnym jeszcze dniu, wdzięcznie stroiły te wysokie i szerokie okna z XVIII wieku, gdzie nie zatarł się jeszcze ostatni odblask zachodu, niby jasny szylkretowy stroik na głowie nieco podbarwionej różem. Światło to zachęcało mnie, abym spieszył do swojego kominka i do lampy, która sama jedna w fasadzie mojego hotelu walczyła ze zmierzchem i dla której wracałem, nim zapadnie noc, z rozkoszą, niby na podwieczorek. Zachowywałem w swoim pokoju tę samą pełnię wrażeń, jaką miałem wprzód na dworze. Wzdymała ona tak suto kształt powierzchni, które się nam często wydają płaskie i puste, żółty płomień ognia, sinawy papier nieba, na którym, na kształt uczniaka, wieczór nabazgrał floresy czerwonym ołówkiem, osobliwy deseń serwety na okrągłym stole, gdzie czekała mnie libra papieru i kałamarz obok powieści Bergotte’a, że odtąd przedmioty te nadal wydają mi się bogate w swoiste życie, które – takie mam wrażenie – umiałbym w nich wywołać, gdyby mi je było dane odnaleźć.

Myślałem z radością o tych koszarach, którem dopiero co opuścił i na których chorągiewka kręciła się jak szalona na wietrze. Jak nurka oddychanie rurą biegnącą aż ponad powierzchnię wody, tak mnie te koszary wiązały ze zdrowym życiem, ze świeżym powietrzem: czułem niby punkt oparcia w tym wysokim obserwatorium, górującym nad polami przeciętymi zieloną emalią kanałów. Tam, w tych szopach

i budynkach, miałem ten szacowny przywilej – jakże pragnąłem zachować go na stałe! – że mogłem zjawić się kiedy zechcę, zawsze pewien dobrego przyjęcia.

O siódmej ubierałem się i szedłem na obiad spotkać się z Robertem w restauracji, gdzie się stołowałem. Lubilem chodzić tam pieszo. Ciemność była głęboka. Od trzeciego dnia mego pobytu zaczął dąć, zaraz z zapadnięciem nocy, lodowaty wiatr, zwiastun śniegu. Zdawało się, że w drodze powinien bym bez ustanku myśleć o pani de Guermites; wszak wybrałem się do Roberta tylko po to, aby się do niej zbliżyć. Ale wspomnienie, zgryzota, są ruchome. Są dni, w których odchodzą tak daleko, że ledwie je dostrzegamy, sądzimy, że już sobie poszły. Wówczas zwracamy uwagę na inne rzeczy. Ulice tego miasta nie były jeszcze dla mnie (jak są tam, gdzie mieszkamy stale) jedynie środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce. Życie mieszkańców tego nieznanego świata wydawało mi się czymś cudownym; często oświetlone szyby jakiegoś domu zatrzymywały mnie długo w miejscu w ciemnościach nocy, ukazując moim oczom autentyczne a tajemnicze sceny istnień, w których nie miałem udziału. Tu geniusz ognia pokazywał mi w purpurowym obrazie szynkownię, gdzie dwaj podoficerowie, złożwszy kupie na krzesłach, grali w karty, nie domyślając się, że czarodziej wywołuje ich z nocy, niby duchy w teatrze, w postaci, w jakiej ukazywali się w tej chwili oczom niewidocznego im przechodnia. W antykwarskim sklepiku na wpół wypalona świeca, oświetlając czerwonym

blaskiem jakiś sztych, zmieniała go w sangwinę, podczas gdy, walcząc z cieniem, jasność dużej lampy opalała kawał skóry, zaśniecała² sztylet błyszczącymi pajetkami, na lichych kopiach obrazów kładła szacowne złoto niby patynę wieków lub werniks mistrza, czyniąc z tej nory, zawierającej samą tandetę, bezcennego Rembrandta. Czasami rzucałem wzrok w głąb jakiegoś obszernego, starego mieszkania z niedomkniętymi okiennicami, gdzie ziemnowodni mieszkańcy obojej płci co wieczora powracali do życia w innym żywiole niż za dnia, pływali wolno w gęstym płynie, który, z nadejściem nocy, sący się bez ustanku z rezerwuaru lamp, wypełniając pokoje po brzegi ich kamiennych i szklanych ścian; i w płynie tym, przesuając swoje ciała, tworzyli tłuste i złociste wiry.

Szedłem dalej, i często w czarnej uliczce wiodącej koło katedry, jak niegdyś na drodze do Mèsèglise, siła mego pragnienia zatrzymywała mnie: miałem uczucie, że się wyłoni jakaś kobieta, aby je zaspokoić: kiedy w ciemności uczułem nagle przesuającą się suknię, sama gwałtowność doznawanej rozkoszy nie pozwalała mi sądzić, że otarcie się było przypadkowe, i próbowałem chwycić w ramiona wystraszoną nieznajomą.

Ta gotycka uliczka miała dla mnie coś tak realnego, że gdybym mógł tam zdybać i pojąć kobietę, niepodobna byłoby mi nie uwierzyć, że to antyczna rozkosz ma nas połączyć,

² *zaśniecała sztylet (...)* – pokrywała sztylet emalią błyszczących pajetek (tak w późniejszym opracowaniu tłumaczenia). [przypis edytorski]

choćby nawet owa kobieta była zwykłą ulicznicą wystającą tam co wieczora; tyle użyczyłyby jej tajemnicy zima, obcość miejsca, ciemność i średniowiecze. Myślałem o przyszłości: próbować zapomnieć o pani de Guermites wydawało mi się okropne, ale rozsądne i – po raz pierwszy – możliwe, może nawet łatwe. W absolutnej ciszy tej dzielnicy słyszałem dokoła siebie słowa i uśmiechy, pochodzące zapewne od zaproszonych winem wracających przechodniów. Zatrzymałem się, aby się im przyjrzeć, patrzyłem w stronę, skąd dochodził hałas. Ale trzeba mi było czekać długo: otaczająca cisza była tak głęboka, że z osobliwą wyrazistością i siłą przenosiła odgłosy jeszcze odległe. Wreszcie idący przeszli, nie – jak przypuszczałem – przede mną, ale daleko za mną. Czy że skrzyżowanie ulic i zgrupowanie domów spowodowało przez odbicie ten akustyczny błąd, czy że trudno jest umiejscowić dźwięk, którego źródła nie znamy, pomyliłem się zarówno co do odległości jak co do kierunku.

Wiatr wzmacniał się, był jakby zjeżony i chropawy zbliżającym się śniegiem. Wróciłem na główną ulicę i wskoczyłem do tramwaju, gdzie na platformie oficer – zdając się ich nie widzieć – odpowiadał na ukłony ciężkich żołnierzy przechodzących chodnikiem, z twarzami ufarbowanymi zimnem; w mieście, które nagły przeskok jesieni w rozpoczynającą się zimą posuwał jak gdyby o wiele dalej na północ, twarze te przywodziły na myśl czerwone gęby, jakie Breughel daje swoim radosnym, hulaszczym i zmarzniętym wieśniakom.

Do restauracji, gdzie miał spotkać z Robertem i jego przyjaciółmi, zbliżające się święta ściągały wiele osób z sąsiedztwa, a także obcych. Gdym mijał dziedziniec, odsłaniający żarzące się kuchnie, gdzie kręciły się na różnie kurczaki, gdzie piekły się wieprze, gdzie żywe jeszcze homary rzucano w tak nazwany przez hotelarza „ogień wieczny”, tłoczyli się (niby w jakimś „Spisie ludności w Betlejem”, jak je malowali starzy mistrze flamandzcy) przybysze, którzy, skupieni gromadkami w dziedzińcu, pytali gospodarza lub któregoś z jego pomocników (wskazującego im chętnie mieszkanie w mieście, kiedy się mu nie wydawali dość „odpowiedzialni”), czy mogą dostać posiłek i pokój, podczas gdy chłopcy biegali, trzymając za szyję szamocące się sztuki drobiu. I w wielkiej sali jadalnej (którą przebyłem pierwszego dnia, zanim dotarłem do pokoiku, gdzie mnie oczekiwał przyjaciel) również przypominał się posiłek z Ewangelii, wyobrażony z naiwnością dawnych wieków i z przesadą Flamandów. Przywodziła go na myśl mnogość ryb, pulard, bażantów, bekasów, gołębi, dymiących, wnoszonych w całej parady przez zdyszanych garsonów, którzy ślizgali się dla pośpiechu po posadzce i stawiali je na olbrzymiej konsoli, gdzie je natychmiast krajano, ale gdzie – ile że wiele obiadów dobiegało końca w chwili, gdym się zjawiał – gromadziły się niezużyte, jak gdyby ich obfitość i pośpiech służby odpowiadały nie tyle potrzebom gości, ile raczej szacunkowi dla świętego tekstu, skrupulatnie przestrzegane, lecz naiwnie ilustrowane tymi realnymi szczegółami, zapożyczonymi z miejscowego

życia, oraz estetycznej i religijnej trosce o uczczenie święta przez obfitość wiktuałów i gorliwość służebników. Jeden z nich, stojąc na końcu sali, dumał nieruchomy obok podręcznego kredensu; aby spytać tego właśnie (jedyne go, który się wydawał dość spokojny), w którym pokoju pomieszczono nasz stół, posuwałem się między piecykami rozpalonymi tu i ówdzie, aby nie dać ostygnąć półmiskom zapóźnionych gości (co nie przeszkadzało, że w centrum sali desery trzymał w rękach olbrzymi bałwan, czasami wsparty na skrzydłach kaczki na pozór z kryształu, a w rzeczywistości z lodu, co dnia cyzelowanego rozpalonym żelazem przez kucharza-rzeźbiarza w guście bardzo flamandzkim). Szedłem prosto, narażając się na przewrócenie w tłoku, w stronę tego służącego, w którym poznawałem jak gdyby osobistość tradycyjną w takich świętych tematach, z jej płaskonosą, naiwną i źle narysowaną twarzą, z wyrazem zadumy już jakby przeczuwającej niepodejrzewany jeszcze przez innych cud boskiej obecności. Dodajmy, iż (z pewnością z racji zbliżających się świąt) figurantowi temu przydano niebiański orszak, dobrany całkowicie z personelu cherubinów i serafinów. Młody anioł-muzykant o blond włosach strojących czternastoletnią twarzyczkę nie grał wprawdzie na żadnym instrumencie, ale marzył przed gongiem lub przed stołem talerzy, podczas gdy mniej dziecięcy aniołowie pomykali przez olbrzymie przestrzenie sali, poruszając w niej powietrze nieustannym drżeniem serwet, zwisających wzdłuż ich ciał na kształt kończystych skrzydeł prymitywów.

Uchodząc z tych nieokreślonych regionów, przesłoniętych firanką palm, gdzie niebiańscy służebnicy robili z daleka wrażenie, że zstępują z empireum, torowałem sobie drogę do salki, gdzie był stół Roberta. Zastałem tam kilku jego przyjaciół, którzy zawsze z nim jadali; wszystko szlachta, z wyjątkiem paru mieszczan, ale takich, w których ci „dobrze urodzeni” od szkolnej ławy wyczuli przyjaciół, z którymi zbliżyli się chętnie, dowodząc tym, że nie są w zasadzie wrogami mieszczan, nawet republikanów, byleby ci mieli czyste ręce i chodzili na mszę. Od pierwszego wieczoru, zanim siedliśmy do stołu, odciągnąłem Roberta w kąt i przy wszystkich, ale tak, żeby nie słyszeli, rzekłem:

– Robercie, chwila i miejsce są źle obrane na to, co ci chcę powiedzieć, ale to potrwa tylko sekundę. Zawsze zapominam spytać cię o to w koszarach: czy fotografia u ciebie na stole to jest pani de Guermantes?

– Ależ tak, to jest moja dobra ciocia.

– Ach, prawda, w głowie mi się troi, wiedziałem dawniej i nigdy o tym nie pomyślałem. Mój Boże, twoi przyjaciele muszą się niecierpliwić, mówmy szybko, patrzą na nas. Albo odłożmy na inny raz, to nie ma żadnego znaczenia.

– Ależ owszem, rznij dalej, nic nie szkodzi, że zaczekają.

– Ale nie, ja chciałbym być grzeczny, oni są tacy mili dla mnie; zresztą doprawdy to nic tak ważnego.

– Ty znasz tę zacną Oriane?

Ta „zacna Oriana” – tak jakby powiedział ta „dobra Oriana”

– nie znaczyła wcale, aby Robert uważał panią de Guermantes za specjalnie dobrą. W takich wypadkach „dobra”, „zaczyna”, „dzielna” są prostym wzmocnieniem słówka „ta”, określającego osobę, którą znają obaj, a o której nie bardzo się wie, co powiedzieć komuś, z kim się nie jest całkiem blisko. „Dobra” służy za przystawkę i pozwala zyskać na czasie, aż się znajdzie coś w rodzaju: „Czy ją widzisz często?”, albo: „Od wieków jej już nie widziałem”, albo: „Mam ją zobaczyć we wtorek”, albo: „Nie musi być już pierwszej młodości”.

– Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to bawi, że to jest jej fotografia, bo my mieszkamy teraz w jej domu i dowiedziałem się o niej niesłychanych rzeczy (byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym miał powiedzieć jakich), co sprawia, że mnie ona bardzo interesuje, z punktu widzenia literackiego, rozumiesz, nie wiem, jak się wyrazić, z punktu widzenia balzakowskiego. Ty, taki inteligentny, rozumiesz mnie w pół słowa; ale kończmy już, co twoi przyjaciele pomyślą o moim wychowaniu!

– Ależ nic nie pomyślą; powiedziałem im, że ty jesteś bajkowy i są o wiele bardziej onieśmieleni od ciebie.

– Doprawdy, jakiś ty pocziwy. Ale chodzi o to: pani de Guermantes nie wie, że ja cię znam, prawda?

– Nie mam pojęcia, nie widziałem jej od lata, bo nie byłem w Paryżu od czasu jej powrotu.

– Powiem ci jedno: zaręczano mi, że ona mnie ma za kompletnego idiotę.

– Och, w to nie uwierzę. Oriana nie jest orzeł, ale bądź co

bądź nie jest całkiem głupia.

– Ty wiesz, że nie zależy mi wcale na tym, abyś afiszował swoją przyjaźń dla mnie, bo nie jestem ani trochę próżny. Toteż żałuję, żeś mówił o mnie tak pochlebne rzeczy swoim przyjaciółom (do których przejdziemy za chwilę). Ale co się tyczy pani de Guermantes, gdybyś mógł jej zakomunikować, nawet z pewną przesadą, co o mnie myślisz, zrobiłbyś mi wielką przyjemność.

– Ależ bardzo chętnie, jeżeli tylko o to ci chodzi, to nie jest zbyt trudne; ale cóż tobie może zależeć na tym, co ona o tobie myśli? Przypuszczam, że gwizdziesz na to; w każdym razie, jeżeli to tylko tyle, będziemy mogli pomówić o tym przy wszystkich, albo kiedy będziemy sami, bo boję się, żebyś się nie zmęczył, rozmawiając stojący i to tak niewygodnie, podczas gdy mamy tyle sposobności znaleźć się sam na sam.

Ale właśnie ta niewygodność dała mi odwagę mówienia z Robertem; obecność innych była dla mnie pretekstem, pozwalającym mi formułować zdania krótko i bezładnie, dzięki czemu łatwiej mogłem ukryć kłamstwo, jakiegom się dopuszczał, mówiąc przyjacielowi, żeś zapomniał o jego pokrewieństwie z księżną. Zarazem, okoliczność ta nie zostawiała Robertowi czasu na pytanie mnie o motywy, dla których pragnę, aby pani de Guermantes wiedziała, że jestem z nim w przyjaźni, że jestem inteligentny etc., które to pytania byłyby mnie zmieszały tym bardziej, ile że nie mógłbym na nie odpowiedzieć.

– Robercie, u ciebie, tak inteligentnego, dziwi mnie, iż nie rozumiesz, że nie trzeba rozbierać tego, co sprawia przyjacielowi przyjemność, ale zrobić to po prostu. Ja, gdybyś mnie prosił o cokolwiek w świecie – a nawet bardzo bym pragnął, abys mnie o coś poprosił – upewniam cię, nie żądałbym od ciebie wyjaśnień. Idę dalej niż to, czego pragnę; nie zależy mi na znajomości z panią de Guermantes, ale powinienem cię być wypróbować, powiedzieć ci, że chciałbym być zaproszony na obiad z panią de Guermantes, i wiem, że byś ty tego nie zrobił.

– Nie tylko bym zrobił, ale zrobię.

– Kiedy?

– Skoro tylko przyjadę do Paryża, pewnie za trzy tygodnie.

– Zobaczymy; zresztą ona nie zechce. Nie umiem ci powiedzieć, jak ci dziękuję.

– Ależ nie, to drobnostka.

– Nie mów mi tego, to jest olbrzymie, bo teraz widzę, jaki z ciebie jest przyjaciel; czy to, o co proszę jest ważne czy nie, przyjemne czy nie, czy mi na tym zależy w istocie, czy tylko aby cię wypróbować, mniejsza; powiadasz, że to zrobisz i dowodzisz tym subtelności swojej inteligencji i swego serca. Głupiec wszcząłby dyskusję.

Właśnie Saint-Loup zrobił to; ale może chciałem go wziąć przez miłość własną, może też byłem szczery, ile że jedynym kamieniem probierczym zasługi zdawała mi się czyjaś użyteczność dla mnie wobec jedynej rzeczy, która mi się wydawała ważna – mojej miłości. Zaczem dodałem, czy

to powodowany obłądą, czy szczerym przypiływem uczucia zrodzonego z wdzięczności, z interesu i ze wszystkiego, co natura przelała z rysów pani de Guermantes w siostrzeńca jej Roberta:

– Ale trzeba nam wracać do towarzystwa, a ja poprosiłem dopiero o jedną z dwóch rzeczy, i to mniej ważną. Druga jest o wiele dla mnie ważniejsza, ale boję się spotkać z odmową: czy by to była wielka przykrość, gdybyśmy przeszli na „ty”³?

– Och, przykrość! jakże! Ależ *radość, trzy radości, nieznane szczęście*⁴!

– Jak ja panu dziękuję... ci dziękuję. Kiedy pan... ty zaczniesz? To mi robi taką przyjemność, że jeżeli chcesz, możesz nic nie zrobić w sprawie pani de Guermantes, to „ty” wystarczy mi.

– Zrobi się i jedno, i drugie.

– Och! Robercie! Słuchaj – rzekłem jeszcze do Roberta podczas obiadu – och, jakie to komiczne, ta rozmowa wciąż przerywana i zresztą nie wiem czemu – wiesz, pamiętasz tę osobę, o której ci mówiłem?

– Tak.

– Wiesz dobrze, o kim mówię?

– Ależ jakże, czy bierzesz mnie za kretyna, matołka?

– Czy nie zechciałbyś mi dać jej fotografię?

³ *gdybyśmy przeszli na „ty”*? – brak polskiego odpowiednika do francuskiej formy *vous* sprawił, iż tłumacz już wcześniej pozwolił się tym młodym ludziom tykać. Kazać im być z sobą tak długo na „pan”, byłoby zbyt sztuczne. [przypis tłumacza]

⁴ *radość, trzy radości, nieznane szczęście* – słynny cytat z *Myśli* Pascala. [przypis tłumacza]

Chciałem go prosić jedynie o pożyczenie. Ale w chwili, gdym mówił, ogarnął mnie lęk, prośba moja wydała mi się zbyt śmiała; aby tego nie okazać, sformułowałem ją brutalnie i wyolbrzymiłem ją jeszcze, tak jakby była zupełnie naturalna.

– Nie, musiałbym jej wprzód poprosić o pozwolenie – odparł.

Równocześnie zaczerwienił się. Zrozumiałem, że nie mówi wszystkiego, że mnie posądza o to samo, że będzie wspomagał moją miłość jedynie w pewnej mierze, w granicach pewnych zasad, i zniechęciłem go w tej chwili.

A mimo to byłem wzruszony, widząc, jak bardzo Robert jest inny w stosunku do mnie z chwilą, gdym nie był z nim sam i kiedy byli przy tym jego przyjaciele. Jego wzmożona uprzejmość byłaby mi obojętna, gdybym wiedział, że jest rozmyślna; ale czułem, że jest mimowolna, złożona jedynie ze wszystkiego, co musiał mówić o mnie w mojej nieobecności, a co krył w sobie, kiedy byliśmy sami. Wówczas, niewątpliwie, domyślałem się przyjemności, jaką mu sprawiała rozmowa ze mną, ale przyjemność ta pozostawała prawie zawsze niewyrażona. Teraz, przy tych samych moich powiedzeniach, jakimi się delektował zazwyczaj, nie okazując tego, zerkał spod oka na przyjaciół, badając, czy robię efekt, na który liczył i który miał odpowiadać jego zapowiedziom. Matka debiutantki nie z większą uwagą śledzi grę córki i wrażenia publiczności. Kiedym powiedział coś, z czego, gdybyśmy byli sami, tylko by się uśmiechnął, wołał: „Jak, jak?”, aby mnie zmusić do powtórzenia i ściągnąć uwagę. I obracając się do innych, patrząc na nich

ze szczerym śmiechem i mimo woli prowokując ich śmiech, pierwszy raz zdradzał przede mną pojęcie, jakie miał o mnie i jakim musiał się często dzielić z kolegami. Tak iż spostrzegłem nagle samego siebie z zewnątrz, jak ktoś, kto wyczyta swoje nazwisko w dzienniku lub ujrzy się w lustrze.

Zdarzyło mi się pewnego wieczoru, że chciałem opowiedzieć dosyć komiczną historyjkę o pani Blandais, ale zatrzymałem się natychmiast, przypomniawszy sobie, że Saint-Loup już zna tę historię i że, kiedyś mu ją chciałem opowiedzieć nazajutrz po przybyciu, przerwał mi, mówiąc: „Opowiadałeś mi to już w Balbec”. Zdziwiłem się tedy, widząc, że Saint-Loup zachęca mnie, abym mówił dalej, upewniając, że nie zna tej historyjki i że bardzo by go zabawiła. Rzekłem: „Musiałeś zapomnieć na chwilę, ale zaraz zobaczysz, że znasz”. „Ale nie, przysięgam, że ci się pomyliło. Nigdyś mi tego nie opowiadał. Jedź”. I przez cały ciąg anegdoty, wlepiam gorączkowo zachwycone oczy to we mnie, to w kolegów. Dopiero kiedy skończyłem historyjkę wśród powszechnego śmiechu, zrozumiałem, że on pomyślał, iż ona da wysokie pojęcie o mnie jego przyjaciółom i dlatego udał, że jej nie zna. To jest przyjaźń!

Trzeciego wieczora jeden z jego przyjaciół, z którym nie miałem sposobności mówić dotąd, rozmawiał ze mną bardzo długo; słyszałem później, jak półgłosem wyrażał Robertowi przyjemność, jaką w tym znalazł. W istocie, przegadaliśmy prawie cały wieczór przy stojących przed nami i zapomnianych kieliszkach soternu, odcięci od innych, chronieni od nich

przez wspaniałe zasłony jednej z owych wzajemnych męskich sympatii, które, kiedy nie mają źródła w pociągu fizycznym, są jedynym rodzajem sympatii zupełnie tajemniczej. Tak samo zagadkowe wydawało mi się w Balbec uczucie, jakie żywił dla mnie Saint-Loup, niepokrywające się z przyjemnością naszych rozmów, oderwane od wszelkich węzłów materialnych, niewidzialne, niedotykalne, którego obecność jednak odczuwał w sobie samym niby rodzaj fluidu, gazu, na tyle aby o nim mówić z uśmiechem. A może było coś jeszcze bardziej zdumiewającego w tej sympatii, zrodzonej tutaj w ciągu jednego wieczoru, niby kwiat rozwity w ciągu kilku minut w upale tego pokoiku.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie spytać Roberta, kiedy wspomniał o Balbec, czy to jest naprawdę postanowione, że on się żeni z panną d'Ambresac. Odpowiedział, że nie tylko nie jest postanowione, ale nigdy nie było nawet o tym mowy, nie widział tej panny na oczy, nie wie, kto to jest. Gdybym spotkał w tej chwili kogoś z tych, co mi mówili o jego małżeństwie, oznajmiłby mi związek panny d'Ambresac z kimś innym niż pan de Saint-Loup, i pana de Saint-Loup z kimś innym niż panna d'Ambresac. Bardzo bym ich zdziwił, przypominając im odmienne prorocтва, jeszcze tak świeże! Iżby ta niewinna zabawa mogła trwać i mnożyć fałszywe nowiny, piętząc ich maksymalną ilość przy każdym nazwisku, natura dała amatorom tej zabawy pamięć tym krótszą, im łatwowierność ich jest większa.

Saint-Loup mówił mi o innym z kolegów, również obecnym,

z którym czuł się szczególnie blisko, bo byli w tym środowisku jedynymi zwolennikami rewizji procesu Dreyfusa.

– Och! on, to nie jak Saint-Loup, to fanatyk! – rzekł do mnie mój nowy przyjaciel – on nie jest nawet szczery. W początkach powiadał mi: „Trzeba tylko czekać, jest tam w sztabie człowiek, którego znam dobrze, subtelny, zacny, generał de Boisdeffre; będzie można bez zastrzeżeń polegać na jego opinii”. Ale kiedy się dowiedział, że Boisdeffre wierzy w winę Dreyfusa, już Boisdeffre był niczym; klerykalizm (powiadał), sztabowe uprzedzenia nie pozwalają mu sądzić szczerze – mimo że nikt nie był równie klerykalny przed Dreyfusem jak nasz przyjaciel! Wówczas oświadczył mi, że w każdym razie będzie się wiedziało prawdę, bo sprawa jest w rękach Saussiera i że ten republikański żołnierz (nasz przyjaciel jest z rodziny ultra-monarchistycznej) to jest człowiek z brązu, sumienie nieugięte. Ale kiedy Saussier obwieścił niewinność Esterhazego, nasz kolega znalazł nowe komentarze do tego werdyktu, potępiające nie Dreyfusa, ale generała Saussier. Powiadał, że to duch militarizmu zaślepił Saussiera (a niech pan zważy, że on sam jest zarówno militarystą jak klerykałem, lub raczej był, bo nie wiem już teraz, co o nim sądzić). Rodzina jest w rozpacz, że on ma te poglądy.

– Widzisz – rzekłem, zwracając się na wpół do Roberta, aby się nie zdawało, że się izoluję, a zarazem do jego kolegi, aby go wciągnąć do rozmowy – że wpływ, jaki przypisujemy środowisku, jest zwłaszcza prawdą w stosunku do środowiska intelektualnego. Jest się człowiekiem swojej idei; że zaś jest

o wiele mniej idei niż ludzi, wszyscy ludzie jednej idei są do siebie podobni. Ponieważ idea nie ma nic materialnego, ludzie, którzy otaczają człowieka danej idei jedynie materialnie, nie zmieniają jej w niczym.

Saint-Loup nie zadowolili się tym skojarzeniem. W szale radości, zdwojonej niechybnie zadowoleniem, że mi dał sposobność błysnięcia w oczach kolegów, powtarzał nerwowo, wycierając mnie niby konia, który pierwszy przyszedł do mety:

– Ty jesteś najinteligentniejszy człowiek, jakiego znam, wiesz! – Poprawił się i dodał – Obok Elstira. To cię nie drażni, prawda? rozumiesz: ścisłość. Porównanie: mówię tak, jakby ktoś powiedział Balzakowi: jesteś największy powieściopisarz epoki – obok Stendhala. Nadmiar skrupułu, rozumiesz; w gruncie bezgraniczny podziw. Nie? nie piszesz się na Stendhala? – dodał z naiwną wiarą w mój sąd, wyrażającą się uroczym, uśmiechniętym, prawie dziecinnym pytaniem jego zielonych oczu. – Och, tak, widzę, że jesteś mojego zdania. Bloch nie cierpi Stendhala, dla mnie to jest idiotyczne. *Pustelnia*, to jednak jest niesłychane, co? Cieszę się, że jesteś mojego zdania. Co ty najbardziej kochasz w *Pustelni*, powiedz – nacierał z młodzieńczym impetem, przy czym groźna siła fizyczna Roberta dawała coś niemal przerażającego jego pytaniu – Mosca, Fabrycy?

Odpowiedziałem nieśmiało, że Mosca ma coś z pana de Norpois. Na to burza śmiechu młodego Zygryda-Saint-Loup. Nie dokończyłem jeszcze słów: „Ale Mosca jest o wiele

inteligentniejszy, mniejszy pedant”, kiedy już Robert krzyczał brawo, klaszcząc z całych sił w ręce, dusząc się ze śmiechu i wołając: „Kapitałne! Trafione w centrum! Bajeczny jesteś”.

W tej chwili Saint-Loup przerwał mi, bo jeden z młodych wojskowych wskazał na mnie, mówiąc do Roberta: „Duroc. Całkiem Duroc”. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, ale czułem, że wyraz onieśmielonej twarzy był więcej niż życzliwy. Kiedy mówiłem, nawet uznanie innych zdawało się Robertowi czymś zbytecznym, żądał milczenia. I jak dyrygent przerywa muzykantom uderzeniem smyczka z powodu jakiegoś szmeru, tak on zganił przerywającego:

– Gibergue – rzekł – trzeba umieć być cicho, kiedy ktoś mówi. Powiesz później. No, mów dalej – rzekł do mnie.

Odetchnąłem, bo już się bałem, że mi każe wszystko zacząć na nowo.

– Że zaś – ciągnąłem dalej – idea jest rzeczą niemogącą uczestniczyć w ludzkich interesach i niezdolną dzielić ich korzyści, interes nie ma wpływu na ludzi idei.

– Słuchajcie, dzieci, to człowiek dębieje po prostu! – wykrzyknął Saint-Loup, kiedym skończył mówić. Śledził mnie oczami z tą samą niespokojną bacznością, co gdybym szedł po wyciągniętej linii. – Coś ty chciał powiedzieć, Gibergue?

– Powiadałem, że pan mi bardzo przypomina majora Duroc. Miałem wrażenie, że jego słyszę.

– Ależ i mnie to często przychodziło na myśl – odparł Saint-Loup – jest wiele podobieństwa, ale zobaczycie, że on ma tysiąc

rzeczy, których nie ma Duroc.

Tak samo jak brat owego przyjaciela Roberta, uczeń *Schola Cantorum*, miał o wszelkim nowym dziele muzycznym sąd zgoła nie taki jak jego ojciec, matka, kuzyni, koledzy z klubu, ale ściśle taki jak wszyscy inni uczniowie *Schola*, tak samo ów arystokratyczny sierżant (o którym Bloch – kiedy mu o nim mówiłem – powziął niezwykle pojęcie, ponieważ, wzruszony wiadomością, że należy do tego samego stronnictwa co on, wyobrażał go sobie, z powodu jego arystokratycznego pochodzenia oraz religijnego i wojskowego wychowania, możliwie najodmienniejszym, strojnym w ten sam urok co mieszkaniac dalekiego kraju) miał „mentalność” (jak zaczynało się mówić) analogiczną do wszystkich dreyfusistów w ogólności, a Blocha w szczególności; mentalność, na którą nie mogły mieć żadnego wpływu tradycje rodzinne i względy kariery. Podobnie kuzyn Roberta de Saint-Loup ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała – powiadano – wiersze równie piękne jak wiersze Wiktora Hugo lub Alfreda de Vigny, a której mimo to przypisywano umysłowość inną niż to, co można było sobie wyobrazić, duszę księżniczki Wschodu zamkniętej w pałacu z *Tysiąca i jednej nocy*. Pisarze, którzy mieli szczęście zbliżenia się do niej, doznawali zawodu lub raczej radości, stwierdzając, że jej rozmowa daje pojęcie nie Szecherazady, ale istoty pokrewnej duchem Alfredowi de Vigny lub Wiktorowi Hugo⁵.

⁵ ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała (...) wiersze – mowa o sławnej

Lubiłem zwłaszcza rozmawiać z tym młodym człowiekiem, jak zresztą z innymi kolegami Roberta i z samym Robertem, o koszarach, o oficerach pułku, o armii w ogóle. Dzięki tej olbrzymio powiększonej skali, w jakiej widzimy rzeczy bodaj najmniejsze, pośród których jemy, rozmawiamy, wiemy realne życie, dzięki tej straszliwej zwyczajności, jakiej one ulegają i która sprawia, iż nieobecna reszta świata nie może z nimi walczyć i staje się przy nich jak gdyby nikłym snem, zacząłem się interesować rozmaitymi dygnitarzami koszar, oficerami, których widywałem w dziedzińcu, kiedym zachodził do Roberta lub – o ilem się zbudził – kiedy pułk przechodził pod moimi oknami. Byłbym chciał wiedzieć coś więcej o majorze, którego tak podziwiał Saint-Loup i o jego kursie historii wojen, który by mnie zachwycił „nawet estetycznie”. Wiedziałem, że Robert ma skłonność do werbalizmu, który bywał nieco czczy, ale innym razem znamionował proces przyswajania sobie głębokich myśli, które bardzo był zdolny ogarnąć. Na nieszczęście, z punktu widzenia wojskowości, Roberta pochłaniała w tej chwili zwłaszcza sprawa Dreyfusa. Mówił o niej mało, bo on jeden przy tym stole był dreyfusistą; inni byli gwałtownymi przeciwnikami rewizji, wyjąwszy mego sąsiadą przy stole, mego nowego przyjaciela, którego poglądy zdawały się dość niezdecydowane. Gorący entuzjasta swego pułkownika, który

poetce francuskiej, hr. Annie de Noailles (z pochodzenia Rumunce) zaprzyjaźnionej z Proustem. Proust lubi czasem wprowadzać autentyczne osoby w fikcję swego opowiadania. [przypis tłumacza]

uchodził za wybitnego oficera, a który w licznych rozkazach dziennych napiętnował agitację przeciw armii, dzięki czemu uchodził za antydreyfusistę, sąsiad mój dowiedział się o paru jego enuncjacjach, dających do myślenia, że pułkownik ma wątpliwości co do winy Dreyfusa i że zachował szacunek dla Picquarta. Bądź jak bądź, co do tego ostatniego punktu pogłoski o względnym dreyfusizmie pułkownika były nieścisłe, jak wszystkie pogłoski pochodzące nie wiadomo skąd, które się rodzą dokoła wszelkiej takiej „wielkiej sprawy”. Bo wkrótce potem, pułkownik ów, mając poruczone przesłuchanie ex-szefa biura wywiadowczego, potraktował go z bezgraniczną wzdargą i brutalnością. Jak bądź się rzeczy miały i mimo iż niepodobna byłoby zasięgnąć wiadomości u pułkownika wprost, sąsiad mój miał tę uprzejmość, aby powiedzieć Robertowi – tonem, jakim dama katoliczka oznajmia damie żydówce, że jej proboszcz potępia pogromy Żydów w Rosji oraz podziwia szlachetność pewnych Izraelitów – że pułkownik nie jest owym fanatycznym, ciasnym przeciwnikiem dreyfusizmu – pewnego dreyfusizmu przynajmniej – za jakiego go przedstawiano.

– To mnie nie dziwi – rzekł Saint-Loup – bo to jest człowiek inteligentny. Ale, mimo wszystko, przesady rodowe, a zwłaszcza klerykalizm zaślepiają go. Och! – rzekł do mnie – major Duroc, profesor historii wojen, o którym ci mówiłem, oto człowiek, który, zdaje się, całkowicie podziela nasze przekonania. Zresztą, dziwiłbym się, gdyby było inaczej; bo to jest nie tylko wspaniała inteligencja, ale socjalista-radykał i wolnomularz.

Zarówno przez uprzejmość dla jego przyjaciół, którym dreyfusistowskie enuncjacje Roberta były przykre, jak dlatego że inne rzeczy bardziej mnie interesowały, spytałem sąsiada, czy prawdą jest, że ów major zrobił z historii wojen konstrukcję o prawdziwie estetycznym pięknie.

– Absolutna prawda – odparł.

– Ale co pan pod tym rozumie?

– Och, na przykład: wszystko co pan czyta, mam na myśli opowiadanie operacji wojennych: najdrobniejsze fakty, najmniejsze wydarzenia, to są tylko znaki idei, którą trzeba wyłuskać i która często kryje inne, jak w palimpseście. Tak iż całość staje się równie intelektualna jak w jakiegokolwiek innej nauce lub sztuce i daje umysłowi pełne zadowolenie.

– Czy wolno mi prosić o przykład?

– Trudno ci to tak uprzytomnić – przerwał Saint-Loup. – Czytasz na przykład, że taki a taki korpus podjął... Zanim się pójdzie dalej, nazwa korpusu, jego skład, nie są bez znaczenia. Jeżeli operację podjęto nie po raz pierwszy i jeżeli dla tej samej operacji widzimy zjawiający się inny korpus, to może być oznaką, że poprzednie korpusy zostały unicestwione lub mocno uszkodzone rzeczoną operacją, że nie są już w stanie doprowadzić jej do skutku. Otóż trzeba się wywiedzieć, co to był za korpus dziś zniesiony; jeżeli to były wojska szturmowe, zachowane w rezerwie dla potężnych ataków, nowy korpus niższej jakości mało ma szans powodzenia tam, gdzie się tamtym nie udało. Co więcej, jeżeli to nie jest z początkiem

kampanii, ten nowy korpus może być sklecony z kawałków, co może dostarczyć wskazówek co do sił, jakimi rozporządza jeszcze strona wojująca, co do bliskości momentu, w którym te siły będą niższe od sił przeciwnika; wskazówki te znowu dadzą odmienny sens samej operacji, o którą ten korpus ma się pokusić, ponieważ, jeżeli nie jest już w stanie uzupełnić swoich strat, nawet jego sukcesy muszą go doprowadzić – matematycznie – do finalnego unicestwienia. Zresztą, numer oznaczający korpus walczący po przeciwnej stronie ma nie mniejsze znaczenie. Jeżeli na przykład jest to jednostka bojowa o wiele słabsza i która już wchłonęła wiele poważnych jednostek nieprzyjaciela, sama operacja zmienia charakter, bo, choćby się miała skończyć stratą pozycji, którą zajmował obrońca, utrzymanie jej przez jakiś czas może być wielkim sukcesem, o ile przy bardzo małych siłach wystarczyło, aby zniszczyć bardzo poważne siły przeciwnika. Rozumiesz, że jeżeli w analizie zmagających się korpusów można w ten sposób wyczytać doniosłe rzeczy, studium samej pozycji, dróg, kolei żelaznych będących w jej zakresie, aprowizacji, którą ona zabezpiecza, jest jeszcze ważniejsze. Trzeba studiować to, co nazwałbym całym kontekstem geograficznym – dodał śmiejąc się. (I w istocie, Saint-Loup był taki rad z tej nazwy, że później za każdym razem, kiedy jej użył, nawet po upływie miesięcy, śmiał się tak samo). – Jeżeli czytasz, że, podczas gdy jedna ze stron wojujących przygotowuje operację, jakiś jej patrol zniósł w okolicy druga strona wojująca, możesz stąd wyciągnąć wniosek, że jedna strona

starala się zdać sobie sprawę z prac obronnych, jakimi druga zamierzała udaremnić atak. Szczególnie gwałtowna akcja na jakimś punkcie może oznaczać chęć zdobycia go, ale także chęć związania przeciwnika, niestawiania mu czoła tam, gdzie zaatakował lub nawet może być jedynie fintą i pod zdwojoną czynnością ukrywać wycofanie wojsk z tego punktu. (Klasyczna finta wojen napoleońskich). Z drugiej strony, aby zrozumieć znaczenie jakiegoś manewru, jego prawdopodobny cel i tym samym inne ruchy towarzyszące mu lub mające po nim nastąpić, ważne jest śledzić nie tyle to, co zapowiada rozkaz (a co może mieć na celu oszukanie przeciwnika, zamaskowanie możliwej porażki), ile reguły wojskowe danego kraju. Zawsze godzi się przypuszczać, że manewr zamierzony przez daną armię jest właśnie tym, jaki przepisywał w podobnych okolicznościach obowiązujący regulamin. Jeżeli na przykład regulamin zaleca, aby atakowi frontowemu towarzyszył atak z flanki, jeżeli po załamaniu się tego ataku z flanki dowództwo powiada, że on był bez związku z pierwszym i był jedynie dywersją, bardzo prawdopodobnie istoty rzeczy należy szukać w regulaminie, nie zaś w oświadczeniach dowództwa. A istnieją nie tylko regulaminy każdej armii, ale ich tradycje, ich zwyczaje, zasady. Studium równoczesnej akcji dyplomatycznej, jej wpływ na akcję wojenną lub zależność od niej, również zasługuje na baczna uwagę. Incydenty pozornie nieznaczne, w swoim czasie źle zrozumiane, wytłumaczą ci, że nieprzyjaciół (licząc na pomoc, która, wnosząc z tych incydentów, zawiodła) wykonał faktycznie

tylko część swojej strategicznej akcji. Tak iż jeżeli umiesz czytać historię wojen, to co jest mętnym opowiadaniem dla zwykłego czytelnika, dla ciebie jest łańcuchem równie racjonalnym jak obraz dla znawcy, który umie dostrzec, co jakaś osoba ma na sobie, co trzyma w rękach, gdy oszołomiony zwiedzacz muzeum dostaje kręčka w głowie i migreny od gry kolorów. Ale jak przy pewnych obrazach, gdzie nie wystarczy zauważyć, iż osoba jakaś trzyma kielich, ale trzeba wiedzieć, czemu malarz włożył jej w ręce kielich, co tym symbolizuje, tak te operacje wojenne, nawet poza ich bezpośrednim celem, są zazwyczaj w myśli dowodzącego generała skopiowane z dawniejszych bitew, które są, powiedzmy, niby przeszłość, niby biblioteka, erudycja, etymologia, arystokracja nowych bitew. Zauważ, że ja nie mówię w tej chwili o identyczności lokalnej – powiedziałbym przestrzennej – bitew. Ta istnieje również. W ciągu wieków, pole bitwy było lub będzie polem nie tylko jednej bitwy. Jeżeli było polem bitwy, to dlatego, że łączyło pewne warunki topograficzne, nawet wady sposobne do sparaliżowania nieprzyjaciela (na przykład rzeka przecinająca je na dwoje), które uczyniły z niej dobre pole bitwy. Dlatego było nim i będzie. Nie robi się pracowni malarskiej z byle jakiego pokoju, nie robi się pola bitwy z byle jakiej okolicy. Są miejsca predestynowane. Ale jeszcze raz powtarzam, nie o tym mówiłem, ale o typie bitwy, który się naśladuje; o rodzaju strategicznej odbitki, taktycznego pastiszu, jeżeli wolisz; bitwa pod Ulm, pod Lodi, pod Lipskiem, pod Kannami. Nie wiem, czy będą jeszcze

wojny i między jakimi narodami; ale jeżeli będą, bądź pewien, że będą (i to z całą świadomością wodza) Kanny, Austerlitz, Rosbach, Waterloo, nie mówiąc o innych. Niektórzy mówią to wręcz, bez ceremonii. Marszałek von Schieffer i generał von Falkenhausen zawczasu przygotowali przeciw Francji bitwę pod Kannami, w guście Hannibala, z unieruchomieniem przeciwnika na całym froncie i posuwaniem się dwoma skrzydłami, zwłaszcza prawym przez Belgię, gdy Bernhardi woli skośny szyk Fryderyka Wielkiego, raczej Lenthen niż Kanny. Inni wyrażają swoje poglądy mniej jasno, ale ręczę ci, mój stary, że Beauconseil, ten szef szwadronu, któremu cię przedstawiłem kiedyś, oficer z wielką przyszłością, wystudiował swój ataczek spod Pratzen, zna go na wylot, trzyma go w rezerwie i jeżeli kiedy będzie go miał sposobność wykonać, nie spartoli go i pokaże go nam extra-fajn. Atak na centrum spod Rivoli powtórzy się jeszcze, o ile będą wojny. Tak samo się nie zestarzał, jak się nie zestarzała *Iliada*. Dodam, że jesteśmy niemal skazani na ataki czołowe, bo nie chcemy powtórzyć błędu z roku 1870. Ofensywa, tylko ofensywa. Jedynie zacofańcy sprzeciwiają się tej wspaniałej teorii; mimo to niepokoi mnie, że jeden z moich młodszych mistrzów, człowiek wręcz genialny, Mangin, żąda, aby zostawić miejsce – prowizoryczne oczywiście – defensywie. Bardzo mu trudno coś odpowiedzieć, kiedy cytuje jako przykład Austerlitz, gdzie obrona jest jedynie wstępem do ataku i zwycięstwa.

Te teorie Roberta zachwyciły mnie. Budziły we mnie nadzieję, że ja, w tym życiu w Doncières, w stosunku

do wszystkich tych oficerów, o których słuchałem rozmów, popijając Sauternes rzucające na nich swój uroczy refleks, nie padam może ofiarą tego samego „zbliżenia”, które tak mi powiększyło, dopóki byłem w Balbec, króla i królowę Oceanii, kółko czworga smakoszków, młodego gracza, szwagra pana Legrandin, teraz zmalłych w moich oczach wręcz do nieistnienia. To, co mi się podoba dziś, nie stanie mi się może jutro obojętne, jak mi się to zawsze zdarzało dotąd; istota, którą jestem jeszcze w tej chwili, nie jest może skazana na bliskie zniweczenie, skoro, do żarliwej i przelotnej pasji, jaką w ciągu tych kilku wieczorów wkładałem we wszystko, co tyczy życia wojskowego, to, co mi mówił przed chwilą Saint-Loup w przedmiocie strategii, przydawało treść intelektualną, trwałą, zdolną mnie przywiązać na tyle silnie, abym mógł uwierzyć, nie starając się oszukać samego siebie, że, wyjechawszy stąd, będę się nadal interesował pracami swoich przyjaciół z Doncières i że nie omieszkam tu wrócić. Ale, aby się tym bardziej upewnić, że sztuka wojenna jest w istocie sztuką w duchowym znaczeniu słowa, rzekłem do Roberta:

– Interesuje mnie pan, przepraszam, interesujesz mnie bardzo; ale, powiedz, jedno mnie w tym niepokoi. Czuję, że mógłbym się pasjonować do sztuki wojennej, ale trzeba by na to, aby mi się nie wydawała tak odmienna od innych sztuk, aby wyuczona reguła nie była w niej wszystkim. Powiadasz, że się kopiuje bitwy. To mi się wydaje w istocie artystyczne, widzieć, jak powiadasz, pod bitwą nowoczesną inną bitwę dawniejszą; nie

umiem ci powiedzieć, jak mi się ta idea podoba. Ale w takim razie, czy geniusz wodza jest niczym? Czy doprawdy on tylko stosuje reguły? Lub też – przyjąwszy równy zasób wiedzy – czy istnieją wielcy wodzowie jak są wielcy chirurdzy, którzy, przy materialnie równych danych dwóch stanów chorobowych, czują jednak z jakiegoś drobiazgu, może stworzonego ich doświadczeniem, ale zinterpretowanego przez nich, że w danym wypadku zachodzi raczej to, w innym co innego, że w jednym wypadku raczej trzeba operować, w innym zaniechać operacji?

– Ależ oczywiście! Ujrzysz Napoleona, jak nie atakuje, mimo iż wszystkie reguły żądałyby tego, kiedy tajemne przeczucie odradza mu atak. Weź na przykład Austerlitz lub w roku 1806 jego instrukcje dane generałowi Lannes. Ale zobaczysz, jak jakiś generał naśladuje po szkolarsku manewr Napoleona i osiąga wręcz przeciwny rezultat. Jest tego z dziesięć przykładów w roku 1870. Ale nawet dla interpretacji tego, co może zrobić przeciwnik, to co robi jest tylko symptomem, zdolnym oznaczać wiele rozmaitych rzeczy. Każda z tych rzeczy ma równe szanse prawdy, jeżeli się ograniczyć do rozumowania i wiedzy, tak samo jak w pewnych skomplikowanych wypadkach cała wiedza lekarska świata nie wystarczy, aby rozstrzygnąć, czy niewidoczny guz jest natury włóknistej czy nie i czy należy operować. Po prostu węch, jasnowidzenie w rodzaju pani de Thèbes (rozumiesz mnie?), rozstrzygają u wielkiego wodza jak u wielkiego lekarza. I tak, mówiłem ci – aby ci dać jakiś przykład – co może znaczyć rekonesans z początkiem bitwy. Ależ on

może znaczyć dziesięć innych rzeczy! Na przykład wmówić w przeciwnika, że go chcemy atakować na jakimś punkcie, podczas gdy go chcemy atakować na innym; stworzyć zasłonę, która mu nie pozwoli dojrzeć przygotowań do rzeczywistej akcji; zmusić go do skupienia wojsk, do ustalenia ich, do unieruchomienia ich w innej okolicy niż tam, gdzie są potrzebne; zdać sobie sprawę z sił, jakimi rozporządza, zmacać go, zmusić, aby odkrył karty. Czasami nawet fakt, że się angażuje w jakąś akcję ogromne siły, nie jest dowodem, że ta właśnie akcja jest istotna; można ją bowiem wykonać na dobre, mimo że jest tylko fintą, po to aby ta finta miała więcej szans oszukania. Gdybym miał czas opowiedzieć ci z tego punktu wojny Napoleona, upewniano cię, że te proste, klasyczne ruchy które my studiujemy, a które zobaczysz w praktyce w czasie ćwiczeń – spacerkiem, spacerkiem, ty świnko; nie, ja wiem, że ty jesteś chory, przepraszam cię! – otóż, w czasie wojny, kiedy się czuje poza tym wszystkim czujność, myśl i głębokie kalkulacje sztabu, człowiek jest wzruszony wobec tych obrotów jak wobec prostego światła latarni morskiej, światła przenikającego przestrzeń, aby ostrzec okręty przed niebezpieczeństwem. Źle może robię, że ci mówię o wojnie jedynie literacko. W rzeczywistości, jak właściwości gruntu, kierunek wiatru i światła wskazują, w którą stronę będzie rośło drzewo, tak samo warunki, w jakich się odbywa kampania, właściwości okolicy, gdzie się operuje, narzucają poniekąd i ograniczają plany, między którymi wódz może wybierać. Tak iż u stóp gór, w układzie dolin, na

danej równinie, możesz przepowiedzieć ruchy wojsk niemal z nieuchronnością i wspaniałym pięknem lawiny.

– Odrzucasz teraz wolny wybór u wodza, intuicję u przeciwnika starającego się przeniknąć jego plany, wszystko, coś mi przyznawał przed chwilą?

– Ależ bynajmniej! Przypominasz sobie to filozoficzne dzieło, które czytaliśmy razem w Balbec: bogactwo świata możliwości w stosunku do świata rzeczywistego. Otóż tak samo jest w sztuce wojennej. W danej sytuacji nastreczą się na przykład cztery plany, między którymi wódz mógł wybierać, tak jak choroba może mieć rozmaite ewentualności, na które lekarz musi być przygotowany. I tu jeszcze słabość i wielkość ludzka stają się nowym źródłem niepewności. Bo przypuśćmy, że wśród tych czterech planów przypadkowe racje (jako to: uboczne cele do osiągnięcia albo konieczność pośpiechu, albo braki aprowizacji) kazały wodzowi wybrać plan pierwszy, mniej doskonały, ale w wykonaniu mniej kosztowny, szybszy i mający za teren okolicę sposobniejszą do wyżywienia armii. Może, zaczawszy od tego pierwszego planu (który nieprzyjaciół, zrazu niepewny, odcyfruje niebawem) nie móc go wykonać z powodu zbyt wielkich przeszkód (ja to nazywam: ryzyko zrodzone ze słabości ludzkiej); wówczas może go porzucić i próbować drugiego albo trzeciego, albo czwartego. Ale może się także zdarzyć, że próbował pierwszego – i oto co nazywam wielkością ludzką – jedynie przez fintę, aby związać przeciwnika i zaskoczyć go tam, gdzie się wróg nie spodziewał ataku. W ten sposób

pod Ulm, Mack, który oczekiwał nieprzyjaciela od zachodu, został otoczony od północy, gdzie się czuł bardzo bezpieczny. Mój przykład nie jest zresztą bardzo dobry. A Ulm jest raczej typem bitwy przez otoczenie, który powtórzy się w przyszłości. Jest nie tylko klasycznym przykładem, który generałowie będą naśladowali, ale formą poniekąd konieczną (konieczną między innymi, co pozostawia wybór, różnaitość) jako typ krystalizacji. Ale wszystko to nie znaczy nic, bo rama jest bądź co bądź sztuczna. Wracam do naszego filozoficznego dzieła; to jest tak, jak zasady racjonalne albo prawa naukowe; rzeczywistość pokrywa się z tym mniej więcej, ale przypomnij sobie wielkiego matematyka Poincarego: on nie jest pewny, czy matematyka jest ściśle dokładna. Co się tyczy samych reguł, o których ci mówiłem, mają one ostatecznie drugorzędne znaczenie; zresztą zmienia się je od czasu do czasu. I tak na przykład, my, konnica żyjemy *Śłużbą w polu* z roku 1895, o której można powiedzieć że jest przestarzała, skoro opiera się na starej i zużytej teorii, uważającej, iż walka kawalerii ma wyłącznie prawie działanie moralne, siłą przestachu, jaki atak budzi w nieprzyjacielu. Otóż najinteligentniejsi z naszych nauczycieli (co tylko może być najlepszego w kawalerii, a zwłaszcza ów major, o którym ci mówiłem), sądzą przeciwnie, że rozstrzygać będzie szczerą bitwa, gdzie będzie się machało szablą i lancą i gdzie najteższy będzie zwycięzcą nie tylko moralnie i siłą przestachu, ale fizycznie.

– Saint-Loup ma słuszość; prawdopodobne jest, że najbliższa

Służba w polu będzie nosiła ślady tej ewolucji – rzekł mój sąsiad.

– Cieszę się z twojej aprobaty, bo twój sąd robi najwidoczniej na moim przyjacielu większe wrażenie od mojego – rzekł śmiejąc się Saint-Loup, czy że rodząca się sympatia między jego kolegą a mną drażniła go trochę, czy że rad był przez grzeczność uświęcić ją, stwierdzając ją tak oficjalnie. – A potem, może ja zmniejszyłem ważność regulaminów. Zmienia się je niewątpliwie. Ale na razie one kształtują sytuację wojenną, plany bitwy i koncentracji. Jeżeli odbijają fałszywą koncepcję strategiczną, mogą być pierwszym źródłem klęski. Wszystko to jest dla ciebie trochę zbyt techniczne. W gruncie, powiedz sobie, że ewolucję sztuki wojennej najbardziej przyspieszają same wojny. W czasie kampanii (jeżeli trwa dość długo), widzimy, jak jedna strona korzysta z lekcji, jakie jej dają sukcesy i błędy przeciwnika, jak udoskonala metody tego przeciwnika, który znowuż stara się iść dalej. Ale to jest przeszłość. Przy straszliwych postępach artylerii, przyszłe wojny – o ile będą jeszcze wojny – będą tak krótkie, że nim się zdoła pomyśleć o tym, aby skorzystać z nauki, już będzie pokój.

– Nie bądź taki podejrzliwy – rzekłem do Roberta, odpowiadając na jego wycieczkę sprzed tych ostatnich słów. – Słuchałem cię dosyć żarliwie!

– Jeżeli zechcesz się nie dąsać i pozwolisz mi mówić – podjął przyjaciel Roberta – do tego, co powiedziałaś, dodam, że jeżeli bitwy powtarzają się i piętrzą na sobie, to nie tylko z racji umysłowości wodza. Może się zdarzyć, że błąd wodza

(na przykład niedocenywanie siły przeciwnika) przywiedzie go do żądania od swoich wojsk nadmiernych poświęceń; poświęceń, które pewne jednostki bojowe spełnią z zaparciem się siebie tak wzniosłym, że ich rola zrówna się z rolą innej danej jednostki w innej bitwie i obie będzie się cytowało w dziejach jako równoważne przykłady: aby się trzymać roku 1870, gwardia pruska pod Saint-Privat, turkosi pod Froschwiller i pod Wissemburg.

– A, równoważne, bardzo ściśle! wybornie, ty jesteś inteligentny – rzekł Saint-Loup.

Nie byłem obojętny na te ostatnie przykłady, jak za każdym razem, kiedy pod szczegółem wskazywano mi ogólne prawo. Ale najbardziej interesował mnie geniusz wodza. Byłbym chciał sobie zdać sprawę, na czym on polega; w jaki sposób, w danej okoliczności, gdzie wódz bez talentu nie mógłby się oprzeć przeciwnikowi, wziąłby się do rzeczy wódz genialny, aby ocalić zagrożoną bitwę, co – jak mówił Saint-Loup – było bardzo możebne i czego dokonał Napoleon wiele razy. I aby zrozumieć, co to jest talent wojskowy, prosiłem o porównania między znanymi mi z nazwisk generałami; który z nich najbardziej ma naturę wodza, talenty taktyka. Zanudzałem swoich nowych przyjaciół; ale nie okazywali tego i odpowiadali mi z niestrudzoną dobrocią.

Czułem się oddzielony nie tylko od wielkiej mroźnej nocy, rozpościerającej się w dal, w której słyszeliśmy od czasu do czasu gwizd pociągu, wzmacniający jeszcze przyjemność, że

jestem tutaj, lub bicie godziny, jeszcze na szczęście oddalonej od pory, kiedy młodzi ludzie będą musieli przypasać szable i wracać; czułem się także odcięty od wszystkich zewnętrznych zainteresowań, niemal od wspomnienia pani de Guermantes, a to dzięki dobroci Roberta, której to dobroci serdeczność jego przyjaciół przydawała jak gdyby konsystencji; a także dzięki ciepłu tej małej jadalni, dzięki smakowitości wybornych rzeczy, którymi nas raczono. Dawały tyleż przyjemności mojej wyobraźni, co memu podniebieniu; czasami kawałeczek natury, z której je wyrwano – chropawa kropielnica ostrygi, gdzie zostało parę kropel słonej wody, lub też węzłasta gałązka, pożółkły liść winnego grona – otaczał je jeszcze, niejadalny, poetyczny i odległy niby krajobraz, nasuwając na przemian w ciągu obiadu obraz przejażdżki morskiej lub sjesty pod krzakiem wina. Innym razem jedynie kucharz podkreślał tę oryginalną swoistość potraw, podając je w ich naturalnej ramie niby dzieło sztuki: rybę w krótkim sosie przynoszono na długim glinianym półmisku, gdzie odcinając się na posłaniu niebieskich traw, nienaruszona, ale skrzycona jeszcze od tego, że ją rzucono żywą do wrzącej wody, otoczona kręgiem muszel, orszakiem satelitów, krabów, krewetek i mulek, robiła wrażenie kompozycji w glinie Bernarda Palissy.

– Jestem zazdrosny, jestem wściekły – mówił do mnie Saint-Loup, wpół śmiejąc się, wpół poważnie, z aluzją do rozmówek, jakie wiodłem bez końca na stronie z jego przyjacielem. – Czy on ci się wydaje inteligentniejszy ode mnie, czy go wolisz ode

mnie? Więc co, teraz dla mnie już nic, wszystko dla niego?

(Mężczyźni, którzy namiętnie kochają kobiety, którzy żyją w towarzystwie kobieciarzy, pozwalają sobie na żarty, na które nie odważyliby się inni, widzący rzeczy mniej niewinnie.)

Z chwilą gdy rozmowa stała się powszechna, unikano wzmianki o Dreyfusie z obawy urażenia Roberta. Jednakże w tydzień później, dwaj jego koledzy zauważyli, że to jest bardzo osobliwe, aby on, żyjąc w środowisku tak wojskowym, był takim dreyfusistą, prawie antymilitarystą. „Bo – rzekłem, nie chcąc wchodzić w te szczegóły – otoczenie nie ma tego wpływu, jaki mu się przypisuje...”. Z pewnością chciałem poprzestać na tym i nie wszczynać refleksji, jakimi podzieliłem się z Robertem kilka dni wprzód. Mimo to, ponieważ właśnie te słowa powiedziałem mu swego czasu prawie dosłownie, chciałem się usprawiedliwić, dodając: „Właśnie mówiłem kiedyś...”. Ale nie wziąłem w rachubę odwrotnej strony, jaką miał pełen wdzięku podziw Roberta dla mnie i dla paru innych. Podziwowi temu towarzyszyło tak całkowite wchłonięcie ich myśli, iż po upływie czterdziestu ośmiu godzin Saint-Loup zapominał, że te myśli nie pochodziły od niego. Toteż Saint-Loup, zupełnie tak jakby to było od wieków jego zdanie i jak gdybym ja tylko przychodził mu w sukurs, uważał za stosowne pozdrowić mnie niejako radośnie w tym charakterze i poprzeć mnie.

– Ależ tak! Środowisko nie ma znaczenia.

I powtórzył z siłą, jak gdyby się obawiał że mu przerwę lub że go nie zrozumie:

– Prawdziwy wpływ, to wpływ sfery intelektualnej! Każdy jest człowiekiem swojej idei.

Z uśmiechem człowieka, który dobrze podjadł, przerwał na chwilę, wypuścił monokl i wpił we mnie swoje spojrzenie jak szrubę.

– Wszyscy ludzie jednej idei są podobni do siebie – rzekł, jak gdyby rzucając wyzwanie. Nie pamiętał z pewnością ani trochę, że ja mu powiedziałem przed paru dniami to, co w zamian zapamiętał tak dobrze.

Nie co wieczór zjawiałem się w tej jadłodajni w jednakim usposobieniu. Jeżeli jakieś wspomnienie, jakaś zgryzota, zdolne są nas opuścić do tego stopnia, że ich już nie spostrzegamy, zdarza się również, że wracają i czasem długo nas nie porzucają. Bywały wieczory, kiedy idąc miastem, aby się udać do restauracji, tak tęskniłem do pani de Guermantes, że ledwie mogłem oddychać; można by rzec, że biegły anatom wyciął i usunął część mojej piersi, zastępując ją odpowiednią partią niematerialnego cierpienia, ekwiwalentem tęsknoty i miłości. I mimo że starannie zeszyto ranę, dość trudno jest żyć, kiedy żal za daną istotą wstawiono zamiast trzewi; sprawia on uczucie, że zajmuje więcej miejsca od nich, czujemy go ustawicznie; a przy tym, cóż za dziwna rzecz musieć *myśleć* część swojego ciała! Jedynie mamy wówczas uczucie, żeśmy urosli co do wartości. Za lada podmuchem wiatru wzdychamy pod wpływem ucisku serca, ale i tęsknoty. Patrzyłem w niebo. Kiedy było jasne, powiadałem sobie: „Może ona jest na wsi, patrzy na te same gwiazdy”.

Kto wie, gdy wejdę do jadalni, Robert powie mi może: „Dobra nowina, ciotka pisała do mnie, chciałaby cię poznać, przyjedzie tutaj”.

Nie w samym firmamencie lokowałem myśl o pani de Guermantes. Nieco łagodniejszy podmuch zdawał się mi przynosić poselstwo od niej, jak niegdyś od Gilberty w zbożach Mèsèglise. Człowiek nie zmienia się; w uczucie odnoszące się do jakiejś istoty wprowadza wiele drzemiających składników, które ta osoba budzi, ale które są jej obce. A przy tym zawsze się coś w nas sili sprowadzić te poszczególne uczucia do wyższej prawdy, to znaczy połączyć je z jakimś uczuciem ogólniejszym, wspólnym całej ludzkości; dane osoby oraz zgryzoty, jakie nam one sprawiają, są dla nas jedynie środkiem do zespolenia się z tą ludzkością, świadomość, że moja zgryzota jest częstką powszechnej miłości, zaprawiała ją niejaką słodyczą. Miałem wrażenie, że w cierpieniu, jakiegom doznał, poznaję smutki przeżyte niegdyś z powodu Gilberty lub wieczorem w Combray, kiedy mama nie została w moim pokoju, a także wspomnienie pewnych stronic Bergotte’a. Pani de Guermantes, jej chłód, jej nieobecność, wszystko to nie wiązało się z tym cierpieniem tak jasno, jak w mózgu uczonego przyczyna wiąże się ze skutkiem; mimo to nie wyciągałem stąd wniosku, aby pani de Guermantes nie była tą przyczyną. Czyż nie istnieje ból fizyczny rozlany, promieniujący w partię odległą od chorej części, ale opuszczający je, aby się całkowicie rozprószyć, kiedy lekarz dotknie właściwego punktu kryjącego źródło

bólu? A przedtem rozległość tego bólu dawała mu coś tak nieokreślonego i groźnego, że nie umiając go wytłumaczyć, a nawet umiejscowić, uważaliśmy go za nieuleczalny.

Idąc do restauracji, powtarzałem sobie: „Już dwa tygodnie nie widziałem pani de Guermantes”. Dwa tygodnie, to się zdawało czymś ogromnym jedynie mnie; kiedy szło o panią de Guermantes, liczyłem czas na minuty. Nie tylko gwiazdy i wiatr, ale nawet podział czasu przybierał dla mnie coś bolesnego i poetycznego. Każdy dzień był obecnie niby ruchomy grzebień mglistego pagórka; z jednej strony czułem, że mogę zstąpić ku zapomnieniu, z drugiej rwała mnie potrzeba ujżenia znów księżnej. I, pozbawiony stałej równowagi, czułem się bliżej to jednego, to drugiego. Pewnego dnia, powiedziałem sobie: „Będzie może list dziś wieczór”; i przyszedłszy na obiad, miałem odwagę spytać Roberta:

- Czy nie masz przypadkiem wiadomości z Paryża?
- Owszem – odpowiedział posępnie – fatalne.

Odetchnąłem, że to tylko on ma zgryzotę i że wiadomości są od jego kochanki. Ale spostrzegłem rychło, iż jednym z ich następstw będzie to, że przez długi czas Robert nie będzie mógł mnie wprowadzić do pani de Guermantes.

Dowiedziałem się, że wybuchła sprzeczka między nim a jego kochanką, czy to listownie, czy może ona przyjechała któregoś dnia zobaczyć się z nim od pociągu do pociągu. A sprzeczki, nawet mniej poważne, jakie miewali z sobą dotąd, zdawały się zawsze czymś nie do naprawienia. Bo ona wpadała we

wściekłość, tupąła, płakała z niezrozumiałych przyczyn, jak dzieci, które zamykają się w ciemnej komórcie, nie przychodzą na obiad, odmawiając wszelkich wyjaśnień, szlochając jedynie tym gwałtowniej, kiedy, wyczerpawszy argumenty, przechodzi się do klapsów. Saint-Loup cierpiał straszliwie z powodu tej zwady, ale to określenie jest zbyt proste i fałszuje pojęcie tej męki. Kiedy się znalazł sam, z myślą o kochance, która, widząc go tak stanowczym, odjechała przejęta dłań szacunkiem, wzruszenia pierwszych chwil skończyły się wobec nieodwołalnego faktu; ulga zaś po takim szarpaniu się jest czymś tak słodkim, że zdecydowane zerwanie nabrało dłań coś z tego uroku, jaki miałoby pogodzenie się. Późniejsze jego cierpienie było czymś wtórnym; fala tego bólu szła bez ustanku z niego samego, na myśl, że ona może chciałaby się pojednać, że – kto wie – może czeka tylko słówka od niego; że tymczasem, aby się zemścić, robi tego a tego wieczora, w takim a takim miejscu, taką a taką rzecz, i że wystarczyłoby mu zadepeszować do niej, że przyjeżdża, aby ta rzecz się nie stała; że inni korzystają może z czasu, który on marnuje i że za kilka dni będzie za późno odzyskać ją, bo już będzie zajęta. O wszystkich tych możliwościach nie wiedział nic; kochanka zachowywała milczenie, które przywiodło go w końcu do szaleństwa; w męce swojej gotów był wierzyć, że ona jest ukryta w Doncières lub że wyjechała do Indii.

Powiedziano, że milczenie jest siłą; w istocie, w całkiem innym znaczeniu jest ono straszną siłą w ręku osoby, która

się czuje kochaną. Wzmaga ono ucisk serca tego, który czeka. Nic tak nie skłania do zbliżenia się do jakiejś istoty, jak to, co od niej dzieli, a cóż może być bardziej nieprzebytą zaporą niż milczenie? Powiedziano też, że milczenie jest męką, zdolną przywieść do szaleństwa ludzi skazanych na nie w więzieniach. Ale cóż za męka większa niż milczeć samemu – znosić milczenie osoby, którą się kocha! Robert powiadał sobie: „Co ona robi, że tak milczy? Z pewnością zdradza mnie z innymi”. Powiadał sobie także: „Cóż ja takiego zrobiłem, żeby tak milczała? Może mnie znienawidziła, i to na zawsze”. I obwiniął sam siebie. Tak więc, milczenie doprowadzało go w istocie do szaleństwa, przez zazdrość i przez wyrzuty. Zresztą milczenie takie, okrutniejsze od więzienia, samo jest więzieniem. Ściana niematerialna wprawdzie ale nieprzenikniona; próżnia, której nie może przebyć wzrok opuszczonego. Czyż istnieje straszliwsze światło niż milczenie, które ukazuje nam nie jedną nieobecną kochankę, ale tysiąc, a każdą dopuszczającą się jakiejś innej zdrady. Czasem, przez nagłą reakcję, Robert myślał już, że to milczenie przerwie się nagle, że nadejdzie oczekiwany list. Widział, jak ten list nadchodzi, nadśluchiwał każdego szelestu, już niemal uspokojony szeptał: „List! List!”. I nasyciwszy oczy urojoną oazą tkliwości, odnajdywał się w istnej pustyni milczenia bez kresu.

Cierpiał z góry wszystkie męki zerwania, nie zapominając ani jednej, to znów myślał, że można by tego zerwania uniknąć. Był jak ludzie, którzy regulują wszystkie sprawy pod

kątem prawdopodobnej ekspatriacji i których myśl, nie wiedząc, gdzie jej przyjdzie ustalić się jutro, miota się oderwana od nich samych, niby owo serce, wydarte choremu, które bije dalej oddzielone od reszty ciała. W każdym razie nadzieja, że kochanka wróci, pomagała mu wytrwać w zerwaniu, jak wiara, że zdoła wrócić żywy z pola walki, pomaga żołnierzowi narażać się na śmierć. A że, ze wszystkich roślin ludzkich, przyzwyczajenie jest tą, która potrzebuje najmniej ziemi, aby żyć, która zjawia się pierwsza na najbardziej jałowej skale, Robert, grając zrazu komedię zerwania, byłby się z nim może w końcu szczerze oswoił. Ale niepewność podtrzymywała w nim stan, który, połączony ze wspomnieniem tej kobiety, podobny był do miłości.

Saint-Loup zmuszał się wszelako, aby do niej nie pisać, myśląc może, że mniej okrutne jest żyć bez ukochanej niż żyć z nią w pewnych warunkach; lub że, po sposobie w jaki się rozstali, należy mu koniecznie czekać jej przeprosin, iżby zachowała dlań jeżeli nie miłość, to bodaj szacunek i poważanie. Ograniczał się do telefonowania (właśnie założono telefon w Doncières) i do pytania o nowiny lub dawania zleceń pokojówce, którą umieścił u swojej kochanki. Połączenia te były zresztą skomplikowane i zabierały mu dużo czasu, ponieważ, posłuszna opiniom swoich przyjaciół intelektualistów zohydzających szpetotę stolicy, a bardziej jeszcze przez wzgląd na swoje zwierzęta, psy, małpę, kanarki i papugę, których nieustannych hałasów gospodarz domu nie chciał

znosić, kochanka Roberta wynajęła domek w pobliżu Wersalu. Tymczasem on w Doncières nie spał już w nocy ani chwili. Raz u mnie, zmożony, zdrzemnął się nieco. Ale nagle zaczął mówić przez sen, chciał gdzieś pędzić, przeszkodzić czemuś; wołał: „Ja rozumiem, ty nie... ty nie...”. Obudził się. Powiadał, iż mu się śniło, że był na wsi u kwatermistrza. Ten starał się go nie dopuścić do pewnej części domu. Saint-Loup odgadł, że u kwatermistrza bawi bardzo bogaty i bardzo rozpustny porucznik, o którym wiedział, że się pali do jego kochanki. I naraz we śnie usłyszał wyraźnie przerywane i regularne krzyki, jakie jego kochanka zwykła była wydawać w momentach rozkoszy. Chciał zmusić kwatermistrza, aby go zaprowadził do pokoju; ów przytrzymał go, aby mu nie dać wejść, robiąc minę zgorszoną taką niedyskrecją: Robert mówił, że nigdy nie zdoła zapomnieć tej miny.

– Idiotyczny sen – powiadał jeszcze zdyszany.

Ale widziałem, że w ciągu najbliższej godziny, kilka razy omal już nie telefonował do kochanki z propozycją pojednania. Ojciec mój miał od niedawna telefon, ale nie wiem, czy by się to na wiele zdało Robertowi. Zresztą nie wydawało mi się właściwe, aby rodzice – lub choćby aparat znajdujący się w ich domu – mieli grać rolę pośrednika między Robertem a jego kochanką, choćby najbardziej dystygowaną i szlachetną. Koszmar snu zatarł się stopniowo w jego umyśle. Z nieprzytomnym i upartym wzrokiem odwiedzał mnie przez wszystkie te okrutne dni, których kolejność wykreśliła mi niby

wspaniały łuk jakiejś wykutej w twardym materiale poręczy, przy której Robert zadawał sobie pytanie, co za decyzję poweźmie jego przyjaciółka.

W końcu zapytała go, czy zechce jej przebaczyć. Skoro tylko zrozumiał, że nie grozi już zerwanie, ujrzał wszystkie ujemne strony ponownego zbliżenia. Zresztą cierpiał już mniej, niemal pogodził się już z bólem, którego rany trzeba by może za kilka miesięcy odnowić, o ile by się stosunek nawiązał na nowo. Saint-Loup nie wahał się długo. I może wahał się tylko dlatego, że był wreszcie pewny, iż może odzyskać swoją kochankę; może – zatem uczyni to. Prosiła go jedynie, aby mogła nie wracać do Paryża na Nowy Rok, chciała odzyskać spokój. Otóż on nie miał siły jechać do Paryża bez widzenia jej. Z drugiej strony, ona godziła się wyjechać z nim w podróż, ale na to trzeba mu było prawdziwego urlopu, którego kapitan de Borodino nie chciał mu dać.

– Martwi mnie to z powodu naszej wizyty u ciotki Oriany; w ten sposób wszystko się odwleka. Ale będę z pewnością w Paryżu na Wielkanoc.

– Wtedy nie będziemy mogli iść do pani de Guermantes, bo będę już w Balbec. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

– W Balbec? Ależ w tym roku byłeś tam dopiero w sierpniu.

– Tak, ale obecnie z powodu mego zdrowia mają mnie wysłać wcześniej.

Robert najbardziej się bał, abym nie sądził źle jego kochanki, po tym co mi opowiadał. „Jest gwałtowna tylko dlatego, że

jest zbyt szczerą, zbyt bezpośrednią w swoich uczuciach. Ale to cudna istota! Nie możesz sobie wyobrazić, ile w niej subtelności, poezji. Co roku spędza dzień zaduszny w Bruges. To ma styl, prawda? Jeżeli ją kiedy poznasz, zobaczysz, wspaniała jest...”. Że zaś niaśkił pewnym językiem, jakim mówiono w otoczeniu tej kobiety w kołach literackich, dodał: „Ma coś syderalnego, a nawet watycznego, rozumiesz co przez to chcę powiedzieć; poeta, który był prawie kapłanem”.

Szukałem przez cały obiad pretekstu, który by pozwolił Robertowi poprosić ciotki, aby mnie przyjęła, nie czekając jego bytności w Paryżu. Otóż pretekstu tego dostarczyło mi pragnienie ujrzenia obrazów Elstira, wielkiego malarza, którego obaj z Robertem poznaliśmy w Balbec. Pretekst, w którym było zresztą coś prawdy; o ile bowiem w swoich wizytach w pracowni Elstira szukałem w jego malarstwie tego, aby mnie przywiodło do zrozumienia i miłości rzeczy lepszych od samego jego malarstwa – prawdziwej odwilży, autentycznego prowincjonalnego rynku, żywych kobiet na plaży (co najwyżej byłbym u niego zamówił portret realności, których nie umiałem zgłębić, jak np. szpaleru głogów, nie aby mi utrwalił ich piękność, ale aby mi ją odkrył), tak teraz przeciwnie chęć moją podsycaly oryginalność i urok tych obrazów, i ponad wszystko pragnąłem ujrzeć inne płótna Elstira.

Miałem zresztą uczucie, że najbliższe jego obrazy są czymś innym niż arcydzieła nawet większych malarzy. Dzieło jego było niby zamknięte królestwo o nieprzebytych granicach,

niepodobne do żadnego innego. Chciwie gromadząc nieliczne wydawnictwa, w których znajdowały się studia o Elstirze, dowiedziałem się z nich, że on dopiero niedawno zaczął malować pejzaże i martwe natury, zaczął zaś od obrazów mitologicznych (widziałem fotografie dwóch takich obrazów w jego pracowni), a potem długo był pod wpływem sztuki japońskiej.

Niektóre prace Elstira, najznamienniejsze dla jego rozmaitych faz malarskich, znajdowały się na prowincji. Pewien dom w Les Andelys, gdzie był jeden z najpiękniejszych jego pejzażów, wydawał mi się równie szacowny, budził we mnie równie żywe pragnienie podróży, jak wioska w okolicy Chartres, gdzie w prosty kamień wprawiony jest wspaniały witraż; do tego posiadacza arcydzieła, do tego człowieka, który w swoim prostym domostwie w miasteczku, zamknięty jak astrolog, bada jedno z owych zwierciadeł świata, jakim jest obraz Elstira, kupiony może przezeń za kilka tysięcy franków, czułem poryw owej sympatii, jaka łączy wręcz serca, nawet charaktery tych, co jednakowo myślą w jakimś zasadniczym przedmiocie. Otóż, trzy dzieła mego ukochanego malarza odnotowano w jednym z wydawnictw jako znajdujące się u pani de Guermantes. Zatem w rezultacie szczerze, w dniu kiedy mi Saint-Loup oznajmił wyjazd kochanki do Bruges, mogłem przy obiedzie w obecności jego przyjaciół rzucić mu niby to niespodzianie:

– Słuchaj, Robercie. Ostatnia rozmowa w przedmiocie damy, którą znasz. Przypominasz sobie malarza Elstira, którego poznałem w Balbec.

- Ale jakże, oczywiście.
- Przypominasz sobie moją admirację dla niego.
- Wybornie, i list któryśmy mu posłali.
- Otóż, jedną z najważniejszych przyczyn, dodatkową racją dla której pragnąłbym poznać pomienioną damę, wiesz wciąż którą...
- Ależ tak! Ileż tych nawiasów!
- Jest to, że ona ma u siebie co najmniej jeden bardzo piękny obraz Elstira.
- A, nie wiedziałem.
- Elstir będzie z pewnością na Wielkanoc w Balbec; wiesz, że on spędza teraz prawie cały rok na tym wybrzeżu. Bardzo bym pragnął widzieć ten obraz przed wyjazdem do Balbec. Nie wiem, czy ty jesteś w dość bliskich stosunkach ze swoją ciotką, czy nie mógłbyś – zachwalając mnie jej na tyle zrećźnie, aby nie odmówiła – poprosić, żeby mi pozwoliła zobaczyć obraz bez ciebie, skoro ciebie nie będzie w Paryżu.
- Zrobione, odpowiadam za nią, biorę to na siebie.
- Robercie, ubóstwiam cię.
- Mam nadzieję, że to nie pański wyjazd jest przedmiotem tego spisku – rzekł jeden z przyjaciół Roberta. – Pan wie, jeżeli Saint-Loup dostanie urlop, nic się nie powinno zmienić, my jesteśmy tutaj. To będzie może dla pana mniej zabawne, ale dołożymy z naszej strony wszelkiego trudu, aby panu dać zapomnieć o nieobecności Roberta.

W istocie, w chwili gdy się zdawało że przyjaciółka Roberta

sama pojedzie do Bruges, dowiedzieliśmy się, że kapitan de Borodino (dotąd przeciwny temu) udzielił sierżantowi Saint-Loup dłuższego urlopu do Bruges. Oto co zaszło. Książę de Borodino, bardzo dumny ze swojej bujnej czupryny, był wiernym klientem najznakomitszego fryzjera w mieście, niegdyś pracownika u dawnego fryzjera Napoleona III. Kapitan de Borodino był w wybornych stosunkach z tym fryzjerem, bo, mimo swoich tajemniczych manier, był prosty z prostymi ludźmi. Ale fryzjer, u którego książę miał co najmniej od pięciu lat zaległy rachunek wciąż rosnący od flakonów wody portugalskiej, *Eau des Souverains*, żelazek, brzytw, pasków zarówno jak od szamponów, strzyżeń etc., o wiele wyżej cenił Roberta, który płacił gotówką, miał kilka powozów i koni wierzchowych. Dowiedziawszy się o zmartwieniu Roberta z powodu, iż nie może towarzyszyć kochance, fryzjer przemówił za nim gorąco do księcia spowitego w białe gźło w chwili, gdy balwierz trzymał jego przegiętą głowę z brzytwą na gardle. Opowieść o sercowych przygodach młodego sierżanta wyrwała kapitanowi-księciu uśmiech napoleońskiej pobłażliwości. Mało prawdopodobne jest, aby książę pomyślał o swoim niezapłaconym rachunku; ale polecenie fryzjera wprowadziło go w dobry humor w tym samym stopniu, w jakim rekomendacja jakiegoś diuka wprowadziłaby go w zły. Jeszcze miał pełno mydła na brodzie, a już urlop był rzeczą załatwioną, podpisaną tego samego wieczora. Co się tyczy fryzjera, który miał zwyczaj chwalić się bez ustanku (aby to sobie

ułatwić, przypisywał sobie, z nadzwyczajnym talentem kłamcy, przewagi całkowicie zmyśłone), ten, oddawszy faktyczną usługę Robertowi, nie tylko się nią nie chełpił, ale nigdy nie wspomniał mu o tym. Można by mniemać, że próżność potrzebuje kłamać, kiedy zaś nie ma powodu tego czynić, ustępuje miejsca skromności.

Wszyscy powtarzali mi, że ilekolwiek czasu zostałbym w Doncières lub kiedykolwiek bym tam wrócił, jeżeli Roberta nie będzie, ich powozy, konie, domy, ich czas, wszystko będzie do mojej dyspozycji. I czułem, że ci młodzi ludzie ze szczerego serca oddają swój zbytek, swoją młodość, energię na usługi mojej słabości.

– Czemu zresztą – mówili koledzy Roberta, nalegając, abym został – nie miałby pan wrócić tu co rok? Widzi pan, że to ciche życie podoba się panu! A nawet interesuje się pan wszystkim, co się dzieje w pułku, jak stary zupak.

Bo wciąż dopytywałem się ich chciwie o klasyfikację rozmaitych znanych mi z nazwiska wojskowych, wedle mniejszego lub większego podziwu, na jaki ich zdaniem zasługują, jak niegdyś w szkole z kolegami w stosunku do aktorów Komedii Francuskiej. Jeżeli, w miejsce któregoś z generałów, zawsze wymienianego przed innymi – jakiegoś Galliffet lub Négrier – któryś z przyjaciół Roberta rzekł: „Ależ Négrier, to jeden z najmienniejszych” i rzucał nowe nazwisko, nietknięte i smaczne, jak Pau lub Geslin de Bourgogne, odczuwałem to samo niespodziane szczęście, jak niegdyś, kiedy

wyczerpane nazwiska Thirona lub Febvre zgasły wobec nagłego rozkwitu nieużytego nazwiska *Amaury*. „Teższy od samego Négrier? Ale w czym, niech mi pan da przykład”. Pragnąłem, aby istniały głębokie różnice nawet między niższymi oficerami pułku, w racjach tych różnic spodziewając się pochwycić istotę wojskowego talentu. Oficerem, którego reputacja szczególnie mnie interesowała, był książę de Borodino, bom go widywał najczęściej. Ale zarówno Saint-Loup, jak jego przyjaciele, o ile oddawali sprawiedliwość pięknemu kapitanowi, któremu szwadron jego zawdzięczał niezrównaną *formę*, nie lubili go jako człowieka. Nie mówili o nim co prawda tym samym tonem, co o pewnych oficerach wyrosłych z prostego żołnierza, masonach, co nie żyli z innymi i zachowywali przy nich sztywne miny adiutantów; ale nie mieścili też pana de Borodino w liczbie innych oficerów-szlachciców, od których, prawdę mówiąc, nawet w stosunku do Roberta bardzo się różnił wzięciem. Ci korzystali z tego, że Saint-Loup jest tylko podoficerem i że jego potężna rodzina może się czuć szczęśliwa, iż jego przełożeni, którymi by może inaczej gardziła, przyjmują go u siebie; nie tracili też żadnej okazji zaproszenia Roberta, kiedy się im zdarzyło gościć jaką grubą rybę, mogącą zdać się na coś młodemu sierżantowi. Jeden kapitan de Borodino utrzymywał z Robertem stosunki wyłącznie służbowe, zresztą wyborne. Dziadek kapitana był marszałkiem Francji oraz księciem i parem z łaski cesarza, z którego rodziną spokrewnił się później przez małżeństwo; ojciec kapitana zaślubił kuzynkę Napoleona III i był po zamachu

stanu dwa razy ministrem. Mimo to książę-kapitan czuł, że niewiele waży dla Roberta de Saint-Loup i dla wszystkich Guermantów, którzy na odwrót – ponieważ patrzył na rzeczy z innej strony – niewiele ważyli dla niego. Domyślał się, że dla Roberta de Saint-Loup, on, spowinowacony z Hohenzollernami, nie jest prawdziwym szlachcicem, ale wnukiem chłopa; dla niego w zamian Saint-Loup był synem człowieka, którego hrabiowski tytuł potwierdził cesarz – nazywano to w Faubourg Saint-Germain „odświeżeni hrabiowie” – i który ubiegał się o prefekturę lub o jakieś inne stanowisko pomieszczone bardzo nisko pod rozkazami Jego Wysokości księcia de Borodino, ministra Stanu, do którego pisało się „Wasza Dostojność” i który był siostrzeńcem monarchy.

Więcej może niż siostrzeńcem. Pierwsza księżna de Borodino – tak mówiono – miała szczególne względy dla Napoleona I, któremu towarzyszyła na Elbę, druga zaś dla Napoleona III. I o ile w pogodnej twarzy kapitana można było odnaleźć, jeżeli nie naturalne rysy Napoleona I, to bodaj wystudiowany majestat jego maski, oficer ów miał zwłaszcza w melancholijnym i pocziwym spojrzeniu, w opadających wąsach, coś, co przywodziło na myśl Napoleona III. Było to tak uderzające, że kiedy po Sedanie poprosił, aby się mógł udać do Cesarza, Bismarck zaś, do którego go zaprowadzono, odmówił, tenże Bismarck, spojrzawszy przypadkiem na młodego człowieka, już mającego się oddalić, uderzony tym podobieństwem zmienił zdanie, przywołał go i dał owo pozwolenie, którego mu, jak

wszystkim innym, dopiero co wzbronił.

Jeżeli książę de Borodino nie chciał robić awansów Robertowi de Saint-Loup ani innym arystokratom w pułku (często natomiast zapraszał do siebie dwóch poruczników mieszczan, bardzo miłych ludzi), to dlatego, iż patrząc na wszystkich z wyżyn swojej cesarskiej wielkości, robił między niższymi od siebie tę różnicę, że jedni byli niżsi i wiedzieli o tym: z tymi bratał się z przyjemnością, będąc, pod majestatycznym pozorem, naturą prostą i jowialną; drudzy zaś, będąc niżsi, uważali się za wyższych, czego książę nie dopuszczał. Toteż gdy wszyscy oficerowie pułku nosili na rękach Roberta de Saint-Loup, książę de Borodino, któremu Roberta polecił marszałek de X..., ograniczył się do uprzejmości dla młodego sierżanta w służbie, w której zresztą Saint-Loup był wzorowy. Nigdy nie zaprosił go do siebie, wyjąwszy jakąś specjalną okoliczność, kiedy poniekąd musiał go zaprosić; że zaś sposobność taka nastąpiła się w czasie mego pobytu, zachęcił Roberta, aby mnie przyprowadził z sobą.

Tego wieczora, widząc Roberta przy stole kapitana, łatwo mogłem ocenić – aż do wzięcia i elegancji każdego z nich – różnicę między dwiema arystokracjami: dawną a Cesarską. Robert pochodził z kasty, której wszystkie wady – nawet te, które potępiał całą swoją inteligencją – przeszły mu w krew. Kasta ta, przestawszy co najmniej od wieku mieć jakieś rzeczywiste znaczenie, w protekcyjnej uprzejmości, stanowiącej część jej wychowania jak konna jazda lub fechtunek, widzi już

tylko ćwiczenie uprawiane bez poważnego celu, dla zabawy, w stosunku do mieszczan, którymi ta szlachta na tyle gardzi, aby wierzyć, że owa poufałość schlebia im i że ich pańska bezceremonialność jest dla nich zaszczytem. Saint-Loup brał poufale za rękę pierwszego z brzegu mieszczańskiego syna, którego mu przedstawiono i rozmawiając z nim (przy czym wciąż zakładał nogę na nogę i przeginał się niedbale w tył, trzymając stopę w ręce), mówił mu: „drogi panie”. Książę de Borodino przeciwnie pochodził ze szlachty, której tytuły, opatrzone bogatymi majoratami w nagrodę zaszczytnych usług, zachowały jeszcze swoje znaczenie, budząc pamięć wysokich funkcji, dających władzę nad wieloma ludźmi i nakładających konieczność znawstwa ludzi. Książę de Borodino – jeżeli nie w swojej osobistej i jasnej świadomości, to bodaj w swoim ciele, które podkreślało to postawą i wzięciem, uważał swoją godność za rzeczywisty przywilej; do tych samych łyków, których Saint-Loup brałby pod rękę i klepałby po ramieniu, on odnosił się z majestatyczną grzecznością, której dostojny umiar łagodziła uśmiechnięta dobroduszość, nacechowana zarazem szczerą życzliwością i rozmyślną dumą. Wynikało to zapewne stąd, że książę mniej był odległy od wielkich ambasad i od dworu, gdzie jego ojciec piastował najwyższe godności i gdzie maniery Roberta – łokieć na stole i stopa w ręce – byłyby źle przyjęte; ale zwłaszcza płynęło to stąd, że on tym mieszczaństwem mniej gardził, że ono było wielkim zbiornikiem, w którym pierwszy Cesarz czerpał swoich marszałków, swoją szlachtę, a w którym

drugi znalazł swego Foulda czy Rouhera.

Niewątpliwie, w myślach pana de Borodino, cesarskiego syna lub wnuka, którego funkcje ograniczały się do dowodzenia szwadronem, nie mogły, z braku zastosowania, przetrwać horyzonty ojca i dziadka. Ale jak duch artysty wciąż modeluje w wiele lat po jego zgonie posąg, który ów wyrzeźbił, ucieleśniły się w nim one, zmaterializowały się, wcieliły, odbijała je jego twarz. Z żywością głosu pierwszego Cesarza łajał wachmistrza, z zadumą i melancholią drugiego puszczał dym z papierosa. Kiedy ubrany po cywilnemu szedł ulicami Doncières, jakiś błysk oczu wymykający się spod melonika dawał kapitanowi aureolę monarszego *incognito*; drżano, kiedy wchodził do biura naczelnego kwatermistrza, wiodąc za sobą adiutanta i furiera niby Berthiera i Massenę. Kiedy wybierał materiał na spodnie dla swego szwadronu, wlepiął w pułkowego krawca spojrzenie zdolne przeniknąć Talleyranda i oszukać Aleksandra; a czasem podczas inspekcji koszar przystawał, pozwalał marzyć swoim cudnym niebieskim oczom, kręcił wąsa, robił wrażenie, jakby budował nowe Prusy i nowe Włochy. Ale natychmiast, stając się z Napoleona III Napoleonem I, zauważał, że rzemienie nie są dość wyglancowane i żądał, aby mu dano skosztować żołnierskiej menaży. A u siebie w domu, w życiu prywatnym, dla żon oficerów-mieszczan (byłe nie masonów) wyjmował nie tylko serwis z błękitnej sewrskiej porcelany, godny ambasadora (darowany jego ojcu przez Napoleona i jak gdyby jeszcze cenniejszy w prowincjonalnym domku, gdzie kapitan mieszkał,

niby owe rzadkie porcelany, które turyści z tym większą przyjemnością podziwiają w prostej szafie starego dworu, zmienionego na dostatnią fermę); prezentował również, pośród innych darów Cesarza, owo szlachetne i uroczne wzięcie, zdolne działać cudzy na jakimś reprezentacyjnym stanowisku, gdyby dla pewnych kół być „urodzonym” nie znaczyło być skazanym całe życie na najniesprawiedliwszy ostracyzm; swobodne ruchy, dobroć, wdzięk oraz tajemniczo prześwieconą i dziedziczną relikwię spojrzenia, kryjącą wspaniałe obrazy również pod emalią królewskiego błękitu.

W związku ze stosunkami, jakie książę utrzymywał w Doncières, trzeba przytoczyć jeden fakt. Podpułkownik grał cudownie na fortepianie, żona naczelnego lekarza śpiewała jak skończona artystka. Lekarz z żoną zarówno jak podpułkownik z żoną bywali co tydzień na obiedzie u pana de Borodino. Pochlebiało im to niewątpliwie; wiedzieli, że kiedy książę jest w Paryżu, bywa na obiedzie u pani de Pourtalès, u Muratów etc. Ale powiadali sobie: „To prosty kapitan, aż nadto szczęśliwy jest, że bywamy u niego. To zresztą prawdziwy nasz przyjaciel”. Ale kiedy pana de Borodino, który od dawna robił starania, aby się zbliżyć do Paryża, przeniesiono do Beauvais, zmieniwszy garnizon, zapomniał o dwóch muzykujących parach równie dokładnie, co o teatrze w Doncières i o restauracyje, skąd często kazał sobie przynosić śniadanie; i ku ich wielkiemu oburzeniu, ani podpułkownik, ani naczelnik lekarz, którzy tak często bywali u kapitana na obiedzie, nie otrzymali już w życiu wiadomości

od niego.

Pewnego rana Saint-Loup wyznał mi, iż napisał do mojej babki, aby jej donieść o mnie i poddać jej myśl pomówienia ze mną, skoro istnieje połączenie telefoniczne między Doncières a Paryżem. Krótko mówiąc, jeszcze tego dnia miała mnie wezwać do aparatu: Robert poradził mi, abym był przed czwartą na pocztę. Telefon nie był wówczas tak rozpowszechniony jak dziś. A jednak przyzwyczajenie tak mało potrzebuje czasu, aby odrzucić z tajemnicy uświęcone formy, z którymi się stykamy, że, kiedyś nie otrzymał zaraz połączenia, jedyną moją myślą było utyskiwać na tę zwłokę, na niewygodę – niemal chciałem wnieść zażalenie! Jak my wszyscy teraz, nie uważałem za dość szybką w stosunku do swoich pragnień tej czarodziejskiej feerii, dla której kilka chwil wystarczy, aby się zjawiała tuż koło nas – niewidzialna ale obecna istota, z którą chcieliśmy mówić i która, siedząc u siebie przy stole, w odległym mieście (dla babki był nim Paryż) pod innym niebem, w inną może pogodę, wśród okoliczności i zajęć, których nie znamy i o których ta istota nas powiadomi, przenosi się nagle o setki mil (wraz z całą otaczającą atmosferą) i zjawia się tuż koło naszego ucha w chwili, gdy nasz kaprys tego zażąda. I jesteśmy niby człowiek z bajki, któremu wróżka, na wyrażone przez niego życzenie, ukazuje w nadprzyrodzonym blasku babkę lub narzeczoną, przeglądającą książkę, lejącą łzy, zrywającą kwiaty, tuż obok, a jednak bardzo daleko, tam, gdzie się znajduje istotnie. Wystarczy nam, dla ziszczenia cudu, zbliżyć wargi do magicznej płytki i wzywać

– czasem trochę długo, przyznaję – Czuwające Dziewice, których głos słyszymy co dzień, nie znając nigdy ich twarzy; to są nasze anioły-stróże w zawrotnych ciemnościach, których drzwi zazdrośnie strzegą; one, wszechpotężne, dzięki których mocy nieobecni zjawiają się koło nas, mimo iż nie wolno nam ich ujrzeć; Danaidy Niewidzialnego, które bez przerwy opróżniają, napełniają, podają sobie urny dźwięków; ironiczne Furie, które – w chwili gdy szepcemy ukochanej poufne słowa w nadziei, że ich nikt nie słyszy – krzyczą nam okrutnie: „Słucham”; wciąż gniewne służebnice Tajemnicy, chmurne kapłanki Niewidzialnego – telefonistki!

I skoro tylko nasze wołanie rozlegnie się w pełnej zjaw nocy, na którą otwierają się same tylko uszy, lekki szmer – szmer abstrakcyjny – szmer zniesionej odległości – i oto zwraca się do nas głos drogiej istoty.

To ona, to jej głos mówi do nas, jest tutaj. Ale jakież daleki! Ileż razy nie mogłem go słuchać bez ucisku serca, jak gdybym, wobec niemożliwości widzenia – bez długich godzin podróży – tej, której głos był tak blisko mego ucha, lepiej czułem, ile zawodnego jest w pozorze najśłodsze zbliżenia i jak daleko możemy być od ukochanych osób w chwili, gdy się zdaje, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby je zatrzymać. Rzeczywista obecność – ten głos tak bliski – przy istotnym rozłączeniu! Ale także przedsmak wiekuistej rozłąki! Często, słuchając w ten sposób, nie widząc tej, co do mnie mówiła z tak daleka, miałem wrażenie, że ten głos woła z głębokości, skąd się nie wraca,

i poznałem ucisk serca, jaki miałem odczuć kiedyś, kiedy głos wróci w ten sposób (sam, niezwiązany z ciałem, którego nie miałem już nigdy ujrzeć), aby szeptać do mego ucha słowa, które byłbym chciał ucałować w przelocie na wargach zmienionych w proch na wieki.

Tego dnia, niestety, w Doncières cud się nie spełnił. Kiedym wchodził do kabiny, okazało się, że babka już mnie wzywała; wszedłem, linia była zajęta, ktoś rozmawiał, nie wiedząc zapewne, że nie ma nikogo, kto by mu odpowiedział, bo kiedy wziąłem słuchawkę, ten kawałek drzewa zaczął paplać na kształt poliszynela; uciszyłem go, jak się robi w budzie jarmarcznej, odkładając go na miejsce; z chwilą gdym go zbliżył do siebie, poliszynel zaczął gadać na nowo. Zwątpiwszy o połączeniu, powiesiłem ostatecznie słuchawkę, zdołałem zdławić konwulsje tego dźwięcznego trzonka, który paplał do ostatniej chwili. Poszedłem po urzędnika, powiedział mi, abym zaczekał chwilę. Potem zacząłem rozmawiać i po momencie ciszy usłyszałem ten głos, o którym mylnie sądziłem, że go znam tak dobrze. Dotąd, za każdym razem kiedy babka mówiła ze mną, śledziłem zawsze słowa na otwartej partycji jej twarzy, gdzie oczy zajmowały wiele miejsca, ale sam w sobie jej głos słyszałem dziś po raz pierwszy. I dlatego że mi się ten głos wydawał zmieniony w proporcjach od chwili, gdy był wszystkim, dochodząc do mnie sam, bez akompaniamentu rysów twarzy, odkryłem, jak bardzo jest słodki; może zresztą nigdy nie był nim w tym stopniu, bo babka, czując, że jestem daleko i nieszczęśliwy, sądziła,

że może dać folę czułości, którą dla „zasady” pedagogicznej zazwyczaj powściągała i kryła. Był słodki, ale zarazem tak smutny! Po pierwsze, z przyczyny swojej słodczy, był prawie zupełnie oczyszczony – jak mało który ludzki głos – z wszelkiej twardości, z wszelkiego odporu, z wszelkiego egoizmu; kruchy w swojej delikatności, zdawał się co chwila gotów załamać, zamrzeć w czystym strumieniu łez; po wtóre, kiedy miał ten głos koło siebie, sam, widziany bez maski twarzy, spostrzegłem po raz pierwszy zgryzoty, które go rozbiły w biegu życia.

Czy to zresztą wyłącznie głos – przez to, że był sam – dawał mi owo nowe wrażenie, które mnie rozdzierało? Nie; raczej ta izolacja głosu była niby symbol, ewokacja, bezpośredni skutek innej izolacji – pierwszej rozłąki babki ze mną. Przestrogi i zakazy, jakimi mnie obsypywała co chwila w powszednim życiu, zniecierpliwienie posłuchu lub gorączka buntu neutralizujące czułość moją dla niej, nie istniały w tej chwili, a nawet mogły przestać istnieć na przyszłość. Babka nie upierała się już mieć mnie koło siebie, pod swoim okiem; wyrażała właśnie nadzieję, że ja zostanę na dobre w Doncicrès lub w każdym razie przeciągnę pobyt możliwie najdłużej, co może wyjść na dobre memu zdrowiu i pracy. Toteż to, com miał pod tym małym kloszem przyłożonym do mego ucha, to była nasza wzajemna czułość, która, oswobodzona od przeciwnych ciśnień, co dnia stwarzających jej przeciwwagę, stawiała się czymś nieodpartym, rozsądzała mnie po prostu. Mówiąc, abym został, babka obudziła we mnie trwożliwe i szalone pragnienie

powrotu. Swoboda, jaką mi zostawiała teraz wbrew wszelkiemu spodziewaniu, wydała mi się nagle równie smutna, jak mogłaby być smutna wolność moja po jej śmierci (kiedy bym ją kochał jeszcze i kiedy by się ona całkiem mnie wyrzekła). Krzyczałem: „Babciu, babciu” i byłbym chciał uściskać ją; ale miałem koło siebie tylko ten głos, widmo, równie nieuchwytne jak to, które wróci może nawiedzić mnie, kiedy babka umrze. „Mów do mnie”; ale wówczas stało się, że się uczułem jeszcze bardziej sam, nagle zupełnie przestałem słyszeć ten głos. Babka nie słyszała mnie już, straciła kontakt ze mną, przestaliśmy być naprzeciw siebie, być dla siebie wzajem słyszalni. Wołałem ją dalej, macając w ciemności, czując, że i jej wołania muszą się gubić. Drżałem tym samym wzruszeniem, jakiegom doznał niegdyś, bardzo dawno, w dniu, kiedy jako małe dziecko zgubiłem ją w tłumie; drżałem nie tyle o to, że jej nie odnajdę, ile o to, że ona mnie szuka, czułem, iż sobie mówi, że ja jej szukam; uczucie dosyć podobne do tego, jakiego bym doznał w dniu, kiedy się mówi do osób, które już nie mogą odpowiedzieć, a którym chciałoby się bodaj rzec wszystko, czego się im nie powiedziało w życiu i upewnić je, że się nie cierpi. Zdawało mi się, że to już jest drogi cień, któremu dałem się zgubić wśród cieniów; samotny przed aparatem, dalej powtarzałem daremnie: „Babciu, babciu”, jak Orfeusz, zostawszy sam, powtarza imię zmarłej.

Zdecydowałem się opuścić pocztę, wywołać Roberta z restauracji, aby mu powiedzieć, że, spodziewając się depeszy, która mnie może zmusi do wyjazdu, chciałbym na wszelki

wypadek znać rozkład pociągów. A jednak, przed powzięciem tego postanowienia, byłbym chciał ostatni raz wezwać Córy Nocy, Wysłanniczki Głosu, boginie bez twarzy; ale kapryśne Strażniczki nie chciały – lub zapewne nie mogły – otworzyć cudownych bram; daremnie wzywały niestrudzenie, swoim zwyczajem, czcigodnego wynalazcę druku oraz młodego księcia, miłośnika impresjonizmu i zapalonego automobilistę (który był siostrzeńcem kapitana de Borodino): Gutenberg i Wagram zostawili ich błagania bez odpowiedzi. Odszedłem, czując, że wzywane przeze mnie Niewidzialne pozostanie głuche.

Odnajdując Roberta i jego kolegów, nie wyznałem im, że serce moje nie jest już z nimi, że wyjazd mój jest nieodwołalny. Robert udawał, że wierzy, ale jak dowiedziałem się później, od pierwszej minuty zrozumiał, że moja niepewność jest udana i że jutro mnie już nie będzie. Podczas gdy, dając stygnąć potrawom, koledzy Roberta szukali wraz z nim najlepszego pociągu do Paryża i gdy w gwieździstej i zimnej nocy słyszeć było gwizd lokomotyw, nie czułem, to pewna, spokoju, jaki mi dała tutaj przez tyle wieczorów przyjaźń tych młodych ludzi oraz dalekie przesuwanie się pociągów. Ale i tego wieczora, mimo że w innej formie, pozostali wierni swojej roli. Wyjazd przygnębiał mnie mniej, kiedym nie musiał o nim myśleć sam jeden; kiedym czuł w tej sprawie udział normalniejszej i zdrowszej energii swoich dzielnych przyjaciół, kolegów Roberta, oraz owych innych silnych istot – pociągów, których ustawiczne krążenie między Doncières a Paryżem rozdrabniało retrospektywnie to,

co było zbyt gęste i uciążliwe w mojej długiej rozłące z babką na każdodziennie możliwości powrotu.

– Nie wątpię o prawdzie twoich słów i o tym, że nie zamierzasz jeszcze wyjeżdżać – rzekł śmiejąc się Saint-Loup – ale rób tak, jakbyś jechał i przyjdź się pożegnać ze mną wcześniej rano, inaczej grozi nam to, że cię nie zobaczę. Zaproszony jestem na śniadanie, kapitan zwolnił mnie, na drugą muszę wracać do koszar, bo jedziemy na ćwiczenia na cały dzień. Facet, u którego mam śniadanie o trzy kilometry stąd, odwiezie mnie z pewnością, tak abym był w koszarach na drugą.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy przysłano po mnie z hotelu: wzywano mnie z poczty do telefonu. Pobieglem, bo już miano zamykać pocztę. Słowo „miedzyniastowa” powtarzało się raz po raz w odpowiedziach, jakie mi dawali urzędnicy. Byłem straszliwie niespokojny, bo to babka mnie wzywała. Zamykano już. Wreszcie dostałem połączenie. „Czy to ty, babciu?”. Głos kobiety o silnym akcencie angielskim odpowiedział: „Tak, ale nie poznaję twojego głosu”. I ja nie poznawałem głosu, który do mnie mówił; przy tym babka nie mówiła mi nigdy „vous”. W końcu wszystko się wyjaśniło. Młody człowiek, którego babka wzywała do telefonu, miał nazwisko prawie identyczne z moim i mieszkał w filii hotelu. Ponieważ wezwano mnie tegoż samego dnia, w którym ja chciałem telefonować do babki, nie wątpiłem ani przez chwilę, że to ona mnie wzywa. Prosty zbieg okoliczności stał się przyczyną podwójnej omyłki na poczcie i w hotelu.

Nazajutrz rano spóźniłem się; nie zastałem Roberta, który już pojechał na śniadanie w sąsiedztwo. Około wpół do drugiej wybierałem się na wszelki wypadek do koszar, aby tam być w chwili jego przybycia. Naraz, idąc wiodącą tam aleją, ujrzałem jadące w tym samym kierunku tilbury, które, mijając mnie, kazało mi uskoczyć na bok. Powoził podoficer z monoklem w oku; był to Saint-Loup. Obok niego siedział przyjaciel, u którego był na śniadaniu i którego już raz spotkałem w hotelu, gdzie się Robert stołował. Nie śmiałem wołać Roberta, skoro nie był sam, ale chcąc, aby się zatrzymał i wziął mnie z sobą, ściągnąłem jego uwagę ceremonialnym ukłonem, usprawiedliwionym obecnością nieznajomego. Wiedziałem, że Robert ma krótki wzrok, ale myślałem, że gdyby mnie tylko zobaczył, poznałby mnie z pewnością; otóż on spostrzegł ukłon i oddał mi go, ale nie zatrzymując się. Oddalając się pędem, bez uśmiechu, bez drgnienia jednego muskułu w twarzy, przyłożył jedynie palce do kepi, tak jakby odpowiadał na ukłon nieznajomego żołnierza.

Pobiegłem do koszar, ale to było jeszcze daleko; kiedym przybył, pułk formował się na dziedzińcu, gdzie mi nie pozwolono zostać. W rozpacz, że się nie mogę pożegnać z Robertem, poszedłem do jego pokoju, gdzie go nie było; zdołałem się dopytać o niego w gromadce „marodów”, rekrutów zwolnionych od marszu, młodego maturzysty oraz starego zupaka, którzy się przyglądali, jak pułk się formuje.

– Czy panowie nie widzieli sierżanta Saint-Loup? – spytałem.

– Zeszedł, proszę pana – rzekł zupak.

– Nie widziałem go – rzekł maturzysta.

– Nie widziałeś go – rzekł zupak, nie zajmując się już mną – nie widziałeś naszego morowca Saint-Loup, jak on paraduje w swoich nowych portczętach; kiedy go kapitan zobaczy, wścieknie się: oficerskie sukno!

– Ha, ha! ty masz dobre kawały, oficerskie sukno – rzekł maturzysta, który jako „marod” nie szedł na ćwiczenia i próbował, nie bez pewnego niepokoju, stawiać się zupakom. – To oficerskie sukno, to sukno takie jak to.

– Ej, ej, panie, panie... – krzyknął z gniewem zupak, który mówił o „portczętach”.

Był oburzony, że młody maturzysta podał w wątpliwość fakt oficerskiego sukna; ale, jako Bretończyk urodzony we wsi, która się zowie Penguern-Stereden, wyuczywszy się po francusku z równym trudem, co gdyby to był język angielski lub niemiecki, kiedy się czuł wzruszony, powtarzał kilka razy „panie”, aby zyskać czas na znalezienie słów; po czym, po tym przygotowaniu, dawał folgę swojej wymowie, zadowolając się powtarzaniem kilku wyrazów, które znał lepiej od innych, ale bez pośpiechu, siłąc się na poprawne wymawianie.

– A, to takie sukno jak to – powtórzył z gniewem, którym barwiła się stopniowo energia i powolność wysłowienia. – A, to takie sukno: kiedy ci mówię, że to sukno oficerskie, kiedy ci powiem, skoro ja ci to powiem, to ja myślę, że ja wiem co mówię. Nie nas bujać takimi bajdami.

– A, w takim razie, to chyba – rzekł maturzysta zwyciężony tą argumentacją.

– O patrz, właśnie przechodzi kapichrust. Nie! popatrz tylko na naszego Saint-Loupka; patrz, jak on wyrzuca nogami i spójrz na jego facjatę. Czy powiedziałby kto, że to podoficer? A monokl, ha, ha, ten sobie lata.

Poprosiłem tych żołnierzy, którzy nic sobie nie robili z mojej obecności, żeby mi pozwolili też spojrzeć przez okno. Nie przeszkodzili mi, ani się nie usunęli. Ujrzałem kapitana de Borodino, przejeżdżał majestatycznie truchtem, zdając się żywić złudzenie, iż bierze udział w bitwie pod Austerlitz. Kilku przechodniów skupiło się przed bramą, aby patrzeć, jak pułk będzie wyjeżdżał. Wyprostowany na koniu, z twarzą nieco zbyt pulchną, z policzkami o cesarskiej pełni, z jasnym spojrzeniem, książę musiał być igraszką jakiejś halucynacji, jak ja za każdym razem, kiedy, po przejściu tramwaju, cisza następująca po łomocie zdawała mi się jak gdyby prążkowana mglistym drganiem muzycznym. Byłem w rozpacz, że się nie pożegnał z Robertem, ale pojechałem i tak, bo moją jedyną myślą było wrócić do babki. Do owego dnia, w tym małym miasteczku, kiedy myślałem, co babka robi sama, przedstawiałem ją sobie taką, jak była ze mną, ale wyłączając siebie bez zdania sobie sprawy z następstw tego wyłączenia; teraz musiałem się w jej ramionach czym prędzej wyzwolić z widma niepodejrzewanego dotąd, a wywołanego nagle głosem babki, faktycznie rozdzielonej ze mną, zrezygnowanej, posiadającej –

czego dotąd nigdy w niej nie znałem – wiek, odbierającej ode mnie list w pustym mieszkaniu, w jakim już sobie wyobrażałem mamę wówczas, kiedym wyjechał do Balbec.

Niestety, właśnie to widmo ujrzałem, kiedy, wszedłszy do salonu bez uprzedzenia babki o powrocie, zastałem ją w trakcie czytania. Byłem tam lub raczej nie byłem tam jeszcze, skoro ona nie wiedziała o tym: jak kobieta zaskoczona przy jakiejś robótce, którą chowa, kiedy wchodzimy, pogrążona była w myślach, jakich nigdy nie zdradzała przede mną. Mocą ulotnego przywileju, dzięki któremu przez krótką chwilę powrotu zyskujemy zdolność nagłego asystowania własnej nieobecności, był tam ze mnie jedynie świadek, obserwator, w kapeluszu i płaszczu podróżnym, ktoś obcy, nienależący do tego domu, fotograf przychodzący robić zdjęcie miejsc, których już nie ujrzymy. To, co się mechanicznie dokonało w tej chwili w moich oczach, kiedym spostrzegł babkę, to była w istocie fotografia! Zawsze widzimy drogie nam istoty jedynie w żywym kontekście, w ciągłym ruchu naszej nieustannej tkliwości, która, zanim pozwoli do nas dojść obrazom, jakie dla nas przedstawia ich twarz, chwyta je w swój wir, rzuca je na ideę, jaką sobie o nich tworzymy „od zawsze”, stapia je z tą ideą, zespala je z nią. W jaki sposób, skoro czoło i policzki babki wyrażały dla mnie to, co było najdelikatniejszego i najtrwalszego w jej duszy; w jaki sposób, skoro wszelkie nawykowe spojrzenie jest nekromancją, a każda ukochana twarz zwierciadłem przeszłości, w jaki sposób nie byłbym w niej pominął tego, co w niej mogło zgrubieć

i ulec zmianie, wówczas kiedy, nawet w najobojętniejszych obrazach życia, oko nasze, brzemienne myślą, opuszcza (tak jakby to zrobiła tragedia klasyczna) wszystkie zbyteczne dla akcji obrazy, zatrzymując jedynie te, które mogą cel uczynić zrozumialszym. Ale niech w miejsce naszego oka spojrzysz czysto materialna soczewka, płyta fotograficzna, wówczas na przykład, w dziedzińcu Instytutu, zamiast wychodzącego akademika, który woła fiakra, ujrzymy jego zataczanie się, jego wysiłki, aby się nie przewrócić wstecz, parabolę jego upadku, tak jakby był pijany lub jakby dziedziniec pokryty był gołoledzią. Tak samo się dzieje, kiedy jakiś okrutny podstęp przypadku przeszkodzi naszej inteligentnej i zbożnej czułości nadbiec na czas, aby ukryć naszym spojrzeniom to, czego nie powinny nigdy oglądać; kiedy ją wyprzedzi owo *coś*, co przybywszy pierwsze na miejsce i zostawione samemu sobie, funkcjonuje mechanicznie na kształt czulej błonki i pokaże nam w miejsce ukochanej istoty, która nie istnieje już od dawna, ale której śmierć czułość nasza zawsze chciała przed nami utaić – nową istotę, którą po sto razy dziennie czułość ta stroiła drogim i kłamliwym podobieństwem. I jak chory, który się nie oglądał od dawna, komponujący co chwilę twarz, której nie widzi – wedle idealnego obrazu, jaki nosi o sobie samym w swojej myśli, cofa się, widząc w lustrze, na wyschłej i spustoszonej twarzy, skośną i zaczerwienioną protuberancję nosa olbrzymiego na kształt piramidy egipskiej, tak ja, dla którego babka była jeszcze mną samym, ja, którym nigdy nie widział jej inaczej niż w swojej duszy, wciąż

w tym samym miejscu przeszłości, poprzez przeźroczystość otaczających ją ze wszech stron uśmiechów, nagle, w naszym salonie, tworzącym część nowego świata – świata czasu – tego, gdzie żyją ludzie obcy, o których się mówi „bardzo się zestarzał”, pierwszy raz i tylko na chwilę, bo ten obraz znikł bardzo szybko – na kanapie, pod lampą, ujrzałem czerwoną, ciężką i pospolitą, chorą, zadumaną, wodzącą po książce błędnymi nieco oczami, przygębioną starą kobietę, której nie znałem.

Na moją prośbę, abym mógł obejrzeć Elstiry pani de Guermantes, Saint-Loup rzekł: „Odpowiadam za nią”. I w istocie, na nieszczęście, jedynie on odpowiedział za nią. Łatwo odpowiadamy za innych, kiedy, rozporządzając w swoich myślach obrazkami, które ich wyobrażają, poruszamy nimi wedle naszej woli. Zapewne, nawet w tej chwili bierzemy w rachubę trudności wynikające z natury każdej z tych osób, różnej od nas, i nie zaniedbujemy uciec się do jakiegoś sposobu działania mającego na nich wpływ – interesu, perswazji, wzruszenia, zdolnych zneutralizować przeciwne skłonności. Ale ową różność od naszej natury również wyobraża sobie nasza natura; to my usuwamy te trudności, my dawkujemy te skuteczne sposoby. I kiedy chcemy w życiu ziścić owe gesty, któreśmy w swoich myślach kazali powtarzać drugiej osobie zgodnie z naszą wolą, wszystko się zmienia: natykamy się na nieprzewidziane opory, często nie do pokonania. Jednym z najsilniejszych jest niewątpliwie opór zrodzony w niekochającej

kobiecie z niezwykłego obmierzłego wstrętu, jaki w niej budzi człowiek, który ją kocha. W ciągu długich tygodni, przez które Saint-Loup nie mógł przybyć do Paryża, ciotka jego (do której ponad wszelką wątpliwość napisał z prośbą o to) nie zaprosiła mnie ani razu, abym przyszedł obejrzeć obrazy Elstira.

Odczułem chłód jeszcze ze strony innej osoby w domu. Osobą tą był Jupien. Czy uważał, że powinienem być zająć do niego przywitać się, wróciwszy z Doncières, zanim nawet wszedłem do domu? Matka upewniła mnie, że nie, że nie trzeba się temu dziwić. Franciszka mówiła jej, że Jupien jest już taki, że miewa takie nagłe humory bez powodu. Przechodzi mu to po niedługim czasie.

Tymczasem zima dobiegała końca. Pewnego rana, po kilku tygodniach słoty i burz, usłyszałem w swoim kominku – w miejsce bezkształtnego, elastycznego i posępnego wichru, który budził we mnie dreszcz tęsknoty za morzem – gruchanie gołębi, gnieźdzących się w murze: tęczowe, nieprzewidziane jak pierwszy hiacynt, łagodnie rozdzierające swoje żywicielskie serce, iżby trysnął jego dźwięczny i atlasowy kwiat koloru lila, wpuszczające, na kształt otwartego okna, do mojego zamkniętego jeszcze i czarnego pokoju ciepło, blask, znużenie pierwszego ładnego dnia. Owego rana chwyciłem się na tym, że nucił aryjkę z *café-concert*, której zapomniałem od owego roku, gdy miał jechać do Florencji i do Wenecji. Tak głęboko atmosfera, zależnie od dnia, działa na nasz organizm i z ciemnych składów, gdzieśmy ich zapomnieli, dobywa melodie zapisane, ale

nieodcyfrowane naszą pamięcią. Niebawem bardziej świadomy marzyciel towarzyszył temu muzykowi, któremu słuchał w samym sobie, nie poznawszy nawet zrazu, co on gra.

Czułem, iż racje, dla których, kiedym przybył do Balbec, nie znalazłem już w miejscowym kościele uroku, jaki miał dla mnie, zanim go poznałem, to nie są racje szczególnie związane z Balbec; że we Florencji, w Parmie czy w Wenecji, wyobraźnia moja też nie lepiej umiałaby się podstawić w miejsce moich oczu, aby patrzeć. Czułem to. Tak samo, pewnego wieczora w Nowy Rok, z zapadnięciem nocy, przed słupem z afiszami, odkryłem, że złudzeniem jest wiara, iż pewne świąteczne dni różnią się zasadniczo od innych. A mimo to, wspomnienie czasu, kiedym się spodziewał spędzić Wielki Tydzień we Florencji, nadal spowijało ją niby atmosferą miasta kwiatów, dając równocześnie Wielkiej Nocy coś florenckiego, a Florencji coś wielkanocnego. Wielki Tydzień był jeszcze daleko; ale w szeregu dni, który się rozciągał przedemną, dni świąteczne odcinały się jaśniej od zwyczajnych. Tknięte promieniem, jak pewne domy w wiosce widzianej z daleka w grze światła i cieni, skupiały na sobie wszystko słońce.

Robiło się coraz cieplej. Nawet rodzice, radząc mi, abym chodził na spacer, dostarczali mi pretekstu do wznowienia rannych wypraw. Byłbym chciał ich zaprzestać, bom spotykał na nich panią de Guermantes. Ale właśnie dlatego wciąż myślałem o tych spacerach, co sprawiało, że znajdowałem dla nich wciąż

nowe racje niemające żadnego związku z panią de Guermantes i dowodzące mi bez trudu, że gdyby ona nie istniała, tak samo szedłbym na spacer o tej samej porze.

Niestety! o ile byłoby mi obojętne spotkać wszelką inną osobę niż ona, o tyle czułem, że dla niej spotkanie z kimkolwiek byłoby znośniejsze niż spotkanie ze mną. Zdarzało się jej w ciągu rannej przechadzki odkłaniać wielu notorycznym durniom, przy czym widok ich uważała jeżeli nie za wróżbę przyjemności, to bodaj za wynik przypadku. I zatrzymywała ich czasem, bo są chwile, kiedy mamy ochotę wyjść z siebie, przyjąć gościnę w duszy drugich, pod warunkiem, żeby ta dusza, choćby najskromniejsza i najbrzydsza, była duszą cudzą, podczas gdy księżna czuła z rozpaczą i ze wstrętem, że w mojej duszy odnalazłaby jedynie siebie samą. Toteż nawet kiedym miał dla obrania tej drogi inny powód niż to, aby ją zobaczyć, drżałem jak zbrodniarz w chwili, gdy ona przechodziła; czasem, pragnąc niejako zneutralizować to, co w moim zachowaniu mogło się wydać natręctwem, ledwie odpowiadałem na ukłon księżnej lub przyglądałem się jej, nie kłaniając się. Osiągałem tylko tyle, żem ją drażnił jeszcze bardziej i że zaczęła mnie w dodatku uważać za impertynenta i gbura.

Księżna nosiła teraz suknie lżejsze lub bodaj jaśniejsze, i sunęła ulicą, gdzie – jak gdyby już była wiosna – w wąskich sklepach, wciśniętych w szerokie fasady starych arystokratycznych pałaców, na wystawie handlarki masła, owoców, jarzyn, zapuszczone były story dla ochrony od słońca.

Powiedziałem sobie, że kobieta zbliżająca się ku mnie z daleka, otwierająca umbrellę, przechodząca na drugą stronę ulicy, jest, zdaniem znawców, największą współczesną artystką w sztuce wykonywania tych gestów i czynienia z nich czegoś rozkosznego. Szła; ciało jej, nieświadome tej szerokiej reputacji, szczupłe, oporne i obce, gięło się pod lekkim jedwabiem lila; chmurne i jasne jej oczy patrzyły niedbale przed siebie i spostrzegły mnie może; księżna przygryzała wargi; widziałem, jak poprawia mufkę, daje grosz ubogiemu, kupuje bukiet fiołków od kwiaciarki. Patrzyłem na nią z tą samą ciekawością, z jaką bym śledził ruchy pędzla u wielkiego malarza. I kiedy, mijając mnie, kiwała mi głową, łącząc niekiedy z tym gestem nikły uśmiech, miałem wrażenie, że wykonała dla mnie – przydając dedykację – rysunek, będący arcydziełem. Każda jej suknia wydawała mi się naturalną i konieczną atmosferą, projekcją odrębnego stanu jej duszy.

Pewnego wielkopostnego ranka, kiedy księżna miała jakieś prośzone śniadanie, spotkałem ją w aksamitnej żywo-czerwonej sukni, lekko wyciętej. Twarz pani de Guermentes, okolona włosami blond, wydawała się rozmarzona. Uczułem się mniej smutny niż zwykle, bo jej melancholijny wyraz – rodzaj klauzury, siłą koloru odcinającej ją od reszty świata – dawał jej coś nieszczęśliwego i samotnego, co mi dodawało otuchy. Ta suknia zdawała mi się dokoła niej materializacją szkarłatnych promieni serca, którego w niej nie znałem i które mógłbym może pocieszyć; spowita w mistyczne światło łagodnych fałdów

materii, książna wydawała mi się niby jaka święta z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wówczas odczuwałem wstyd, że mierzę swoim widokiem tę męczennicę. „Ale ostatecznie – powiadałem sobie – ulica jest dla wszystkich”.

„Ulica jest dla wszystkich”, powtarzałem, dając tym słowom odmienne znaczenie i podziwiając, że na tej ulicy, ludnej, często mokrej od deszczu i szacownej w tej chwili niby jaka ulica starożytnych miast Italii, książna de Guermantes z życiem publicznym miesza chwile swego poufnego życia, ukazując się oto każdemu – ze wspaniałą hojnością arcydzieł – tajemnicza, potrącana przez wszystkich. Ponieważ wyszedłem rano po nieprzespanej nocy, popołudniu rodzice radzili mi, abym się trochę położył i starał się zasnąć. Na to by zasnąć, nie potrzeba dużo refleksji; bardzo natomiast zbawienne jest ku temu przyzwyczajenie, a nawet brak refleksji. Otóż, w owych godzinach, nie dostawało mi obu tych rzeczy. Przed zaśnięciem myślałem tak długo, że nie zdołałem zasnąć, iż nawet kiedym zasnął, zostawało mi trochę myśli. Było to jedynie wątle światelko w zupełnej niemal ciemności, ale wystarczało, aby rzucić na mój sen – niby jakiś odbłask myśli, że nie zdołałem zasnąć, a potem – odbłask tego odbłasku – myśl, że to we śnie wydawało mi się, iż nie śpię; potem – jako nowe odbicie – przebudzenie... do nowego snu, w którym chciałem opowiedzieć przyjaciółom (właśnie weszli do mego pokoju), że przed chwilą śpiąc myślałem, iż nie śpię. Cienie te ledwie były do rozpoznania; trzeba by wielkiej i bardzo czczej subtelności percepcji, aby je

pochwycić. Podobnie później, w Wenecji, dobrze po zachodzie słońca, kiedy się zdaje, że już jest zupełna noc, widziałem – dzięki niewidzialnemu wszakże echu ostatniej nuty światła, bez końca trzymanej na kanałach jak gdyby mocą jakiegoś optycznego pedału – odbicia pałaców rozpościerające się jak gdyby na wieki czarniejszym aksamitem na wieczornej szarości wód.

Jednym z moich sennych marzeń była synteza tego, co moja wyobraźnia często się sobie starała wyobrazić na jawie: pewien krajobraz morski i jego średniowieczną przeszłość. Widziałem we śnie gotyckie miasto pośród morza o falach stężących jak na witrażu. Odnoga morza dzieliła miasto na dwoje; zielona woda rozciągała się u moich stóp; woda ta opływała na przeciwległym brzegu wschodni kościół, dalej domy istniejące jeszcze w XIV wieku, tak że iść ku nim, znaczyłoby cofać się w głąb wieków. Ten sen, w którym natura wyuczyła się sztuki, gdzie morze stało się gotyckie, ten sen, w którym pragnąłem dotknąć niemożliwości i miałem uczucie, że to czynię, zdawał mi się czymś, com już śnił często. Że jednak właściwością marzeń sennych jest to, że się mnożą w przeszłości i że, mimo iż nowe, wydają się znane, sądziłem, że się omylił. Spostrzegłem przeciwnie, że w istocie często miewałem ten sen.

Nawet owe tak charakterystyczne pomniejszenia objawiały się w moim śnie, ale w sposób symboliczny: nie mogłem w ciemności rozpoznać twarzy przyjaciół, bo śni się z zamkniętymi oczami; rozprawiając przez sen sam z sobą bez

końca, z chwilą, gdy miał przemówić do przyjaciół, czułem, iż dźwięk zamiera mi w gardle, bo nie mówi się wyraźnie we śnie; chciałem podejść do nich i nie mogłem ruszyć nogami, bo również nie chodzi się we śnie; i nagle wstyd mi było pokazać się im, bo śni się bez ubrania. Tak iż postać snu, jaką stwarzał sam mój sen – oślepie oczy, zawarte usta, bezwładne nogi, nagie ciało – przypominała owe wielkie alegoryczne figury, które dał mi niegdyś Swann, a w których Giotto wyobraził Zawieść z wężem w ustach.

Saint-Loup przyjechał do Paryża tylko na kilka godzin. Tłumacząc się, że nie miał sposobności wspomnieć o mnie kuzynce, równocześnie powiadał, zdradzając się naiwnie:

– Oriana jest bardzo dziwna, to już nie moja dawna Oriana, odmieniono mi ją. Ręczę ci, nie warto, żebyś o niej myślał. Czynisz jej o wiele za dużo zaszczytu. Chcesz, przedstawię cię mojej kuzynce Poitiers? – dodał, nie zdając sobie sprawy, że to by mi nie sprawiło żadnej przyjemności. – Oto młoda kobieta inteligentna i która by ci się spodobała! Wyszła za mego kuzyna, księcia de Poitiers; dobry chłopiec, ale trochę za wielki prostaczek jak dla niej. Mówiłem z nią o tobie. Prosiła, żeby cię przyprowadzić. Dużo ładniejsza od Oriany, i młodsza. To jest indywidualność, wiesz: *efef*. (Były to wyrażenia nowe, tym żarliwiej przyswojone przez Roberta, oznaczające że ktoś ma subtelny naturę). Nie powiem ci – dodał – aby ona była dreyfusistka, trzeba się ostatecznie liczyć z jej środowiskiem, ale

bądź co bądź mówi: „Gdyby był niewinny, cóż za okropność, że go trzymają na Diablej Wyspie”. Rozumiesz, prawda? Przy tym to osoba, która bardzo wiele robi dla swoich dawnych nauczycielek; zabroniła je wpuszczać kuchennymi schodami. Zapewniam cię, to ktoś bardzo bardzo. W gruncie, Oriana nie lubi jej, bo czuje, że tamta jest inteligentniejsza.

Mimo że pochłonięta współczuciem, jakie w niej budził lokaj Guermantów – który nie mógł odwiedzić narzeczonej, nawet gdy księżnej nie było w domu, bo natychmiast zaraportowałby to odźwierny, Franciszka ubolewała, że jej nie było w domu w chwili wizyty Roberta; ale bo teraz ona sama chodziła z wizytami. Wychodziła niemylnie w dnie, gdym jej potrzebował; a zawsze po to, aby odwiedzić brata, siostrzenicę, zwłaszcza zaś własną córkę, przybyłą niedawno do Paryża. Już sam rodzinny charakter tych wizyt, pozbawiających mnie usług Franciszki, pomnażał moją irytację, bo przewidywałem, że każda wizyta będzie dla niej czymś, z czego nie można się zwolnić, wedle zasad ustalonych w Saint-Andrè-des-Champs. Toteż zawsze słuchałem jej wymówek z bardzo niesprawiedliwym złym humorem, którego miarę przepełniał sposób, w jaki Franciszka mówiła: „zaszłam do brata, wpadłam »po drodze« uściskać siostrzenicę” (albo „moją siostrzenicę rzeźniczkę”). Co się tyczy córki, Franciszka wołałaby ją wyprawić z powrotem do Combray. Ale ta świeża paryżanka, posługując się jak elegantka skrótami, ale gminnymi, mówiła, że tydzień spędzony w Combray dłużyłby się jej, gdyby nie

miała co dzień bodaj swojego „Intran⁶”. Tym mniej miała ochotę jechać do siostry Franciszki, mieszkającej w górzystej okolicy, bo góry, powiadała córka Franciszki, dając słowu „interesujący” nowy i żałosny sens – nie są zbyt interesujące. Nie mogła się zdecydować na powrót do Mèsèglise, gdzie „ludzie są takie głupie”, gdzie na targu kumoszki doszukiwałyby się jakiegoś pokrewieństwa, powiadając: „Popatrz-no, czy to nie córka nieboszczyka Bazireau?”. Wolałaby raczej umrzeć, niż tam wracać „teraz, kiedy zasmakowała paryskiego życia”. Tradycjonalistka Franciszka uśmiechała się dość życzliwie do ducha nowatorstwa wcielonego w świeżej paryżance, kiedy ta mówiła: „No i cóż, matka, jeżeli nie będziesz miała wychodni, pchnij mi po prostu *pneu*”.

Znów zrobiło się zimniej. „Wychodzić? po co? żeby się zaziębić?”, mówiła Franciszka, która wołała siedzieć w domu przez tydzień, na który jej córka, brat oraz siostrzenica-rzeźniczka pojechali do Combray. Zresztą Franciszka – ostatnia sekciarka, w której przetrwały mętnie nauki cioci Leonii z zakresu fizyki – dodawała, mówiąc o niezwykłym jak na tę porę czasie: „To jeszcze Pan Bóg się nie wygniewał do reszty”. Odpowiadałem na jej lamenty jedynie leniwym uśmiechem, tym obojętniejszy na te przepowiednie, że dla mnie miało być ładnie na wszelki sposób: już widziałem ranne słońce błyszczące na wzgórzu Fiezoie, grzałem się w jego promieniach; siła ich kazała mi z uśmiechem otwierać i przymykać powieki, wypełniające się

⁶ „Intran” – popularny skrót dziennika „L’Intransigeant”. [przypis tłumacza]

niby alabastrowe lampki nocne różowym blaskiem. To nie tylko dzwony wracały z Italii, Italia wróciła z nimi. Moim wiernym ręką nie zbraknie kwiatów, aby uczcić rocznicę podróży, jaką miałem podjąć niegdyś; bo od czasu, gdy w Paryżu zrobiło się zimno tak jak w owym roku, przed Wielkanocą, w chwili naszych przygotowań do wyjazdu, w płynnym i mroźnym powietrzu kąpiącym kasztany i platany na bulwarze, drzewo na dziedzińcu w naszym domu rozchyłało już liście, niby w naczyniu pełnym czystej wody narcyzy, żonkile, anemony z Ponte-Vecchio.

Ojciec powiedział nam, że wie już przez A. J., dokąd udaje się pan de Norpois, kiedy się go spotyka w naszym domu.

– Idzie do pani de Villeparisis; on z nią jest bardzo blisko, nic o tym nie wiedziałem. Zdaje się, że to przemiła osoba, niezwykła kobieta. Powinien byś jej złożyć wizytę – rzekł ojciec do mnie. – Zresztą, Norpois zdziwił mnie bardzo, mówiąc o panu de Guermantes jak o człowieku bardzo dystyngowanym; zawsze go miałem za prostaka. Zdaje się, że on wie bardzo dużo, że ma wiele smaku, jest tylko bardzo pyszny ze swego nazwiska i ze swoich parantel. Ale zresztą (powiada Norpois) on ma olbrzymią sytuację, nie tylko tutaj, ale w całej Europie. Zdaje się, że cesarz austriacki i cesarz rosyjski traktują go całkiem jak przyjaciela. Stary Norpois powiedział mi, że pani de Villeparisis bardzo cię lubi i że poznałbyś w jej salonie interesujących ludzi. Bardzo mi cię chwalił. Spotkasz go u pani de Villeparisis: mógłby ci dać dobre rady, nawet choćbyś miał zostać literatem. Bo ja widzę,

że z ciebie nie będzie nic innego. I to może być kariera; nie tego bym pragnął dla ciebie, ale staniesz się niebawem dorosłym mężczyzną, nie zawsze będziemy przy tobie, nie możemy ci bronić iść za swoim powołaniem.

Gdybym bodaj zdołał zacząć pisać! Ale jakiegokolwiek były okoliczności, w których chwytałem się tego projektu (tak samo, niestety, jak postanowień nie używania alkoholu, wczesnego spania, dbania o zdrowie), choćbym to czynił zapalczywie, metodycznie, z upojeniem, pozbawiając się spaceru, odkładając go i chowając go sobie jako nagrodę, korzystając z godziny dobrego stanu zdrowia, spożytkowując przymusową bezczynność dnia choroby, rezultatem moich wysiłków była wciąż jedynie biała stronica nieskałana piórem, nieuchronna jak owa karta, którą wyciągamy niezmiennie w sztuce magicznej w jaki bądź sposób stasowalibyśmy poprzednio talię. Byłem jedynie narzędziem nawyków niepracowania, niekładzenia się, niespania, które musiały się zrealizować na wspak wszystkiemu; jeżeli się im nie opierałem, jeżeli się zadowalałem następczym przez pierwszą lepszą okoliczność pretekstem, aby im zostawić swobodę działania, czyniłem to bez zbytej szkody; i tak odpoczywałem kilka godzin pod koniec nocy, czytałem trochę, nie robiłem zbytej ekscesów; ale jeżeli chciałem zadać gwałt tym nawykom, jeżeli się siliłem wcześniej położyć do łóżka, pić tylko wodę, pracować, rozdrażniało je to, posuwały się do ostateczności, wpędzały mnie w kompletną chorobę, musiałem zdwoić dawkę alkoholu, nie

kładłem się do łóżka po dwa dni, nie mogłem już nawet czytać. Zaczem postanawiałem sobie być na drugi raz mądrzejszym, to znaczy mniej rozsądnym, jak ofiara, która się pozwala okraść z obawy, aby w razie oporu nie zamordowano jej.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.